

Elizabeth Flock
Dogonić rozwiane marzenia

Tytuł oryginału:
Sleepwalking in Daylight



Samantha

Nie uprawialiśmy seksu od jedenastu miesięcy. Prawie cały rok. To dłużej niż trwa rozwój ludzkiego płodu. Pamiętam o tym z dwóch powodów: po pierwsze to była nasza rocznica ślubu, a w rocznicę ślubu seks to pewnik; po drugie następnego wieczoru miał miejsce incydent ze światłem. Czytałam książkę o rodzinie misjonarzy w Afryce. W kalendarzu notuję wszystko, co czytam, a w ogóle doskonale pamiętam, jak żałowałam, że to nasza rocznica ślubu, bo akurat dotarłam do bardzo ciekawego rozdziału. Tymczasem musiałam udawać, że nie widzę, jak Bob robi wszystko, czego jego zdaniem oczekuje się od mężów obchodzących rocznicę ślubu.

A więc następnego wieczoru byliśmy na piętrze w pokoju, który obok kuchni jest najważniejszym pomieszczeniem w domu. Bob siedział w rogu przy komputerze, szukając na eBayu rakiet tenisowych.

– Czemu po prostu nie pójdziesz do sklepu sportowego? – spytałam go wcześniej.

– Szukam starych drewnianych rakiet – odparł, nie podnosząc wzroku.

Wzruszyłam ramionami i ponownie zagłębiłam się w lekturze. Pamiętam uczucie zaskoczenia, gdy spojrzawszy wokół, uświadomiłam sobie, że nie znajduję się w Kongo w czasach wojny domowej, tylko w swoim ładnym dwupiętrowym domu w dzielnicy North Side w Chicago. Uwielbiam, gdy książka jest tak dobra, że zapominasz, kim jesteś i gdzie przebywasz.

Usłyszałam, jak Bob ciężko wzdycha i odsuwa się od dużego biurka zaślanego zadaniami domowymi dzieci, prośbami o zgodę na udział w wycieczkach, zawiadomieniami ze szkoły. Wychodząc z pokoju, zgasił światło.

Dopiero gdy zawołałam za nim, wrócił i włączył je ponownie, mrużąc:

– O, przepraszam. Zapomniałem, że tu siedzisz.

Jednak najbardziej dotknęło mnie to, że wcale nie próbował mi nic udowodnić. On naprawdę zapomniał, że byłam razem z nim w pokoju. I to jest właśnie sedno sprawy. Od tamtej pory nie uprawialiśmy seksu.

Wiem, że ten incydent ze światłem wydaje się całkiem błahy, ale wszyscy znamy te momenty, gdy miarka się przebrała. Takiej chwili nie da się precyzyjnie określić, wiadomo jednak, że coś się zmieniło, że to ostatnia kropla.

Od jakiegoś czasu każde z nas powoli pograżało się we własnym świecie, a ja to po prostu ignorowałam. Aż do tej pory. A teraz nie mogę już tego dłużej znosić.

A przecież dopiero w zeszłym tygodniu kupiłam maślankę do naleśników, które postanowiłam zrobić bez żadnego konkretnego powodu. Ot, taka niespodzianka.

Uznałam, że chociaż raz mogę zdobyć się na jakiś wysiłek.

Kupiłam maślankę, bo wiem, że Bob lubi, gdy naleśniki są treściwsze. Kiedyś mówił o nich „bajeranckie naleśniki” tonem, który sugerował, że dziękuje mi za pokonanie dodatkowej drogi, gdy takiego wysiłku wymagało kupienie czegoś w rodzaju maślanki. Jednakże w zeszłym tygodniu w ogóle nie zauważył, że na śniadanie jemy coś innego niż płatki z zimnym mlekiem, a gdy ostrożnie zsuwałam na talerz stos naleśników, machnął niecierpliwie ręką, mówiąc:

– Mnie nie dawaj. Na Irving Park są roboty drogowe, więc musimy już ruszać. Chodźcie, dzieciaki.

Nasi ośmioletni synowie, Jamie i Andrew, jeszcze z pełnymi buziami chwycili nagolenniki i korki. Tak bardzo różnią się wyglądem i charakterem, że czasem zastanawiam się, czy faktycznie są bliźniakami. Jamie porusza się powoli i z rozwagą, jakby musiał przemyśleć każdy krok. Przed śniadaniem porządnie ułożył sprzęt piłkarski przy drzwiach wyjściowych. Obok postawił też dwie butelki wody. Pamiętał, żeby wziąć dwie, bo Andrew zawsze zapomina o zabraniu swojej. Jamie ma nos pokryty piegami i tak mlecznobiałą skórę, że widać przez nią niebieskie żyły. Mam wrażenie, że ze swoimi delikatnymi rysami wyrośnie na przystojnego mężczyznę. Jest mały jak na ośmiolatka i wiele osób sądzi, że ma rok mniej od brata. Andrew jest masywny i przysadzisty, a jego gęste rude włosy zawadiacko sterczą nad czołem. Jest dokładnie taki, jak zwykle wyobrażamy sobie ośmioletniego chłopca: niechłujny, rozczochrany, czupurny. Kiedy się przewróci i rozetnie wargę, spluwa krwią i gna dalej. Ma kłopoty z koncentracją, ale testy nie wykazały ADHD. Kiedy pojawiają się problemy, Jamie sprawia wrażenie skrzywdzonego, natomiast Andrew odchyła głowę do tyłu, wywraca oczami i wzdycha, słuchając bezsensownych uwag rodziców. Do Andrew nic nie trafia. Do Jamiego trafia wszystko.

– Wiesz, które to boisko? – pytam Boba.

– Wiem – odpowiada niecierpliwie, lecz zatrzymuje się na ułamek sekundy, wahając się, czy nie powinien jednak sprawdzić.

– Tylko pytam. Zmienili je w tym sezonie i jeszcze tam nie byłeś. Chłopcy, wiecie, jak tam dojechać, prawda? Z parkingu w prawo i w górę, pamiętacie? Pokażcie tacie drogę, dobrze?

– Pa, mamó! – woła Andrew.

– Zawiąż buty. Bob, każ mu zawiązać buty, zanim wysiądzie z samochodu, bo się potknie.

– Tak, jasne, zawiąż buty – mówi Bob. – Chodźmy, chłopcy. Piłkę ma przyciśniętą do żeber, więc gdy upuszcza kluczyki, schyla się po nie jak ciężarna kobieta, starając się przy tym nie przekrzywić plastikowej tacki z pączkami, które kupiłam im na czas przerwy w treningu.

– Nie zapomnij po drodze odebrać rzeczy z pralni – mówię. – Słuchaj... zjesz na obiad stek? Jadę do sklepu.

– Dobrze, wszystko mi jedno. Jamie, rusz się – ponagla syna, stojąc przy garażu.

Drzwi z tyłu domu otwierają się na kamienną dróżkę, którą ułożyliśmy z Bobem, gdy dwadzieścia lat temu sprowadziliśmy się tutaj. Sphukaliśmy się doszczętnie, lecz byliśmy szczęśliwi, że zamieszkaliśmy w tak obiecującym sąsiedztwie. Wynieśliśmy na zewnątrz radio i włączyliśmy jedyną stację, którą udało się złapać. Grali jazz. Zabrakło mi pary gdzieś w połowie pracy, która miała nam zająć jeden dzień, a rozciągnęła się na ponad dwa weekendy, bo kostki, które wybraliśmy, nie pasowały do siebie. Odbywaliśmy niezliczone wędrowki do centrum ogrodniczo-budowlanego i z powrotem. W drugą niedzielę leżałam w słońcu na trawie, słuchając Milesa Davisa i Boba, który najpierw pogwizdywał, a potem kłął. Pamiętam, że z dziecięcą fascynacją obserwowałam chmury i uśmiechałam się jak ktoś bardzo zadowolony z życia. Cóż, mieliśmy piękny dom, wiał lekki wietrzyk, ja leżałam na terenie, który do nas należał, trzymając bose stopy na naszej trawie. Osłoniłam dłonią oczy i patrzyłam na Boba, jak w olbrzymim skupieniu przymierzał kostkę po kostce do płytkich dołków. T-shirt, który miał na sobie, był wtedy jeszcze całkiem nowy. Pochodził z koncertu zespołu Squeeze, który odbył się w kampusie college'u. Nasza druga albo trzecia randka. Drugi rok studiów. College w Bostonie, rok 1981.

Nie widziałam wtedy świata poza Bobem. Moim zdaniem był słodki, skoro nie chciał niczego przyśpieszać.

Mówił, że jestem inna, a jemu nie zależy na seksie, tylko na „przejsciu całej drogi”. Dodawał też, że chce uniknąć tego wszystkiego, co mogłoby popsuć nasz związek. Więc się nie śpieszyliśmy. Chodziliśmy z sobą, ale nie doszło do niczego

poważnego. Sypialiśmy ściśnięci na moim pojedynczym łóżku pod fińską kołdrą, otoczeni zapachem chińskich zupek i piwa.

Żałowałam, że pocałunki Boba są takie niedbałe i wilgotne, ale z czasem to się poprawi, mówiłam sobie. Nie poprawiło się, jednak uznałam, że w życiu są ważniejsze sprawy.

Znajomi lubili nasze towarzystwo, bo nigdy nie rzucaliśmy się na siebie w porywach namiętności, więc osoby samotne nie czuły się przy nas gorsze tylko dlatego, że występowały solo.

Dobrze się z nami spędzało czas. Na imprezach rozdzielaliśmy się, żeby pogadać to z tym, to z tamtym. Nie musieliśmy ciągle być razem. W gruncie rzeczy całkiem często zdarzało się, że nie widywaliśmy się nawet przez kilka dni, na przykład podczas sesji, choć każde z nas zawsze wiedziało, gdzie podziewa się drugie.

Mieliśmy wiele wspólnego, a nasz związek nie kolidował z nauką.

Pochodziliśmy z Chicago, skończyliśmy prywatne licea, byliśmy jedynakami. Lynn, moja przyjaciółka, a także współlokatorka podczas studiów, zaprzyjaźniła się również z Bobem. Chodziliśmy na wspólne randki z nią i jej coraz to innymi chłopcami.

Kiedy nie miała partnera, Bob umówił ją z Patelem, swoim bliskim kolegą. Niestety Lynn potrafiła być żenująco nieprzyjemna, gdy kogoś nie polubiła, a akurat Patel zdecydowanie nie przypadł jej do gustu. Bob zarzekał się, że już nigdy jej nikogo nie przedstawi, lecz zrobił to, bo go ubłagałam, i w końcu zaskoczyła na Michaela, za którego zresztą w rezultacie wyszła. Bob był ich drużbą, a ja pierwszą druhną, i wszystko układało się znakomicie, jak w bajce. My pobraliśmy się, kiedy Lynn i Michael wrócili z podróży poślubnej. Wyobrażałam sobie, że zamieszkamy po sąsiedzku, obie z Lynn zrezygnujemy z pracy i zajmiemy się wychowaniem dzieci. Myślałam, że będziemy z Bobem zasypiać wtuleni w siebie, jak to bywało w moim pokoju w akademiku, no i marzyłam o płotku z białych sztachetek.

Jednak gdzieś tam w środku zaczęły się pojawiać wątpliwości. Tak naprawdę niepokój ogarnął mnie już podczas miodowego miesiąca. Na Karaibach byliśmy bardzo szczęśliwi. Jeździliśmy na skuterach wodnych, lataliśmy na spadochronie holowanym za motorówką, razem z innymi nowożeńcami wypływaliśmy oglądać zachody słońca. Zauważyłam tylko, że zaczyna nam brakować tematów do rozmowy. Zupełnie jakbyśmy mieli rachunek bankowy z określonym zapasem zdań, a w miarę upływu czasu te nasze oszczędności zaczęły topnieć.

Pewnego popołudnia na plaży nagle się zachmurzyło. Zrobiło się ciemno, lunął deszcz. Nie zdążyliśmy uciec do samochodu, więc

schowaliśmy się pod parasolem z reklamą Heinekena. Podczas tropikalnej ulewy parasol okazał się równie nieskuteczny, jak wówczas, gdy miał nas chronić przed rozżarzoną do białości słońcem.

– Zdenerwowało cię coś? – spytałam. – Tak nagle umilkłeś. – Gdy tylko wzruszył ramionami, a potem spojrzął w niebo, nie ustąpiłam: – Bob, o co chodzi? – Doczekałam się tylko ciszy w odpowiedzi. – Zmarzłam... Możesz wyjąć z torby zapasowy ręcznik?

Zrobił to całkiem mechanicznie. Ręka zgięła mu się w łokciu, zanurzyła w torbie, wyciągnęła ręcznik i wysunęła się w lewo w moją stronę.

– Nic, tylko... – zaczął z wzrokiem utkwionym w kłębiące się chmury. – Po prostu...

– Czekał, co po prostu? O czym ty mówisz? Ogarnęła cię panika? Żałujesz, że wzięliśmy ślub? Chodź, okryj się ręcznikiem. –

Przysunęłam się bliżej. – Nie jest ci zimno?

– Nie, jest dobrze. Nie przejmuj się.

– Ale co miało znaczyć to „po prostu”?

– Nieważne, rozumiesz? – W jego głosie było tyle zjadliwości, że się cofnęłam. Byłam młoda i pomyślałam, że wszystko się ułoży.

Uznałam, że zwyczajnie wpadł w ponury nastrój.

Ostatniego wieczoru poszliśmy do baru na plaży. Zamówiliśmy mnóstwo piwa i kołysząc się do dźwięków gitary hawajskiej, patrzyliśmy na ocean. Bob z piwa przerzucił się na whisky.

Wcześniej tylko raz widziałam, jak pije whisky, a zdarzyło się to podczas pożegnalnej imprezy na ostatnim roku studiów.

Oglądaliśmy zachód słońca. Bob, pobrzękując kostkami lodu, wypił resztę alkoholu, po czym uniósł szklanke, sygnalizując kelnerowi, że chce następną kolejkę. Poszłam do łazienki, umyłam ręce, spojrzałam w lustro i mruknęłam do siebie:

– Chyba popełniłam wielki błąd.

Niestety nie miałam nikogo, z kim mogłabym o tym porozmawiać, a przecież bardzo się zaniepokoiłam. Martwiłam się i martwiłam, aż wpadłam w taką apatię, że po powrocie do domu jeszcze przez prawie dwa tygodnie odwoływałam spotkania z Lynn i Mikiem. Nie chciałam, by przyjaciółka zorientowała się w sytuacji.

Kamienna ścieżka nie jest prosta. Chcieliśmy, żeby wiała się w stronę garażu niczym miniaturowa żółta brukowana droga z „Czarnoksiężnika z krainy Oz”. Uważaliśmy, że tak będzie ładniej. Teraz wszyscy wybieramy prostą drogę przez trawnik. Lynn i Mike kupili dom dwie ulice dalej w naszej pełnej drzew okolicy. Można

tu odnieść wrażenie, że mieszka się na przedmieściu, choć od centrum Chicago dzieli nas zaledwie kilka minut.

Jedno- i dwupiętrowe domy na naszej uliczce są do siebie bardzo podobne, mają małe kwadratowe trawniki, ganki od frontu, patia, tarasy i trawniki z tyłu. Garaże zaprojektowane na dwa samochody wychodzą na wąską alejkę.

Trzeba użyć klaksonu i machnąć ręką do osoby, która uprzejmie poczeka, aż się wyjedzie. Wszyscy mają grille z długimi łopatkami i szczypcami, ceglane kominy, ozdobne wianki w zimie, amerykańskie flagi w lecie. W każdym tygodniu można się spodziewać trzech lub czterech wizyt skautów, którzy próbują sprzedać papier do pakowania lub prenumeratę jakiegoś czasopisma, rozczochranych dzieciaków z college'u, które chciałyby ocalić planetę, jakiegoś miejscowego gościa, któremu źle się wiedzie, więc chodzi od domu do domu z marnymi grabiami i oferuje wysprzątanie trawnika. Zimą przychodzi odgarnąć śnieg ze ścieżek i chodnika.

Pod koniec lat osiemdziesiątych Mike'owi i Bobowi zaczęło ubywać włosów, a przybywać w obwodzie. Bob zaczął nosić okulary, a Mike soczewki kontaktowe. Pewnego dnia, gdy spojrzałam na męża, stwierdziłam, że wygląda staro. No, może nie tak staro, ale jednak... staro.

Nie sposób było zobaczyć w nim chłopaka, za którego wyszłam.

Natomiast i ja, i Lynn trzymałyśmy się w dobrej formie.

Zapisałyśmy się do tej samej siłowni na naszej ulicy, gdzie wprowadzono zajęcia z aerobiku, który właśnie zaczynał zdobywać popularność. Włosy obcięłyśmy, jak miliony innych Amerykanek, na wzór Jennifer Aniston. Potem je zapuściłyśmy i wyprostowałyśmy. Jak to zrobiły miliony Amerykanek.

– Pa, mamó. – Jamie odwraca się, żeby mnie objąć, zanim pogna za Andrew i Bobem na trening. – Dzięki za naleśniki.

Kiedy drzwi się zatraskują, wylewam resztę ciasta do zlewu i puszczam wodę, żeby wszystko spłynęło. Cammy przywlekleła się do kuchni. Trze oczy, rozmazując resztki makijażu, którego przed snem nigdy nie zmywa. Trzaskają otwierane i zamykane drzwiczki szafek. Brzęczą słoiki i butelki na drzwiach lodówki, które popycha stopą.

W jednej ręce trzyma mleko, w drugiej miskę z płatkami.

– Pachnie naleśnikami. – Wsuwa się na wysoki stołek, pochyla nad płatkami i wiosłuje łyżką, patrząc na rysunkowe zagadki na pudełku, które przekręca, żeby odczytać wypisane na dnie odpowiedzi.

Cammy najpiękniej wygląda rano, kiedy jest jeszcze zaspana. Latem oliwkowa cera nabiera ciemniejszego, bardziej południowego odcienia. Ach, ta jej cera, po prostu bez skazy. Cammy jest filigranowa, ma cieniutkie nadgarstki i długą szyję, wydatne wargi, duże piwne oczy. Naturalny kolor jej włosów – teraz są ufarbowane – to głęboki brąz, jak pieczone w karmelu jabłko. Gęste, świetnie się układają. Nosiła je z grzywką, którą przystrzygała, żeby nie wpadała do oczu, tak jak się to dzieje teraz. Nie wygląda na szesnaście lat, przynajmniej dopóki nie nałoży make-upu, który przypomina farbę do malowania twarzy. Cechy nastolatki stają się bardziej widoczne, kiedy się ubierze. Te czarne ciuchy wyglądają jak kostium na Halloween. Kończy płatki, a kiedy podnosi się ze stołka, omal się nie przewraca. Wygląda, jakby składała się z samych kończyn. Ma patykowate nogi o wystających kolanach, jest płaska, a kiedy stoi, nie wie, co ma począć z rękami. Rzęsy ma podkrecone, a zęby proste bez pomocy aparatu ortodontycznego. Teraz przechodzi okres buntu i próbuje zniszczyć wszystko, co jest w niej atrakcyjne. Kurczy się, gdy sądzi, że ktoś na nią patrzy, ogarnia ją przerażenie, kiedy słyszy coś w tym stylu:

– No nie, Cammy Friedman? Nie do wiary. Nie widziałam cię od czasu, gdy byłaś taka malutka. Proszę, proszę.

W dzieciństwie Cammy lubiła się tulić, jak teraz robi to Jamie. Kiedy była małą dziewczynką, w Dniu Matki zwykle płakałam. Pewnego roku – nie pamiętam, ile lat miała – sądziłam, że Cammy jest z Bobem na dole i przygotowuje dla mnie śniadanie do łóżka, gdy nagle na ramieniu poczułam dłoń. Przełknęłam łzy i odwróciłam się, a wtedy objęła mnie rączkami i poklepała po plecach, powtarzając:

– Już dobrze, mamusiu.

A potem cichutko wyszła, żebym mogła wydmuchać nos i przywołać uśmiech na powitanie grudkowatych naleśników wnoszonych po schodach na koślawej wiklinowej tacy ozdobionej bukietem powiędnionych mleczki, kiwających się w słoiku po dżemie.

Dziesięć lat później Cammy wzdryga się na myśl o jakimkolwiek kontakcie. Kiedy już musi się do kogoś przytulić, pochyla się do przodu tak, że tylko jej ramiona stykają się z drugą osobą. Resztę ciała trzyma daleko, jak najdalej. Boba to denerwuje, chociaż tak naprawdę ostatnio wciąż coś go denerwuje.

Patrzemy na wszystko zupełnie inaczej. To znaczy Bob i ja. Ja patrzę na oczy ludzi. Czasami, niezbyt często, ale jednak się

zdarza, przypadkiem wychwytyuję czyjeś spojrzenie i dostrzegam w nim jakąś głębię, coś na kształt porozumienia, jakbyśmy należeli do tej samej rasy psów. Zazwyczaj są to ludzie, którzy mają takie oczy jak ja, to

znaczy szeroko rozstawione, okrągłe, ciemnobrazowe.

Kiedy jestem zdenerwowana, ciemnieją jeszcze bardziej, całe upodobniają się barwą do źrenic.

Natomiast Bob widzi u ludzi wyłącznie stopy. Kiedy idzie ulicą, patrzy w dół. Najki. Klapki. Buty od Manola Blahnika. Imitacje z sieci Payless. W zimie buty Uggs i L.L.Bean. Kiedy ktoś idzie w butach sportowych, Bob śledzi każdy jego krok, zupełnie jakby patrzył na piękną kobietę. W rzeczywistości interesuje go siła, z jaką stawiana jest pięta. Cóż, ostatecznie studiował medycynę sportową. Kiedy objął stanowisko w firmie Nike, poszliśmy z Mikiem i Lynn na kolację, żeby to oblać. Przez jakiś czas pod koniec dnia z radością opowiadał mi o pracy nad udoskonaleniami, dzięki którym nowe pokolenie biegaczy odczuje fantastyczne zmiany na lepsze. Gdzieś w trakcie tego roku przestał się cieszyć, a zaczął pić. Nie za dużo, lecz wystarczająco, żeby alkohol uwypuklał jego cyniczne zachowanie.

Bob zajmuje się obuwem sportowym, bo tak to nazywają w branży, chociaż ja zwykle mówię ludziom, że projektuje tenisówki, choć wiem, że brzmi to całkiem inaczej. Zanim zaczął pracować w słynnym koncernie, nie miałam nawet pojęcia, że istnieje coś takiego jak architektura buta. Oczywiście kiedyś czytałam o początkach Nike, o biegaczu, trenerze i gofrownicy, która posłużyła do odlania podeszwy, lecz poza tym byłam całkiem nieświadoma, czego trzeba, żeby stworzyć dobry sportowy but. W świecie Boba stopy dzielą się na dwie kategorie: zdrowe i chore. Zdrowe to te, które w naturalny sposób starzeją się w równym stopniu od palców do pięty. Chore to wszystkie pozostałe, a dla Boba większość stóp jest chora.

– Kto mógł wpaść na pomysł, żeby klapki stały się tak powszechne? – spytał ogłupiałą towarzyszkę podczas szkolnej imprezy charytatywnej.

Albo:

– Ten facet nie zdaje sobie sprawy, że za dziesięć lat z powodu płaskostopia zostanie pacjentem pediatry – powiedział mi, gdy robiliśmy zakupy gwiazdkowe w Old Orchard Mall.

A także:

– W idealnym świecie zdelegalizowalibyśmy wysokie obcasy i wszyscy nosiliby obuwie ortopedyczne.

To powiedział do dyrektora szkoły po pełnej napięcia rozmowie, podczas której dowiedzieliśmy się, że Cammy znów dostała nagane i ma warunkową zgodę na pozostanie w szkole. Dyrektor, pan Black, wygląda, jakby przyszedł na świat w wyniku kleszczowego porodu. Nie znoszę go, głównie zresztą, jak sądzę, dlatego, że on nie znosi mnie. Ani mojej rodziny.

To były początki nauki Cammy. Przyszliśmy do dyrektora Blacka, żeby poprosić o przeniesienie jej do innej klasy, którą prowadziła mniej niecierpliwa nauczycielka. Nim skończyliśmy mówić, pan Black zaczął kręcić głową, po czym uniósł rękę i powiedział:

- Złej tanecznicy przeszkadza rąbek u spódnicy.

Miałam ochotę skrócić mu kark. Próbowaliśmy rozmawiać o szczególnych potrzebach Cammy, a on nas potraktował, jakby to były jakieś bzdety.

- Dzieciak jest w pierwszej klasie... Jakie to ma znaczenie? - zdziwił się Bob.

Pan Black pochylił się nad biurkiem i syknął:

- No właśnie.

- Nie to miałem na myśli - powiedział Bob. - Co za problem, żeby przeszła do klasy panny Landis? Słyszeliśmy, że świetnie radzi sobie z...

Zanim jednak Bob skończył zdanie, pan Black podniósł się i oznajmił:

- Zobaczmy, co da się zrobić.

Zostaliśmy odprawieni. Byliśmy przekonani, że wszystko załatwi, jednak teraz, gdy go już poznałam, wiem, że nawet przez chwilę nie zastanawiał się nad naszą sprawą. Sukinsyn.

Tak więc wiele lat później pan Black w drodze do klasy, gdzie szedł na hospitację, odprowadzał nas do wyjścia. Byłam pewna, że próbował zagłuszyć stukot moich obcasów w pustym korytarzu, gdy bez przekonania spytał Boba, jak idzie mu w pracy. Bob trzymał nas w drzwiach prawie przez pięć minut, rozprawiając o najnowszych amortyzowanych pneumatycznie obcasach, aż w końcu wyzwoliłam zniecierpliwionego dyrektora, biorąc Boba pod ramię i mówiąc:

- Musimy już iść, kochanie. - Celowo ominęłam wzrokiem wdzięczne, jak sądzę, spojrzenie dyrektora. Przecież właśnie skrzywdził moją córkę. Ratowałam też siebie przed wysłuchiwaniami wywodów Boba na temat filozofii stóp.

- Chryste! Co my teraz zrobimy? – mówię w drodze do samochodu. – Klnę się na Boga, że naprawdę nie wiem, co jeszcze możemy zrobić.
- Buty Allena Edmondsa – mówi Bob, wyciągając rękę po kluczyki. Dał je mnie, bo twierdzi, że przez nie ma zachwiana równowagę. Przez cztery kluczyki! Myślałby kto, że chodzi o maraton na olimpiadzie! – Facet ma dobry gust, jeśli chodzi o buty, muszę mu to oddać.
- Bob, skup się. Co zrobimy w sprawie Cammy?
- Był zbyt surowy – mówi Bob, włączając silnik i ustawiając lusterko, chociaż to przecież on prowadził, gdy tu jechaliśmy. – Nagana? Za zlekceważenie nauczycielki?
- Nie mogę w to uwierzyć, na Boga! Jak mogło do tego dojść? Bob, ona nie zlekceważyła pani Cummings ot, tak sobie, przez nieuwagę czy coś takiego. To ponure spojrzenie Cammy jest naprawdę przerażające. Na miejscu nauczycielki też bym ją odesłała do dyrektora. Zresztą nie to jest najważniejsze. Problem w tym, że chodzi na wagary. Pali na terenie szkoły. Do diabła, nigdy nie czułam od niej dymu. A ty?
- Uważam, że to lekka przesada zawiesić kogoś za przerażające spojrzenie. – Bob patrzy w prawo i w lewo, zanim powoli wyjedzie ze szkolnego parkingu. – Wszystkie dzieciaki od czasu do czasu wagarują. Można ją za karę zatrzymać po lekcjach, ale zawieszać? I jeszcze raz w prawo, potem w lewo. Ze sposobu, w jaki się rozgląda, można by sądzić, że wyjeżdża na autostradę Daytona, gdzie samochody śmigają z prędkością wyrażaną trzycyfrowymi liczbami.
- On jej nie zawiesił – mówię. – Dał jej naganę i zatrzymał w szkole warunkowo. A tak swoją drogą, z tej strony jest czysto.
- Zawieszenie, warunek, jeden pies. I tak będzie paskudnie wyglądać na świadectwie.
- Właśnie o to mi chodzi. Jest zielone światło. Dlatego trąbią.
- To chyba ja prowadzę?
- Mówię tylko, że w domu musimy przyjąć wspólną linię postępowania. – Odwracam się twarzą do niego, bo nie mogę patrzeć, jak jedzie. Prowadzi fatalnie, a najgorsze jest to, że nie zdaje sobie z tego sprawy. Samochody przejeżdżające obok niego zwalniają, twarze kierowców są wykrzywione wściekłością, ale Bob tego nie widzi.
- Jak ma wyglądać ten wspólny front?
- Przede wszystkim ma całkowity szlaban. Żadnego komputera, żadnej komórki.

– To jak zadzwoni, gdy coś będzie odwołane albo trzeba ją będzie skądś odebrać? – pyta Bob.

– Co nam da zakaz korzystania z komputera, jeśli będzie miała komórkę? Cały czas wysyła SMS-y. Jeżeli kara ma odnieść skutek, musimy jej zabrać telefon. Zresztą w razie potrzeby można przecież znaleźć automat. Nie rozumiem, czemu cię to martwi, skoro to ja się zajmuję odbieraniem dzieci.

– O co ci chodzi?

– Kiedy ostatnio odbierałeś Cammy lub chłopców, nie licząc weekendów? To także twoje dzieci, Bob.

Patrzy przed siebie, a ja nagle zaczynam się zastanawiać, jak bardzo by mnie obeszła jego śmierć. Na pewno martwiłabym się o dzieci, że dorastają bez ojca, ale ja? Nie jestem pewna, czy bardzo bym to odczuła.

– Myślę, że chodzi o adopcję. – Ucisk w żołądku podpowiada mi, że to nie jest najlepszy moment na poruszenie tego tematu, ale prawdę mówiąc, żaden moment nie jest dobry. – Moim zdaniem większość tych kłopotów ma związek z tym, w jaki sposób dowiedziała się, że ją adoptowaliśmy.

– Och, proszę... Będziemy to odgrzebywać do końca życia? Jezus!

– Do diabła, Bob! Jak można powiedzieć małej dziewczynce, że w ogóle nie przypomina braci, bo nie jest naszym prawdziwym dzieckiem? Ile lat temu to było? Dziesięć? Nie, jedenaście. I przez tych jedenaście lat Cammy czuje się we własnej rodzinie jak wyrzutek.

– Przestań. Wcale tak nie jest, o czym doskonale wiesz – odpowiada Bob.

Czuję, jak przyśpieszamy i wyjątkowo jedziemy równo z innymi samochodami.

– Chcesz powiedzieć, że nic nie palnąłeś? Chyba zapomniałeś, że wszystko dokładnie ustaliliśmy... Mieliśmy porozmawiać z nią razem, gdy będzie w odpowiednim wieku, jak sugerują w książkach. A ty się wygadałeś. Bez mnie i bez zastanowienia powiedziałeś jej wszystko. I teraz drapiesz się w głowę, nieodmiennie zdumiony, że chociaż minęło tyle lat, Cammy pamięta każde słowo. Siedzisz tu zadowolony z siebie i mówisz, że to nie tak? Ależ właśnie tak, Bob. Tak, po prostu tak.

Bob zwalnia i auta znów muszą gwałtownie skręcać, żeby nas ominąć. Facet w toyocie prius pokazuje Bobowi środkowy palec, a ja się zastanawiam, czy budzimy w nim wrogię uczucia, bo jedziemy tym okropnym, benzynowym suvem, czy dlatego, że Bob prowadzi wolniej, niż wskazują znaki drogowe. A może po

prostu zauważył, z jaką złością mówię do tego faceta, z którym siedzę w samochodzie, i robi to dla mnie?

– Wszystko wymknęło się spod kontroli, jeśli o nią chodzi – mówię, porzucając temat adopcji, jak to zwykle robię. – Nawet nie wiem, od czego zacząć. Próbuję coś załatać, ale zawsze wyskoczy coś nowego.

– Wiem.

Kłamie, bo nic nie wie. Przynajmniej w sprawach dzieci. Chłopcy są złaźnieni jego obecności. Ostatnio coraz więcej czasu zabiera mi zmuszenie go, żeby spędził z nimi choć kilka chwil.

Reszta drogi minęła w milczeniu, co mi wcale nie przeszkadza.

Patrzę na niego i... Mam być szczerą? W porządku, będę. Prawdę mówiąc, Bob w ogóle mnie nie pociąga. I tak wracam do punktu wyjścia...

Żadna z moich koleżanek nie chce seksu. Poważnie. Ani jedna.

No, może żadna z tych, które mają dzieci. Przyglądam się innym czterdziestokilkuletnim mamom i mogę je podzielić na dwie kategorie. W jednej są te, które pogodziły się z rolą matki. Noszą praktyczne buty, mamuśkowate dżinsy, sportowe bluzy, w zimie wielkie szare kurtki w stylu człowieczka z reklamy opon Michelin, a latem bezkształtne stare T-shirty.

Druga grupa to zwolenniczki ćwiczeń pilates. Te są seksowne.

Noszą dżinsy, o jakich marzą ich córki, mają dobrze ukształtowane bicepsy i płaskie brzuchy. Dla tych kobiet trening to pełnoetatowe zajęcie. Zupełnie jakby dostały tajemny nakaz uprawiania jogi, zachowania dobrej sylwetki przez całe życie i kupowania obcisłych koszulek z głębokim dekoltem. Ja przepadam za świeżo wypranymi białymi bluzkami zapinanymi na guziki jak męskie koszule, ale dopasowanymi do figury. Dżinsy nie są zbyt obcisłe, jednak nie wiszą na mnie. Moje ulubione buty to para mokasynów od Gucciego, na które wykosztowałam się przed laty, gdy Bob dostał premię na Boże Narodzenie. To najlepszy zakup, jaki mi się trafił. Są tak dobrze wykonane, że ani razu nie musiałam oddawać ich do zelowania. Skóra jest miękka, a żółtobrazowy kolor pasuje do każdej pary moich spodni. Chociaż najczęściej chodzę w spódnicach. Nie tak dawno, gdy pojechałam po dzieci do szkoły, Ann Slevick zmierzyła mnie wzrokiem od góry do dołu i zauważyła:

– Jesteś zawsze taka schludna i poukładana.

Podziękowałam jej, ale nie uśmiechnęła się w odpowiedzi, więc następnego dnia włożyłam dziurawe dżinsy.

Czasami wieczorem, gdy przebieram się w spodenki od

Gapa i starą, dziurawą, zażółconą pod pachami koszulkę z widokiem Mount Rushmore, stoję przed lustrem i oglądam się uważnie. Mam przyzwoitą fryzurę, to znaczy wycieniowane włosy do ramion, czyli dzisiejszy standard. Nie przesadzam z farbą, więc brązowy odcień, chwalić Boga, wygląda naturalnie. Tyłek też mam niezły, przynajmniej jak na czterdziestopięciolatkę. W każdym razie co i rusz widuję gorsze. To przód mnie martwi. Nie cierpię swojego brzucha. W sumie jednak kryzys średniego wieku jeszcze nie dosięgnął mojego ciała, ale to wyłącznie złudzenie, bo mam długie ręce i nogi. Na starych zdjęciach szkolnych zawsze widać mnie z boku siedzących w równiutkim rzędzie dzieci. Po drugiej stronie stoi nauczyciel. Przeklinałam swój wzrost. Koledzy z klasy wyglądali przy mnie jak lilipuci, więc garbiłam się, żeby być równa z nimi. Tak samo jak Cammy miałam wystające kolana i mnóstwo siniaków. Idąc z pokoju do pokoju, bez żadnego racjonalnego powodu próbowałam ściąć narożnik i waliłam o futrynę. Skończyłam wreszcie rosnać, gdy osiągnęłam sto siedemdziesiąt trzy centymetry. Chłopcy zaczęli mnie doganiać i przerastać, więc wszystko poszło w niepamięć, chociaż nadal muszę zwracać uwagę, żeby trzymać się prosto.

– Słyszałyście, dziewczyny, o tych wszystkich żyjących bez seksu małżeństwach? – spytałam podczas spotkania klubu książki. Zbieramy się już prawie od pięciu lat.

Najpierw byłyśmy we trzy: ja, Lynn i Ginny z końca ulicy. Ginny jest słodka. Może trochę zbyt słodka, ale stabilnie słodka, a to naprawdę coś. Ma trzydzieści lat, piętnaście mniej niż ja. Mieszka z Donem, swoim mężem, w jaskrawozielonym domu, o którym wszyscy mówią Sygnalizator. To do niej dzwonię, gdy potrzebuję pomocy w sprawach domowych. Nasze stosunki bardzo się zacieśniły, gdy przed czterema czy pięcioma laty Ginny porzuciła pracę doradcy inwestycyjnego w banku w centrum miasta. W letnie wieczory siadywałyśmy na mojej werandzie w białych wiklinowych fotelach i rozmawiałyśmy o tym, czego właściwie pragniemy od życia. Kiedyś powiedziałam, że nie jestem pewna, po czym dodałam tajemniczo:

– Lecz jeszcze tego nie osiągnęłam.

Pamiętam, jak to wyznanie zaskoczyło Ginny. Widać to było po jej minie, na koniec uściśliła:

– Przecież masz dzieci.

Też kiedyś myślałam, że życie nabierze sensu, gdy pojawią się dzieci.

A więc klub książki zaczął się od nas trzech. Potem Ginny spytała, czy może przyprowadzić koleżankę z pracy, Leanne, która bywa trochę upierdliwa, ale właściwie nie mam nic przeciwko niej. Jest zabawna, chociaż według mnie brakuje jej głębi. Albo inteligencji. Zresztą czy to w dużym stopniu nie są synonimy? Zawsze podejrzewałam, że Leanne gnie obwoluty książek, by wyglądało, że nie tyle je czyta, co studiuje. Być może nawet zagina, a później rozprostowuje rogi na przypadkowych stronach. Gdzieś po drodze dołączyła do nas Teresa Wdowiak. Nie przypominam sobie, kto ją przyprowadził. A potem Sally Flanders przyparła Lynn do muru, pytając, czy nasz klub przyjmuje nowych członków i czy w takim razie mogłaby do nas przystąpić. Jakie miałyśmy wyjście? Nikt nie jest w stanie powstrzymać Sally Flanders.

Jest nas więc dzisiaj osiem, co jest dość niezwykle. Zazwyczaj spotykamy się w cztery lub pięć, ale teraz czytamy „Chłopca z latawcem” i wszystkie chcą wypowiedzieć swoje zdanie. W zeszłym miesiącu ktoś zaproponował „Sto lat samotności”, ale żadna z nas nie przebrnęła poza pierwszych pięćdziesiąt stron, więc zrezygnowałyśmy. Chociaż to nieprawda. Kerry Kendricks przeczytała całą powieść i sprzeciwiała się zmianie, ale ona lubi się popisywać, a nikt nie miał ochoty wysłuchiwać, jak się mądrzy na temat literatury południowoamerykańskiej.

Siedzimy w salonie Sally Flanders. Nie znoszę jej salonu. Czuję się, jakbym wchodziła do sklepu kosmetycznego, taki tu jest napór zapachów potpourri i aromatyzowanych świec. Sally przepada za kwiatowymi wzorami i haftowanymi w zwierzęta poduszkami. Mówi o nich: „moje słodkie stworzonka”. Dziś między mój krzyż a pręty najbardziej niewygodnego krzesła na świecie została wetknięta „Lucky Lassie”.

– Niedawno przeczytałam w jakimś czasopiśmie, że czterdziestoletnie kobiety dopiero zaczynają życie – mówię. – Piszą tam, że jesteśmy pewniejsze swojego ciała i potrafimy wyrażać swoje potrzeby. Nie pamiętam dokładnie słów, ale taki był sens. Przerywa mi wybuch śmiechu.

– No co? – Rozglądam się wokół. – Mówię to całkiem poważnie. Was to nie martwi?

– Ma rację – odzywa się Lynn. – Wczoraj było coś na ten temat w telewizji śniadaniowej. Pokazali małżeństwo, które kochało się w czasie miesiąca miodowego i na tym koniec. Wiecie, od jak dawna są małżeństwem? Dwanaście lat. Dwanaście lat i zero seksu. Nie wiem, jak ona tego dokonała, ale też bym tak chciała.

Znów dał się słyszeć śmiech.

– Nie rozumiem, o co się martwisz. – Ginny patrzy na mnie, po czym wywraca oczami. – Przecież jesteś taka poukładana. Pewnie masz już wszystko zaplanowane. W dodatku tworzycie z Bobem znakomitą parę. Założę się, że kochacie się co drugi dzień.

Mam ochotę zawołać: „Zwariowałaś? Chyba nie mówisz poważnie?”. Już otwieram usta, lecz Lynn jest szybsza:

– Jeśli chodzi o Michaela, to myśli, że mam okres prawie przez cały miesiąc.

Wybuch śmiechu wstrząsa milusińskimi stworzeniami, czy jak tam się one nazywają. Padają rady, jak się wyzwolić od seksu, a potem następuje pikantna historyjka o mężu osoby, którą wszystkie dobrze znamy. Tak przynajmniej twierdzi Kerry Kendricks, która zapytana przez Lynn, czy nadal uprawia seks, odpowiada:

– Kto miałby na to czas?

Kerry Kendricks działa w każdym szkolnym Komitecie. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś o niej mówił, używając tylko imienia.

– Pozwólcie, że o coś spytam – odzywa się Ginny, spoglądając na mnie. – Jak to jest waszym zdaniem? Chodzi o kobiety czy o mężczyzn? Czy to kobiety pragną seksu, a mężczyźni go nie chcą, czy na odwrót?

Wszystkie zaczynają mówić równocześnie, więc nie ma znaczenia, że nie odpowiadam. Nie mówię im, że żadne z nas nie pragnie seksu. Wyłącznie Lynn wie, że wciąż nie przestałam współżyć z Bobem, bo mam nadzieję, że dzięki temu nie staniemy się sobie całkiem obcy. Nadal próbuję się z nim kochać, chociaż tak jak i on wcale tego nie pragnę.

Następnego ranka, zaraz po wyprawieniu dzieci do szkoły, Lynn przyciąga sobie kuchenne krzesło i wytrząsa torebkę słodziku do filiżanki z herbata, którą przed nią stawiam.

– Zanim zapomnę... Czy wpłacisz coś na Bieg po Zdrowie? Chodzi o walkę z rakiem piersi. – Przesuwam formularz w jej stronę. – Wiem, wiem... Przysięgam, że w tym roku to już ostatni raz.

– Rak piersi, bądź zielony, na ratunek wielorybom... – Z westchnieniem wpisuje nazwisko w odpowiedniej rubryce. –

Kurczę, czy jest coś, na co nie zbierasz pieniędzy? Trzymaj.

– Dzięki. A swoją drogą – mówię rozbawiona – wtedy zbieraliśmy na Greenpeace, nie na wieloryby. Zresztą to było jakieś dziesięć lat temu.

– Powinnaś z tym przyjść wczoraj na spotkanie klubu.

– A właśnie... Co myślisz o tym, co powiedziała Ginny? – Siadam naprzeciwko niej i ponieważ chcę, by wyglądało, że przypadkiem poruszam ten temat, strzepuję ze stołu nieistniejące okruszki. Lynn patrzy na mnie przez zmrużone powieki.

– Wiesz, dlaczego wszystkim wydaje się, że jesteś taka poukładana? Bo zachowujesz się, jakby tak było. – Dmucha na herbatę, czekając, aż trochę ostygnie.

– Naprawdę tak o mnie myśla?

– Jasne.

– Wcale taka nie jestem.

– Ja to wiem i ty to wiesz, ale powtórzę jeszcze raz, ludziom taka się wydajesz. – Upija łyk herbaty. – Niewiele wiedzą. Kurczę! Jedzie śmieciarka, a ja zapomniałam wystawić kosze. Muszę iść. Faktycznie udaję całkiem inną osobę. Czyż inni nie starają się nadrabiać miną? Czy ktokolwiek w moim wieku jest naprawdę szczęśliwy? Tak długo rozciągałam usta w uśmiechu, aż zaczęło to wyglądać naturalnie. Zresztą czasami rzeczywiście jest naturalne... Na przykład przy dzieciach. Albo przy Lynn. Wiem, że także w innych sytuacjach, tyle że nie jestem w stanie przypomnieć ich sobie tak na poczekaniu. O, również po jodze, kiedy uda mi się być na zajęciach. Wtedy też uśmiecham się szczerze. W te nieliczne wieczory, gdy jemy kolację sami z Bobem, panuje taka cisza, że muszę się powstrzymać, by nie przewalić stołu. Mam wrażenie, że tylko w ten sposób mogłabym wyrwać nas z odurzenia.

Kiedyś Bob powiedział:

– Jedynym niezmiennym punktem w naszym małżeństwie jest ten skraj przepaści, na którym się zatrzymaliśmy i zabijamy czas, póki nie zabraknie nam sił i już nie będziemy w stanie zapobiec nieuchronnemu upadkowi.

Byliśmy wtedy całkiem młodym małżeństwem. Czytaliśmy w łóżku książki. Od naszego ślubu upłynęły ze trzy lata. Działo się to latem, więc okna trzymaliśmy otwarte, bo nie działała klimatyzacja. Było tak parno, że nawet leżąc bez ruchu, cała się pocila.

– Posłuchaj tego – powiedział, a ja odłożyłam książkę, żeby wytrzeć spocone dłonie o prześcieradło. Wtedy Bob przeczytał na głos zdanie ze swojej książki: – Jedynym niezmiennym punktem w naszym małżeństwie... – Czytał dalej, a ja patrzyłam w sufit i myślałam, że może wentylator podsufitowy wcale nie jest złym rozwiązaniem.

– Słuchasz? – spytał Bob, po czym przeczytał ustęp jeszcze raz.

Wtedy usłyszałam. Przekreśliłam się na bok i uklepałam poduszkę, żeby widzieć Boba, zobaczyć wyraz jego twarzy. Pamiętam, jak się zastanawiałam, czy po prostu zrobił na nim wrażenie styl pisarza – czasem zdarzało mu się czytać jakieś fragmenty na głos po to tylko, żeby zachwycić się budową zdania. A może chodziło o coś innego? Odłożył książkę i zapatrzył się przed siebie, tak że widziałam tylko jego profil. A potem odezwał się właściwie do siebie:

– A więc domyślałam się, że może być gorzej.

Czekałam, że się roześmieje, ale w jego głosie nie słychać było ironii. Zupełnie jakby pocieszało go to, że przynajmniej nam układa się lepiej – nawet jeśli tylko trochę lepiej – niż tej parze stojącej na skraju przepaści. W każdym razie tak to zabrzmiało. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Pamiętam, jak za wszelką cenę próbowałam coś wymyślić, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Po kilku minutach martwej ciszy, w czasie której leżeliśmy, trzymając na piersiach książki położone grzbietami do góry, Bob odezwał się:

– Powinniśmy założyć wentylator pod sufitem. – Przerwał, by rozważyć pomysł. – Nie powinno być trudności z instalacją, pewnie zrobię to w jedno popołudnie. Co o tym myślisz?

Zamknęłam oczy, a gdy Bob na mnie spojrział, udałam, że zasnęłam. Słyszałam, jak wzdycha i przekreśla się, żeby wyłączyć lampę. Gdy jego książka spadła na podłogę, znowu się poruszył. Myślałam, że ostrożnie zdejmie mi z piersi moja powieść, ale wkrótce rozległo się chrapanie.

Zdałam sobie sprawę, że napinam mięśnie i staram się leżeć nieruchomo, a kiedy wreszcie noc stała się moją wyłączną własnością, mogłam zastanowić się nad tym, co usłyszałam. Trzeba przyznać, że to, co przed chwilą powiedział Bob, wprowadziło mnie w konsternację.

W tym czasie mój wzrok już przywykł do ciemności.

Pamiętam to, bo właśnie patrzyłam na tandetne zasłony, które powinnam zmienić, ale jakoś nie mogłam się do tego zabrać, gdy nagle pojęłam, że wcale nie powinnam czuć się zaskoczona. Co prawda sprawy mogły układać się gorzej, ale różnica nie byłaby wielka. A ja po prostu nie chciałam tego zauważać.

W tym właśnie sęk! Od tamtej nocy, gdy Bob powiedział to na głos, nie mogłam pozbyć się tej myśli. I nadal nie mogę.

Cammy

To jest takie głupie. Przeczytam to jeszcze raz później i pewnie uznam, że jest durne, więc w końcu i tak wyrzucę, ale co tam. Powinnam teraz pisać wypracowanie o tym, kto moim zdaniem w dzisiejszym świecie najbardziej dba o środowisko, ale chrzanię to. Nie mam pojęcia, kto dba o środowisko i nic mnie to nie obchodzi. Nasza planeta i tak się rozleci, nic tego nie powstrzyma, więc niby co ma pomóc jakieś głupie wypracowanie. Pisanie go to tylko strata czasu. A do tego jeszcze tyle papieru pójdzie na marne. Znakomita sprawa, nie? Pisać o środowisku i zabić przy tym kawałek lasu.

Poprzedniej nocy, jakoś koło drugiej nad ranem, wpadł Will.

Wdrapał się po drzewie, które rośnie tuż przy ścianie.

Powiedziałam mu, że mama się wkurzy, jeśli przyłapie go u mnie w pokoju, ale odparł na to, że luzik, bo przecież nic nie robimy. Chciałam na to powiedzieć: „O, to znaczy, że wkładanie twojego kutasa do moich ust to nic? Więc go zabieraj w diabły”. Ale nie powiedziałam tego, a on sobie poszedł wkrótce po tym, gdy skończyłam.

Ta cała historia z Willem sprawia, że czuję się mała i mam ochotę wpełznąć do jakiejś dziury. Albo wdrapać się mamie na kolana.

Czyżbym chciała znów stać się małym dzieckiem i tym razem zrobić wszystko jak należy? Tak to wygląda, więc pewnie tak.

Przyglądałam się twarzom w tłumie, jakbym próbowała zobaczyć siebie samą. To takie dziwne. Zupełnie jakbym naprawdę miała ujrzeć swoje odbicie w lustrze. Może to dziwaczne, ale nie mogę przestać przypatrywać się ludziom. W centrum handlowym, w kolejce do kina. Dziwnie jest myśleć, że moja prawdziwa matka jest tam gdzieś i może też mnie szuka. Na pewno jest piękna.

Pełna wdzięku. Elegancka.

Ciekawe, czy żałuje, że mnie urodziła. Wyobrażam sobie, jak próbuje mnie odnaleźć. Jakby zdawała sobie sprawę, że popełniła potworny błąd. Założę się, że miała depresję poporodową. Nie wiedziała, gdzie się zwrócić, więc mnie porzuciła, żeby mieć trochę spokoju i ciszy. Z pewnością następnego dnia zmieniła zdanie, ale już było za późno. Samantha i Bob Friedmanowie zabrali mnie i nie powiedzieli jej dokąd. A ona od tamtej pory żyje z pustką w sercu. W wyobraźni widzę, jak ją odnajduję, ona zachęcająco klepie się po nodze, a ja – chociaż jestem na to o wiele za duża – wdrapuję się jej na kolana. Chcę z nią zacząć wszystko od nowa. Od samego początku.

Rodzice świrują na moim punkcie. Sądzą, że ich nie słyszę zza ściany, ale przecież w tym domu słyhać wszystko z każdego miejsca, więc to jest tak, jakby uważali, że jestem głucha albo coś. Zeszłej nocy słyszałam ich nawet przez swojego iPod'a. Ciagle Cammy to i Cammy tamto, jakby musieli jeszcze mnie wykorzystywać, by nie zwariować w tym swoim nudnym życiu. Nigdy nie wyjdę za mąż. Może zostanę lesbijką. Przy swoich kolegach Will nazywa mnie lesbą. To dlatego, że nie mam jeszcze piersi jak te dziewczyny w typie cheerleaderek, które obciągają piłkarzom. Czasami zastanawiam się, jak to jest być taką śliczną. Te dziewczyny mogą przebierać i wybierać, nie muszą się martwić o stopnie ani o to, że ktoś je zlekceważy. Nikt ich nigdy nie ignoruje. Faceci obchodzą się z nimi, jakby były ze szkła, wszyscy są delikatni i uprzejmi jak wobec księżnej Diany. No nie, kretynko, ona przecież nie żyje. No więc nie wobec księżnej Diany, tylko kogoś w tym stylu, na kogo patrzy się z podziwem. Jak na przykład Missy Delaney.

Missy Delaney była pierwszą osobą, która zauważyła, że nie pasuję do swojej rodziny. Tak właśnie powiedziała tym swoim piskliwym głosem: „Nie pasujesz do swojej rodziny”. Jakbym była torebką, a oni butami. To zdarzyło się jakieś osiem lat temu, i ważne, że wśród ludzi, więc powiedziała to tak, że zabrzmiało niemal jak komplement. Zupełnie jakbym była ładniejsza albo coś w tym stylu. Ot, udawanie na pożytek innych, bo obie doskonale wiedziałyśmy, że wcale nie chciała być miła. Myślę, że była pierwszą osobą, która tak jawnie, tak szczerze mnie znieubiła. Do dziś nie wiem, czemu wybrała sobie właśnie mnie na to nielubienie.

Chociaż chyba już rozumiem. Gdybyśmy poznały się dziś, wcale bym się jej nie dziwiła. Bo to jest trochę tak, jakbyśmy pochodziły z różnych planet. Kiedy ufarbowałam włosy na czarno, mówiła wszystkim, że jestem początkującą lesbijką, a gdy przekłułam sobie nos, powiedziała, że już zostałam pełnoprawnym członkiem społeczności gejowskiej.

– Ale w lesbijskiej parze to nie ty malujesz usta – skrzeczała do swoich wyznawców.

O niczym tak nie marzę, jak o tym, żeby po skończeniu szkoły przestać o niej myśleć.

Już się całkiem przyzwyczaiłam do tych udawanych pokasływań, które się rozlegają, gdy wchodzę do klasy. Przywykłam, że wszyscy się ze mnie śmieją, a nawet do obleśnych ruchów, które Max robi

językiem, gdy idę obok niego do swojej ławki. To znaczy dawniej mnie to gryzło, ale co tam. Nienawidzę swojego życia.

Jedyną osobą, do której to dociera, jest Monica. Przeprowadziła się tutaj na początku liceum, ale ponieważ nikt jej nie znał ze szkoły podstawowej, właściwie z nikim się nie koleguje. Tyle że z Monicą jest taka sprawa, że jej nie obchodzi, czy ją ktoś lubi. A nawet jeśli, to całkiem dobrze się z tym kryje. Już dwa lata temu, gdy miałyśmy po czternaście lat, mówiła o takich rzeczach jak autoekspresja i uczciwość artystyczna. Czasami siedzimy do późna, gadając o sprawach, o których ciągle myślę. Na przykład o tym, że nasz zewnętrzny wizerunek nigdy nie odpowiada temu, co mamy w środku.

– No, przynajmniej akurat ja nie jestem hipokrytką – powiedziała kiedyś Monica. – Ubieram się na czarno, bo taka jestem wewnątrz. Mroczna. Nie będę wydawać kasy na te błyszczące gówna.

Tydzień temu poszłyśmy na zakupy i wydałam całe kieszonkowe na nowe ciuchy. Przypominają to, co nosi Monica, chociaż wcale jej nie naśladuję. Po prostu byłam gotowa na zmianę. Ona co prawda uważa, że ją papuguję, ale to nieprawda.

Wydaje mi się, że moich rodziców nie obchodzi, co ja myślę. Dla nich bardziej się liczy, skąd pochodzę, co zresztą ma sens, bo dla mnie to też ważne. Wiem, że już nie należę do Samantha i Boba. Komiczne, jak się wściekają, gdy zwracam się do nich po imieniu. A przecież są to ich imiona. Wszyscy ludzie tak się do nich zwracają, więc czemu ja mam tego nie robić? Jednak nie chciałam, żeby chłopcy zaczęli mnie naśladować, więc musiałam przestać. To nie wina chłopców, że nie należę do tej rodziny. Im jest obojętne, jakiego koloru mam włosy, gdzie noszę kolczyki albo ile make-upu nałożyłam na twarz. Traktują mnie normalnie, jakbym była ich siostrą. Na razie jeszcze nie chcę, żeby poznali prawdę. Są na to za mali, a zresztą, czy ich to w ogóle by obeszło? Oto wiersz, który napisałam dzisiaj w klasie. Myślę, że jest do bani, ale co tam. Wpiszę go tutaj dla potomności na wypadek, gdybym sobie palnęła w łeb czy coś w tym rodzaju. Albo gdybym wszystkich powystrzelała.

Inna

Patrzył na mnie oczami, które mówiły: „Rety, myślałem, że już się domyśliłaś”.

*Jakbym była taka tępa, że nigdy mi to nie przyszło na myśl.
W końcu wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie*

pasować.

Zagadka rozwiązana, choć nie tamtego dnia.

*Tamten dzień wydawał się ciasny i ponury jak jaskinia,
z której nie mogłam się wydostać.*

*Rozwiązanie zagadki poznane po wyjściu z jaskini dzieciństwa,
które skończyło się wtedy, w samochodzie, w drodze na
trening piłkarski,*

w dniu, który zaczął się jak wszystkie poprzednie dni.

Odpowiedzi leżały przede mną, w samym środku dojrzewania.

*Wzięłam to z sobą jak kamyk, który podniosłam na plaży
i włożyłam do kieszeni,*

żeby móc pamiętać piasek nawet po powrocie z wakacji.

Nawet wtedy, gdy przysypie mnie śnieg.

Nawet wtedy, gdy znajdę się w ciemnej jaskini.

To jest właśnie mój głupawy wiersz.

Samantha

Wracamy do domu z wizyty u nowych znajomych. Poznaliśmy ich podczas dnia otwartego w szkole chłopców. Zorganizowano to tak, żeby rodzice mogli uczestniczyć w skróconych wersjach lekcji, na które chodzą ich dzieci. Właśnie prezentowali nam przerwę obiadową, więc znaleźliśmy się w stołówce. Staliśmy nad plastikową tacą gotowych zestawów surowych warzyw, ozdobionych przywiedłą sałatą, wysuszonymi marchewkami i serowym dipem, na którym zastygł już kozuch. Tamtego wieczoru Dave i Susan Strongowie wydali się nam cudowni. Kiedy rozległ się dzwonek, podaliśmy sobie ręce, a ja powiedziałam, że musimy się kiedyś spotkać. Następnego dnia dostałam mejla z wykazem wieczorów, kiedy są osiągalni, i pomyślałam, jak wspaniale się układa...

Nie wiem, czemu wydawało mi się, że kolacja z nowymi znajomymi może w czymś pomóc. Musiałam wyrzucić presję i sięgnąć po argumenty o mocy niemal tak potężnej jak ustawa uchwalona przez Kongres, żeby Bob zgodził się ze mną pójść. On nigdy nie chce nigdzie chodzić, i tyle.

W samochodzie w drodze do domu zatrzymujemy się na czerwonym świetle i Bob odwraca się do mnie.

– Obiecuj mi, proszę, że już więcej nie będziemy musieli się z nimi spotykać. Na miłość boską, ten facet nosi chodaki. Nawet pielęgniarze przestali już w nich chodzić. To najbardziej niedopasowana para, jaką widziałem w życiu. Słyszałaś, co jej powiedział na temat kurczaka?

– Nie wierzyłam własnym uszom. A widziałeś jej minę, kiedy zaczął mówić, jak to ona zawsze musi schrzanić kolację?

– Pewnie się pokłócili – orzeka Bob.

W samochodzie przed nami palą się światła hamulców. W ich blasku widzę, jak Bob językiem wyciąga z zębów resztki jedzenia. Odwracam wzrok, gdy zaczyna przeżuwać coś, co udało mu się wydobyć.

– No dobra, ale żeby wyciągać to przy ludziach, których ledwie poznali? Wiesz, że było czerwone światło? – mówię.

– Kiedy przejeżdżałem, było żółte. Chcesz sama prowadzić?

– Przecież tylko mówię.

– Słyszałaś, jak drwiąco powiedział: „O Boże, tylko nie to”, kiedy nadmieniła, że opowie świetną anegdotę o dyrektorze poprzedniej szkoły? – pyta Bob.

– To dupek. Nie znoszę ich obojga. Ona jest rasistką. Nie wiem, czy zwróciłeś uwagę, ale równie dobrze mogłaby włożyć na głowę biały kaptur.

– W takim razie skończyliśmy z nimi, tak? – upewnia się Bob. Ma zielone światło, ale siedzi, jakby paliło się czerwone.

– Możesz jechać, jest zielone. Jasne, skończyliśmy z nimi. Kurczę, cały czas się kłócili. Możemy ich nazwać państwo Sprzeczalscy. Wybuchamy śmiechem i chyba nie tylko ja, ale oboje uświadomiamy sobie, że już dawno nie śmialiśmy się razem, bo Bob lekko ściska moją dłoń, po czym ponownie kładzie ręce na kierownicy w pozycji za dziesięć drugą. Rzadko kiedy prowadzi jedną ręką.

Myślałam, że Dave i Susan Strongowie będą inni. W duchu mam już dość naszych znajomych par, oczywiście poza Lynn i Mikiem. Nie czuję się dobrze, kiedy mówię coś podobnego, tym bardziej że sama kiedyś taka byłam, ale prawie wszystkim, a może i wszystkim ludziom, których znam, wydaje się, że wychowywanie dzieci to największy dar na świecie. Leanne. Kerry Kendricks.

Sally. Gdy pytasz, jak im leci, zawsze ci opowiedzą, co ostatnio zrobiły lub powiedziały ich dzieci. Ani słowa na swój temat.

Czasami spoglądam na siebie z boku i spostrzegam, że jestem taka sama. Nie cierpię tego. Nienawidzę. Ogarniają mnie mdłości, gdy pomyślę, że mózg mi rozmięka, gdy leżąc w łóżku, zastanawiam się, co następnego dnia zrobię dzieciom na lunch do szkoły. Albo czy muszę już kupić kolejną zgrzewkę soczków. Mam dość wożenia ich do szkoły, w ogóle nie chcę już być poświęcającą się bez reszty mamuszką.

Zmęczyło mnie zaganianie dzieci do lekcji gry na pianinie i gitarze, treningów piłki nożnej, korepetycji. Prace domowe, które przynoszą ze szkoły, pochłaniają niewyobrażalną ilość czasu i wysiłku. Teraz, po zmianie czasu, wychodzimy po ciemku i również w ciemnościach wracamy do domu. Próbowałam przygotowywać przyzwoite domowe posiłki, ale ostatnio wrzucam po prostu gotowe mrożone kawałki kurczaka i podgrzewam konserwowy groszek.

Dzieciakom to odpowiada, jednak gdy słyszę ich okrzyki:

– O, kurczakowe kaski, nuggetsy! Fajnie! Dzięki! – mam jeszcze większe poczucie winy, że karmię je takim chłamedem.

Ale wciąż brakuje mi czasu. Tylko o tym wciąż rozmawiamy. Wszyscy, których znam. No więc właśnie. Tak wygląda nasze życie.

Mówimy o kobietach, które zostawiają dzieci w przedszkolach

albo z niańkami, a same pracują na pełnym etacie.

– Po co w takim razie mieć dzieci? – pyta któraś z nas.

A pozostałe tylko kiwają głowami, jakby chciały powiedzieć:

– To prawda, straszne z nich egoistki. Będą żałować, że wróciły do pracy, gdy z ich dzieci wyrosną młodociani przestępcy.

Kiedyś byłam przedstawicielką handlową firmy farmaceutycznej.

Zaraz po ukończeniu college'u dostałam pracę w

przedsiębiorstwie, które właśnie wprowadziło na rynek środek antydepresyjny, o którym magazyn „Time” pisał, że to „pigulka, która skłoniła nas do zmiany zdania”.

Przyjęto mnie wraz z ogromną liczbą osób, a każdy z moich klientów składał ogromne zamówienia. Przez pół roku wybierano mnie na pracownika miesiąca. Pamiętam, jak kulejąc na szpilkach, wracałam do naszego nędznego trzypokojowego mieszkania na przedmieściu. Wieczorem moczyłam nogi w wodzie z solami i siedząc na brzegu wanny, tłumaczyłam Bobowi, że moja pensja jest tego warta. W końcu jednak znienawidziłam to całe chodzenie, gadanie, przymilanie się i wręczanie próbek lub długopisów, na których widniały reklamy leków. Odeszłam z pracy zaraz potem, gdy zareczyliśmy się z Bobem.

Myślałam sobie, że to było wyjątkowo uciążliwe zajęcie.

I właściwie nie brakowało mi go prawie przez cały rok.

A potem przesiadywałam w naszym dusznym mieszkaniu, nie robiąc nic konkretnego, i zastanawiałam się, dlaczego zrezygnowałam ze sprzedaży antydepresantów. Rozważałam też, czy mnie samej nie przydałby się taki środek. Poczułam ulgę, gdy zaczęliśmy szukać domu. Od razu nabraliśmy wigoru. Mieliśmy cel. Później przeprowadziliśmy się i zabrałam się z zapalem do rozpakowywania. Do moszczenia gniazdk. Poczułam się – oboje to czuliśmy – dorosła. Leżeliśmy w łóżku, nad głowami mieliśmy nowy sufit i słuchaliśmy nieznanymi dźwięków w tym obcym domu. Mieliśmy wówczas tyle spraw do omówienia. Gadaliśmy o lampach i wyprawach do sklepów z materiałami budowlanymi, o klamkach do drzwi, ciekących kranach i ozdobnych gzymsach. Wiedziałam, gdzie w budowlanym markecie znajdziemy gwoździe (alejka piąta), a Manuel z działu malarskiego (w połowie siódmej alejki, na prawo) dopytywał, czy zielona farba sprawdziła się w sypialni. Nauczyliśmy się z Bobem rozpoznawać skrzypiące stopnie i omijaliśmy je uprzejmie, gdy jedno z nas spało. Zapragnęłam mieć dzieci, bo się nudziłam. Miałam dwadzieścia osiem lat, gdy po raz pierwszy poszliśmy do kliniki leczenia bezpłodności. Lekarz odesłał nas ze śmiechem, mówiąc, że

jesteśmy młodzi i mamy mnóstwo czasu, by próbować metod naturalnych.

– Masz minę, jakbyś usłyszała wyrok śmierci, Pam – powiedział. – Na miłość boską, przecież jesteście dopiero po ślubie! I tak pewnie tylko tym się zajmujecie, prawda?

Upił łyk kawy, podniósł się i odprowadził nas do drzwi. Nawet nie próbowałam zwrócić mu uwagi, że pomylił moje imię.

A potem nadszedł rok 1991. Miesiąc po miesiącu ze wstrzymanym oddechem czekałam na zbliżający się okres. Jeśli spóźnił się o dzień, wyciągałam kolejny pasek z ekonomicznego opakowania testów ciążowych. Zużyłam ich dwanaście, zanim pojawiliśmy się w gabinecie innego lekarza, którego spytaliśmy o zastrzyki stymulujące pracę jajników. Na początku 1992 roku zaczęliśmy mówić o metodzie in vitro. Bob czuł się wyczerpany emocjonalną i fizyczną huśtawką, natomiast ja byłam w pełni skoncentrowana, zdecydowana i trochę szalona. Załamywałam się za każdym razem, gdy na majtkach pojawiały się wiele mówiące plamy. Jeszcze gorzej było, gdy ludzie dopytywali, kiedy stworzymy prawdziwą rodzinę. Nikt nie zdaje sobie sprawy, ile bólu może przysporzyć takie pytanie, gdy właśnie jesteś po badaniu ultrasonograficznym, które wykazało, że metoda in vitro zawiódła po raz trzeci.

W połowie 1992 uchwyciłam się z całej siły poręczy krzesła, na którym siedziałam obok Boba. Naprzeciwko zajmował miejsce trzeci już specjalista od leczenia bezpłodności, który odchrząknął, rzucił okiem na moją kartę, po czym oznajmił:

– Być może powinniście zastanowić się nad adopcją.

Cammy

Co pewien czas w radiu Q-101 mają weekend wolny od reklam. Ten właśnie był taki i każda piosenka, którą nadawali, była dobra. Spojrzeliśmy na siebie z Rickim w chwili, gdy zaczęli grać Plastic Rabbits, i zdaje się, że jednocześnie pomyśleliśmy to samo, a mianowicie czemu dla radia nie ma czegoś takiego jak nagrywarka TiVo, by mieć na zawsze to, co się podoba, a chłam spuszczać w niebyt.

– Ktoś powinien coś takiego wynaleźć – powiedział Ricky. Leżał z głową na moich kolanach i można by pomyśleć, że jesteśmy para, ale Ricky nie myśli o mnie w ten sposób, więc wszystko jest w porządku. Przyglądaliśmy się grupie starszych ludzi, którzy w parku ćwiczyli tai-chi. Ricky nazywał to ching dong, a ja dostałam takiego ataku śmiechu, aż dietetyczna cola, którą piłam, wypłynęła mi nosem. I akurat wtedy Missy Delaney przechodziła obok. Pieprzona Missy Delaney. Ma duży biust, więc oczywiście podoba się wszystkim facetom. Nawet Ricky'emu. Zwykle zgadzamy się we wszystkim, ale gdy chodzi o Missy, to lepiej nie gadać.

Wycieram zachlapany colą nos w rękaw koszuli, więc nie widzę miny Ricka, jaką ma za każdym razem, gdy ona przechodzi. Ricky jest całkiem spoko, a tu kurczę, pojawia się ta sztywna suka. Dzięki Bogu, nie muszę patrzeć, jak mu na twarzy wyskakują czerwone plamy. Nie mogę tego znieść.

– Słyszałam, że w sobotę wieczorem poszła z jakimś facetem z liceum Lane Tech – powiedziałam.

– Bzdura, nie wierzę – oburzył się Ricky.

No właśnie. Gdyby chodziło o kogoś, na kim mu nie zależy, roześmiałby się, przytaknął mi albo w ogóle pominął temat milczeniem, ale tym razem się wkurzył i stąd wiem, że się w niej durzy. W dodatku ledwie ją zobaczył, błyskawicznie poderwał się z moich kolan, jakby nas przyłapała na seksie. No i oczywiście zawsze staje w jej obronie.

– Właściwie dlaczego ona w ogóle ci się podoba? – spytałam. – Ale tak poważnie.

– Wcale mi się nie podoba – odparł.

– Tak, jasne.

– Właśnie że nie – upierał się. – Ale też nie czuję do niej takiej nienawiści jak ty, więc wybacz.

A może marzy mu się, żeby mu obciągnęła, tak jak ja Willowi? Ciekawe, czy nadal by się ze mną przyjaźnił, gdybym mu opowiedziała, jak poprzedniego wieczoru Will warknął:

– Ruszaj się prędzej!

I tak głęboko wbił mi się w usta, że się zakrztusiłam.

Czy Ricky też nazwałby mnie dziwką, jak to zrobił Will?

– Nie mogę uwierzyć, że dajesz się nabierać na te jej bajdy – powiedziałam. – Mój ojciec był na okładce magazynu „Fortune”, a twój nie – zadrwiłam, imitując jej głos. – Jezu, jakby było czym się chwalić.

– Cholera, ale się zrobiłaś upierdliwa!

– O co ci chodzi? Jestem taka sama jak zawsze.

– Zachowujesz się, jakbyś wyznawała kult Moniki. We wszystkim ją naśladujesz.

– Chrzań się! Wcale jej nie naśladuję.

– Naprawdę? A przedtem się zarzekałaś na wszystkie świętości, że nigdy nie przekłujesz sobie nosa.

– To było w czwartej klasie. Wiesz, co wczoraj zrobiłam? –

zmieniam temat. – Wzięłam dwie tabletki benadrylu. Ale odlot! Serio. Mówią, żeby brać jedną, ale lepiej połknąć dwie.

– Jesteś walnięta.

A potem zaczął się ze mną na niby mocować. To jego sposób na przeprosiny, a ja wiedziałam, że robi to, bo Missy odeszła już wystarczająco daleko, by nie widzieć, jak się na mnie rzucił. Nagle przypomniałam sobie, że muszę iść z mamą do pieprzonego kina, a nie mam na to najmniejszej ochoty.

Mniej więcej miesiąc temu pojechałyśmy do takiego miejsca, gdzie sprawdzają, ile spalin wydziela twój samochód. Tkwiłyśmy jak szczury w pułapce w kolejce długiej na jakieś tysiąc aut i nie było co robić. W radiu nie leciało nic dobrego, a w moim iPodzie akurat padła bateria.

W każdym razie mama zaczęła głądzić o swoim dzieciństwie i jak ze swoją mamą jeździła w niedzielę wieczorem do kina samochodowego. Zauważyłam, że tak pewnie było w latach pięćdziesiątych, jak w tym filmie „Grease”, a ona na to, że w siedemdziesiątych ciągle były kina samochodowe. Zresztą nieważne. No i zaczęła mówić, że my też powinnyśmy ustanowić taką tradycję i że ona ubóstwiała te niedzielne wieczory z mamą. A potem ucichła, jakby zatopiła się we wspomnieniach. Nie wiem, jak to się stało, lecz nagle dotarło do mnie, że mówię „jasne”, a ona zaczyna zachowywać się, jakby wygrała los na loterii. Mam wyrzuty sumienia, że jestem tak podła i daję jej tak popalić. W

gruncie rzeczy tak niewiele trzeba, by ją uszczęśliwić, skoro tak ją podkreślił niedzielny popołudniowy seans filmowy. Patrzyła na mnie, jakby to był najlepszy pomysł od początku świata. I znowu zaczyna, ile to dla niej znaczy, że to zaproponowałam. Nic nie proponowałam, ale wyraźnie chciała mi wmówić, że to ja wymyśliłam, więc nie mogłam się wycofać. Nie wiem, czy ona sobie zdaje sprawę, jak sztucznie demonstruje mi tę swoją wielką miłość. Wobec chłopców nigdy nie zachowuje się tak uprzejmie. Do mnie odnosi się bardzo ostrożnie, przynajmniej zawsze to tak odbierałam. Jakby uważała, że ja jestem tu tylko na jakiś czas. Chłopcy nie mogą zerwać się i odejść, ale ja tak. Nie jestem z nią związana więzami krwi. Odkąd pamiętam, zawsze to czułam. Przez całe życie mam wrażenie, że mnie obserwują. Jak szczura w laboratorium doświadczalnym. Wrzucili mnie do swojej mieszanki DNA i z ciekawością przyglądają się cechom wrodzonym i nabytym. Omawiamy to teraz w szkole. Geny a wychowanie. Za żadne skarby świata nie przyznałoby się do tego, ale traktują mnie inaczej. Bez względu na to, jak mocno mnie przytulali, od kiedy pojawili się chłopcy, zawsze widziałam, że ich przytulają serdeczniej. I dłużej. Zupełnie jakby im ulżyło. Jakby myśleli sobie: „Uff! A już nam się wydawało, że nie trafi nam się nic lepszego niż Cammy”.

Ni z tego, ni z owego tego ranka chciałam powiedzieć mamie, jaka jest ładna. Tak bardzo, że niemal boli, gdy się na nią patrzy. Prawie nigdy się nie maluje, bo właściwie jej to niepotrzebne. Po prostu jest śliczna z natury. Żałuję, że nie jestem do niej podobna. Pewnie patrząc na mnie, zastanawia się, jak wyglądałaby jej rodzona córka.

Samantha

Kiedy po raz pierwszy usłyszeliśmy głos Cammy, darła się, powtarzając bez ustanku „jesce ploś”. Płakała tak bardzo, że prawie się dławiła. Wyznaczona przez opiekę socjalną zastępcza matka wyjaśniła nam, że ma to znaczyć „poproszę jeszcze” i przekrzykując dwuletnią Cammy, zwróciła nam uwagę na idealne maniery dziewczynki.

– Umie też powiedzieć „dziękuję” – poinformowała nas ta dama. Energicznie kołysała Cammy w górę i w dół, wyrywając jej butelkę, żebyśmy mogli zobaczyć buzię dziecka. Im mocniej ciągnęła butelkę, tym głośniejsze dziecko płakało.

Z trudem powstrzymałam się, aby nie porwać małej w ramiona, jednak nie chciałam sprawiać wrażenia wariatki, która gotowa jest ukraść dziecko.

– Co jest w tej butelce? – spytał Bob.

Wcześniej nie zwróciłam uwagi na brązowy płyn. Słuchając głośniego płaczu Cammy, myślałam wyłącznie: „Proszę, podaj mi ją wreszcie! Na miłość boską, pozwól mi ją przytulić”.

Przeczytałam wszystkie książki o tym, czego można oczekiwać w okresie wczesnego dzieciństwa, ale jakoś nie dotarło do mnie, że Cammy wciąż jest karmiona butelką. Miała dużą niedowagę, więc łatwo było zapomnieć, że skończyła już dwa latka i powinna dostawać normalne jedzenie.

– To coca-cola – odparła zastępcza matka. – Tylko nie dawajcie jej dietetycznej. Pije wyłącznie zwykłą.

Poczułam radość, że mówi do nas, jakby Cammy była naszą córką.

– Daje jej pani coca-colę? – zdumiał się Bob.

Przestraszyłam się, by nie rozgniewał jej ten jego ton, ale zaraz przypomniałam sobie, że opiekunowie zastępczy nie mają nic do powiedzenia w sprawach adopcji. Nie mogła nam zaszkodzić, nawet gdyby poczuła się urażona. A była urażona.

– Ależ proszę bardzo, może sam pan spróbuje karmić dziecko narkomanki. Pomyślał pan o tym? Pewnie wam się wydaje, że już wszystko wiecie. Gdyby nie dostała coca-coli, ogłuchłabym od jej ciągłego wrzasku.

Obecna przy tym pracownica z opieki socjalnej zakasłała.

– No cóż... Państwo Friedmanowie zostali zapoznani ze sprawą. – Pochyliła się do mnie i szepnęła: – Jak pani widzi, ta rodzina zastępcza jest ociupinkę przepracowana. Mają pełen dom dzieci. Ale w gruncie rzeczy wcale nie jest tak źle.

Nie mogę sobie przypomnieć imienia tej kobiety. Dziwne, bo tyle razy z sobą rozmawialiśmy, że zapamiętałam nawet jej telefon. Podczas wszystkich zajęć dla rodziców adopcyjnych podsuwała nam różne karteczki z informacją „to jest ważne” albo „to może się przydać”.

W tym czasie prowadzący zajęcia mówił o tym, jak zajmować się dzieckiem uzależnionej matki.

Nie cierpiałam tej etykiety. Powinno być coś lepszego. Ale cóż, faktycznie zaproponowano nam uzależnione płodowo niemowlę. Okres oczekiwania na zdrowe dziecko był niesamowicie długi, poszliśmy więc z prywatną wizytą do prawnika, którego wynalazł nam Mike. Nazwał go kombinatorem. Kimś, kto potrafi wszystko załatwić. Naoliwić tryby maszyny. Prawnik działał wewnątrz systemu i przyspieszał sprawę. Bob i Mike szeptali coś na ten temat, a ja domyślałam się, co to oznacza: pieniądze zmieniały pod stołem ręce. Mało mnie to obchodziło. Ja tylko chciałam mieć dziecko.

Wiedzieliśmy, że podczas drugiej wizyty w ośrodku adopcyjnym będziemy oglądać zdjęcia. Miałam na sobie szare spodnie, bo to była jedyna para, która wciąż leżała na mnie dobrze. Stres spowodował, że straciłam sporo na wadze. Była szósta trzydzieści rano, gdy Bob w łóżku odwrócił się twarzą do mnie. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, po czym dotknął mojego policzka i powiedział:

– Jedźmy już po nią.

Zupełnie jakby nasza córeczka czekała, aż odbierzemy ją ze szkoły. Tak właśnie pomyślałam, gdy wypowiedział te słowa. Jego ton, jego uśmiech, dotknięcie dłoni, którą odgarniał mi włosy z oczu, wszystko to sprawiło, że płakałam i śmiałam się jednocześnie. Naprawdę starał się być równym facetem. W głębi duszy zdawałam sobie sprawę, jak trudno mu okazywać entuzjazm, a jednak robił wszystko, co w jego mocy, za co byłam mu szczerze wdzięczna. Przytuliliśmy się do siebie, Bob poprawił koldrę. Przesunęłam rękę po jego piersi, ale gdy dotarłam do krawędzi bokserek, zatrzymał moją dłoń. Pocałował mnie w czoło i spytał:

– Chcesz iść pierwsza pod prysznic?

Nie tyle zraniło to moje uczucia, ile zasmuciło. Patrząc na to z perspektywy czasu, musiałam już wtedy czuć, że przekroczyliśmy pewną granicę i nigdy nie znajdziemy sposobu, żeby wrócić do tego, co było. Wówczas jednak nie potrafiłam tego sprecyzować. Wiedziałam tylko, że od chwili gdy zdecydowaliśmy się na adopcję,

seks stał się zbędny. Nieistotny. Wtedy już oboje myśleliśmy o seksie z nienawiścią. Wszystko przez te wizyty w klinice leczenia bezpłodności. Znikanie Boba w dusznym pokoju, gdzie musiał zostawić depozyt, jak to tam nazywali. Do plastikowego kubeczka. Mówił mi, że leżą tam stare numery „Playboya”, których brzydził się tknąć, bo wydawały się lepkie. Był też płyn kosmetyczny w dozowniku na ścianie, pudełko chusteczek higienicznych i flamaster do podpisania naklejki, która jest przyklejona do kubka. Sińce na brzuchu od zastrzyków, które sobie robiłam, żeby zwiększyć liczbę jajeczek. Zestawy testów owulacyjnych. Uprawianie seksu podczas jajeczkowania, jakby chodziło o naukowe doświadczenie. Bo tak po prawdzie było.

Do ośrodka przyjechaliśmy o pół godziny za wcześnie.

Recepcjonistka zauważyła z uśmiechem, że wiele osób tak robi, gdy mają oglądać zdjęcia.

– To znak, że podjęliście właściwą decyzję – dodała.

Na te słowa Bob uściśnął moją dłoń.

Kiedy pracownica agencji, która zajmowała się naszą sprawą, wspomniała, że może być konieczność dalszego czekania (my i tak czekaliśmy stosunkowo krótko dzięki naszemu podejrzananemu prawnikowi), Bob wymamrotał, że takie rozwiązanie nie wydaje się dobre. Pewnie powinnam była zwrócić na to uwagę, ale myślałam tylko o jednym. Traciłam go łokciem, a wtedy uśmiechnął się szeroko. Wiedział, że tego właśnie po nim oczekuję. W tych agencjach na wszystko zwracają uwagę. Najmniejsze wahanie może sprawić, że odrzucą kandydaturę. Nie wiem, czemu tak mi się śpieszyło, ale pamiętam, co czułam. Wydawało mi się, że czas ucieka i nas pomina, nie przyznają prawa do adopcji i nigdy nie będziemy mieli dzieci. Czasem zastanawiam się, jak by to było, gdybym tak nie parła do tego, żeby mieć pełną rodzinę. Prawdę mówiąc, zastanawiam się nad tym bez przerwy.

Byłam przekonana, że stanie się to już tego dnia, podczas oglądania zdjęć. Wcześniej kupiłam Bobowi breloczek do kluczy z wygrawerowaną datą. Chciałam mu go wręczyć podczas kolacji. Dzień, kiedy pojawi się nasze pierwsze dziecko. Pamiętam, z jaką radością zapłaciłam podwójną cenę grawerowi, żeby zdażył z robotą. Nieco wcześniej zawiadomiono nas, żebyśmy przyszli do agencji, a minęły właśnie dwa tygodnie od złożenia wniosku o adopcję.

Przestałam przewracać kartki w albumie od razu, gdy tylko ją zobaczyłam. Patrzyła wilkiem w obiektyw, a opuszczone kąciuki ust przypominały moją matkę, która robiła taką minę, gdy się nad

czymś skupiała. Zawsze tak wyglądała, kiedy sprawdzała kulinarny przepis, gdy przyszedłam do domu po wyznaczonej godzinie lub gdy ojciec bez uprzedzenia nie zdążył wrócić na kolację.

I oto była. Śliczna główka pokryta jasnobrazowymi – niemal blond – kręconymi włoskami.

Powiedziałam:

– To ona.

Sądziłam, że gdy nadejdzie ten moment, coś poczuje.

Właściwie nie wiem co. Jakiś przebłysk, wstrząs... Tymczasem było całkiem zwyczajnie. Miałam wrażenie, jakbym znała ją całe życie. Jakbym ją przyciągnęła do nas siłą woli.

Bob oparł dłoń na moim ramieniu i pochylił się, żeby lepiej widzieć zdjęcie. Przesunęłam album, by mógł się przyjrzeć, a kiedy podniosłam wzrok, dostrzegłam w jego twarzy coś niespodziewanego. Czując, że się odwróciłam w jego stronę, szybko to ukrył, ale nie miałam żadnych wątpliwości. Wydawał się pokonany. Zrezygnowany.

Chciałam coś powiedzieć, tylko co? Milczałam więc. On zaś dłoń wsunął pod pachy i zamknął się w sobie jak nietoperz.

– Zostawię was na chwilę samych – odezwała się konsultantka, przerywając niezręczną ciszę.

– O co ci chodzi? – spytałam, gdy zamknęły się za nią drzwi.

– O nic. – Nie patrząc na mnie, jeszcze bliżej przysunął do siebie album i uśmiechnął się, patrząc na zdjęcie, po czym przybrał pogodną minę.

Chciał zatrzeć złe wrażenie, wiedziałam to.

– Skrzywiłeś się – podjęłam.

– Wcale nie.

– Właśnie że tak. Jeśli chcesz coś powiedzieć, po prostu powiedz.

– Nie. Chociaż... To znaczy... jest śliczna. Bez wątpienia. Ale...

– Ale co? – Może za bardzo na niego naskoczyłam, ale wytrącił mnie z równowagi. Bo dlaczego próbował się wycofać? Tak daleko zaszedliśmy. Rozmawialiśmy przecież o adopcji dziecka specjalnej troski. Przedtem sprawiał wrażenie, że uważa to za dobry pomysł. Mówił, że skoro mnie na tym zależy, on nie ma nic przeciwko. No dobra, więc robił to dla mnie, ale przecież nie ma w tym nic złego. To pewnie dlatego, że zobaczył, jak bardzo tego pragnę. Wiedział, że chcę być nadzwyczajna. Właśnie: nadzwyczajna. Sprawić, by nastąpiły zmiany w życiu dziecka, to jedno, lecz zmienić życie dziecka specjalnej troski – to dopiero wydawało mi się właściwe.

Lynn usiłowała zrozumieć, czy jest ku temu jakiś szczególny

powód. Pytała, czy może moja mama pracowała z dziećmi opóźnionymi w rozwoju.

– I co właściwie ci się zdaje? – dociekała zdenerwowana. – Liczysz na specjalną nagrodę? Ulicę nazwaną twoim imieniem? Święta męczennica, patronka amerykańskich matek? – drwiła.

A ja nie potrafiłam tego wyjaśnić. Ani jej, ani tym bardziej Bobowi. W każdym razie nie umiałam wytłumaczyć im wystarczająco dobrze.

No więc siedzieliśmy tam, wpatrując się w zdjęcie Cammy w zapinanym na trzy klamry segregatorze.

– Ale co? Dokończ, co chciałeś powiedzieć – wciąż nalegałam.

– Nic.

– Nic?

Wreszcie odchrząknął. Robi tak zawsze, gdy ma coś do powiedzenia.

– Tylko... – znowu chrząknięcie – to znaczy... Czy jesteśmy pewni, że możemy wziąć uzależnione płodowo dziecko?

– Wiesz, że nie znoszę tego określenia.

– Ale rozumiesz, o co mi chodzi. Bez względu jak to nazwiemy, dziecko urodziło się uzależnione. To ogromna odpowiedzialność.

– Rozmawialiśmy o tym, i to wiele razy. Myślałam, że się z tym pogodziłeś. Mieliśmy takie samo zdanie. Nie mogę uwierzyć, że je zmieniłeś.

– Przecież zaczęliśmy o tym mówić, dopiero gdy dowiedzieliśmy się, że trzeba długo czekać.

– No tak. Więc?

– Więc... To zaledwie kilka tygodni, najwyżej cztery. To ważna sprawa. Może powinniśmy trochę dłużej się zastanowić...

– Ale ona tu jest! To ona. Nasza dziewczynka. Nie obchodzi mnie, co siedzi w jej organizmie. I aż do tej pory ciebie też to nie obchodziło. Przynajmniej tak twierdziłeś. Czyli jak, kłamałeś?

– Jezu, nie. Chodzi o to, że... że to dzieje się naprawdę.

– No cóż, dzieci są prawdziwe, Bob. Ile tysięcy dolarów wydaliśmy, starając się o własne dziecko? To też działa się naprawdę, czyż nie?

– Przecież wiesz, co mam na myśli. To dziecko jest uzależnione...

– A oni twierdzą, że niedługo jej organizm zostanie całkiem oczyszczony. Mówią też, że następstwa są minimalne. Co z tego, że w szkole będzie miała kłopoty z koncentracją? Zatrudnimy korepetytorów.

– Ty naprawdę tego pragniesz – powiedział, jakby chodziło o prezent gwiazdkowy, który co prawda kosztował trochę za dużo, ale postanowił go kupić, żeby mnie uszczęśliwić.

– Naprawdę.

Popatrzył na jej zdjęcie, uśmiechnął się do mnie, po czym dotknął buzi dziewczynki.

– Witaj w domu, Cameron Friedman – powiedział.

Moja mama często mówiła, że nie ma czegoś takiego, jak zbyt wiele miłości. Ale co się dzieje, jeśli miłości jest za mało? Co, jeśli patrząc na męża, czujesz się pusta jak niezapisana kartka z zeszytu?

Pamiętam, jak mama pochylała się do lustra nad umywalką i nakładała koralową szminkę, poprawiała włosy, sprawdzając, czy nie są za mocno natapirowane, bo zbyt wysoka fryzura była w złym guście. Wyznawała różne zasady. Jedna z nich brzmiała: „Nigdy, przenigdy nie wychodź z domu bez szminki”. Malowała usta natychmiast po umyciu zębów i ja zaczęłam robić to samo od czasu, gdy tylko pozwolono mi używać kosmetyków.

Twierdziła, że tata nigdy nie widział jej nieumalowanej.

Powtarzała, że podczas pożaru, zanim zaczniesz się uciekać, należy pamiętać o dwóch rzeczach: szmince i mascarze.

Kiedyś mi powiedziała, że jestem stworzona do wielkich rzeczy i ani się obejrzę, jak wydarzy się coś wspaniałego, a wtedy uśmieję się, gdy przypomnę sobie, że nie chciałam jej uwierzyć. Faktycznie nie wierzyłam, kiedy mówiła, że poznam kogoś, kogo pokocham bardziej niż czekoladę. Nie wierzyłam, że będę tak szczęśliwa w małżeństwie jak ona. Ani wtedy, gdy po raz kolejny powtarzała: „Tylko poczekaj, Samantho. Sama zobaczysz. Miłość, którą poczujesz do dzieci, przekroczy wszelkie twoje wyobrażenia”.

Cóż... Wszelkie wyobrażenia przeszło to, ile pracy wymagało codzienne życie z Cammy. Synek Lynn, Tommy, miał wówczas tylko kilka miesięcy, więc nie mogłyśmy się spotykać ani z dziećmi, ani bez nich. O opiekunkach musiałam zapomnieć. Żadna nie miała cierpliwości do Cammy. Nasza opiekunka społeczna twierdziła, że im częściej Cammy będzie przebywać z rówieśnikami, tym lepiej dla niej, pomyślałam więc, że spróbuję pochodzić na zajęcia „Mama i ja” w naszym klubie fitness.

Kiedy masz dziecko uzależnione od narkotyków, zauważasz rzeczy, których nigdy wcześniej nie dostrzegałaś. Nigdy nie

zwracałam uwagi na głośną muzykę i dudniące basy docierające zza obrotowych drzwi.

Światła wcale nie wydawały mi się szczególnie jasne, aż nagle okazało się, że są oślepiające. Kolejka do rejestracji ciągnęła się bez końca... Czy to zawsze tyle trwało?

Wszystko to doprowadziło Cammy do hysterii. Naprawdę. Ludzie zaczęli się odwracać i gapić na nas. Niektórzy kręcili głowami, patrząc na mnie jak na zbrodniarkę, że ją tu przyprowadziłam. Poczulałam zażenowanie. Teraz, gdy o tym myślę, żałuję, że się nie odezwałam:

– Coś takiego? Denerwuje was, że moja córka robi tyle krzyku, ale zupełnie wam nie przeszkadza ryk Wang Chunga?

Jednak w gruncie rzeczy nie mogłam ich winić, bo przecież jeszcze całkiem niedawno zachowywałam się tak samo.

Zanim zapisałam nas na zajęcia, ręka omal mi nie odpadła pod ciężarem dziko wrywającej się Cammy. W drugie ramię wrzynały się paski torby z dziecięcymi rzeczami, ale nie mogłam ich poprawić. Pot lał się ze mnie, gdy mijałam sale do spinningu, do ćwiczeń metodą pilates, pokój trenerów. Przechodziłam obok swojego dawnego życia. Zanim dotarliśmy na zajęcia, byłam kompletnie wyczerpana. Zajrzałam do środka przez szybę w drzwiach. Mamy rozmawiały z sobą. Jak miło... A potem spojrzałam na dzieci. To były zajęcia dla matek i ich dwuletnich – a wieku bardzo tu przestrzegano – pociech. No więc kiedy spojrzałam na dzieci, okazało się, że wszystkie są dwa razy większe od Cammy. Przeniosłam spojrzenie z Cammy na salę i ponownie na nią. Oczywiście, te dzieci były zdrowe. Karmiono je zdrowym naturalnym pokarmem. Pochodziły z dobrze prowadzonych ciąż.

Wszystkie maluchy radośnie bujały się na kolanach matek, czekając na rozpoczęcie zajęć. Szybko stamtąd czmychnęłam i nigdy więcej nie wróciłam do klubu.

Mijały całe dni, gdy z Bobem nie zamieniliśmy ani słowa. Bob jakoś przesypiał noce mimo płaczu Cammy, chociaż czasami tylko udawał, że śpi. Postanowił dać mi nauczkę. To ja pragnęłam wziąć to dziecko, chociaż urodziło się z uzależnieniem. Skoro tak tego pragnęłam, mówiło jego chrapanie, powinnam się nią zająć.

Miałam wszystkiego powyżej uszu, ale za skarby świata nie przyznałabym się do tego. Nie zniosłabym, gdyby Bob odparł:

– A nie mówiłem?

Przyszło mi też do głowy, że mógłby zasugerować oddanie Cammy i poszukanie innego dziecka. Jakby chodziło o wymianę zbyt ciasnych butów na nieco większą parę.

Mijaliśmy się w milczeniu. Ubierał się do pracy, gdy ja masowałam brzuszki Cammy, próbując ją uspokoić. Dom był nieustannie podporządkowany dziecięcym nastrojom.

Rozmawialiśmy wyłącznie szeptem. Zresztą nasze rozmowy bardziej przypominały biuletyny informacyjne.

– Jak się czuje dzisiaj? – pytał szeptem Bob w drodze przez kuchnię do holu, gdzie odwieszał płaszcz i zmieniał buty. Nigdy nie czekał na odpowiedź.

Albo ja szeptałam:

– Potrzebne są pieluszki.

W takich chwilach Bob zachowywał się, jakbym go wykorzystywała, choć w rzeczywistości nie robił nic poza absolutnym minimum.

Byłam zbyt wyczerpana, żeby prosić go o pomoc. Zbyt zmęczona, żeby się z nim o to kłócić. Powinnam była coś powiedzieć. Może nawet to zrobiłam. Ale nic się nie zmieniło.

Czasem zdobywałam się na pewien wysiłek i szeptałam:

– Jak było w pracy?

Wszystko to działo się, gdy Cammy albo spała, albo kręciła się w moich ramionach. Wciąż trzymałam ją na rękach. Wyrobiłam sobie bicepsy. Czasami Bob próbował ją wziąć, ale jeśli zbyt mocno płakała, pośpiesznie mi ją oddawał i wychodził z pokoju. Zwykle całe lata trwa, nim do człowieka dociera, jaki wpływ na jego życie ma jakieś wydarzenie. Z początku w ogóle tego nie widać. Można to ocenić dopiero z perspektywy czasu.

Jednak w tym przypadku było inaczej. Właściwie na bieżąco wiedziałam, że sytuacja jest tragiczna. Od początku do końca. W sprawie Cammy porwałam się z motyką na słońce. Może lepiej by to szło, gdyby Bob zaczął mi pomagać, ale na to się nie zanosilo. Nie poznawałam już tego człowieka, który kręcił się po naszym domu. Nie zachowywał się nawet jak współlokator. Był kimś obcym. Czasem siadałam ze śpiącą Cammy w objęciach i przyglądałam się Bobowi, zdumiona jego oziębłością. Wiedziałam, jak bardzo czuł się zraniony tym, że nasze życie obracało się wyłącznie wokół córki, ale nigdy nie przypuszczałabym, że wyładuje swój gniew na niej. Wiele razy płakałam razem z Cammy. Pamiętam ten ból. Pamiętam uczucie potwornej samotności.

Wciskam klawisz przewijania czasu i oto jestem w dniu

dzisiejszym, prowadząc życie, jakiego nigdy sobie nie wyobrażałam. Leżę w łóżku, czując, jak kołdra unosi się i opada w rytm oddechu mojego męża. Słucham odgłosu mlaskania, który wydają jego usta, gdy język przykleja mu się do podniebienia, i zastanawiam się, ile czasu minie, zanim sen stanie się na tyle płytki, by mózg zarejestrował, że trzeba wytworzyć więcej śliny. Mlask, mlask, mlask. To dźwięk naszego małżeństwa. Jak tykanie zegara. Usta Boba naśladową dźwięk przemijania naszego małżeństwa.

Cammy

Czasami wolałabym, żeby moja mama umarła. Nie chciałabym, żeby miała bolesną śmierć ani nic w tym stylu, ale na przykład we śnie. To znaczy... chodzi mi o to, że gdyby umarła, nikt nie miałby mi za złe, że chcę odnaleźć moją prawdziwą mamę. Nie zraniłabym niczyich uczuć. Moja rodzona mama powiedziałaby coś takiego:

– Wiedziałam, że będą dobrymi rodzicami. – A po chwili namysłu by dodała: – Wiem, że ci jej nie zastąpię, ale chciałabym stać się taką matką, jaką chcesz we mnie widzieć.

Po śmierci Samantha Bobowi wystarczyliby chłopcy, a ja nie miałabym poczucia, że ich zdradzam. Bo teraz czasami tak właśnie myślę. Bob i chłopcy wpadaliby czasem do mojej rodzonej mamy na obiad i wtedy opowiadalibyśmy jej najróżniejsze historie z mojego dawnego życia.

Brat Moniki ma ADD, czyli deficyt koncentracji uwagi.

Podprowadziła całą fiolkę jego lekarstwa, ritalinu, a potem oddała mi połowę tabletek. To rewelacyjny środek. Próbuję go sobie wydzielać. Staram się nie łykać za dużo na dzień, bo nie chcę odlecieć. W każdym razie to mi pomaga skupić się tak, żeby nie myśleć o niej. To znaczy o mojej rodzonej matce. I o tych szkolnych bzdetach. Ta mała tabletką sprawia, że skupiam się na czymś innym. O dziwo, nawet udało mi się odrobić lekcje. Zrobię wszystko, żeby nie zwariować od myślenia, gdzie może być ten cholerny list z agencji adopcyjnej. Najbardziej boję się, żeby nie zadzwonili do domu. Jestem niemal pewna, że na formularzu nie podałam naszego numeru, ale głowy bym za to nie dała. Po ritalinie jestem skoncentrowana, a potem wieczorem odpływam po benadrylu, więc wszystko jest dobrze. Wystarczą trzy benadryle, żeby mnie całkiem ogłuszyć.

Wydaje mi się, że gdyby Samantha odeszła – na przykład rozwiodła się z Bobem, zostawiła nas i zaczęła nowe życie – mogłabym się trochę odprężyć. Domyślam się, że pójde do piekła za to, co mówię, ale trudno. Jestem bękartem, więc i tak wyląduję w piekle. A w ogóle to jest mój pamiętnik i nikt poza mną nigdy go nie będzie czytał. I tak go spalę, gdy się już przeniosę do własnego domu. Naprawdę czasami wolałabym, żeby umarła.

Samantha

Mama umarła, gdy byłam w liceum. Miałam szesnaście lat. Nie widziała, jak odbierałam świadectwo maturalne. Nie wiedziała, że w college'u byłam wzorową studentką. Nigdy nie poznała Boba. Nie знаła moich dzieci. Żałuję, że czasu nie da się cofnąć. Żałuję, że mama nie zwracała uwagi na podwyższony cholesterol i nie rezygnowała z tych wszystkich smażonych potraw. Żałuję, że nie słuchała, gdy lekarz powiedział jej o nadciśnieniu i kazał rzucić palenie. Dostałam dokumentację z ostatnich wizyt lekarskich i stoi tam czarno na białym:

Pacjentka została poinformowana o zagrożeniach wynikających z palenia tytoniu i podwyższonego poziomu cholesterolu. Zalecono ćwiczenia oraz regularne badania.

Nigdzie natomiast nie ma żadnej wzmianki o tym, że postępowała zgodnie z zaleceniami lekarza. Takie same wskazania wpisywano do karty podczas wszystkich kolejnych wizyt.

Gdybym mogła cofnąć czas, wybrałabym dzień, kiedy po raz pierwszy zauważyłam, że przytrzymuje się poręczy. Ten sam, gdy usłyszałam jej chrapliwy oddech. I ciężkie westchnienie.

– Pewnie za szybko wstałam – powiedziała na moje zaniepokojone spojrzenie.

Niestety nie mogę wrócić do tamtego dnia i wytłumaczyć jej, że się zabija. Wtedy byłam za młoda, by to rozumieć. Nie docierało do mnie, że może zniknąć z mojego życia.

– Pójdziemy do lekarza, mamó – powiedziałabym. – Wsiadaj do samochodu. – A potem zapisałabym ją do klubu fitness i razem chodziłybyśmy ćwiczyć. – Jesteś taka młoda – mówiłabym. – Nie powinnaś się tak męczyć, wchodząc po schodach. Zamówiłam już wizytę, więc nie ma odwrotu. Samochód stoi przed domem.

Klimatyzacja jest włączona. Chodźmy już.

Nie wiem, czy mój tata kiedykolwiek postąpił w taki sposób. Kiedy umarła, zamknął się w sobie, a po latach nie chciałam, żeby zaczął robić sobie jakieś wyrzuty, więc nigdy go nie spytałam.

Jestem pewna, że taka myśl mogła mu przyjść do głowy i dręczył go żal. Ciekawe, czy go to prześladowało? Bo jeśli o mnie chodzi, myślę o mamie każdego dnia. Serce też bije mi mocniej, gdy przychodzi do wypełniania medycznych formularzy i podawania informacji na temat chorób w rodzinie. Kiedy muszę powiedzieć:

– Tak, w mojej rodzinie zdarzały się zawały. Moja matka miała zawał.

A potem pada nieuniknione pytanie:

– Jak czuje się dzisiaj?

– Och, nie żyje – muszę odpowiadać.

Śmierć mamy zabiła tatę. Ciekawe, czy śmierć Boba mnie także by zabiła? Czulałabym smutek, to pewne, lecz czy umarłabym, gdyby go zabrakło? Z całą pewnością nie.

Cammy miała sześć i pół roku, gdy posadziłam Boba na kanapie i poprosiłam, żebyśmy postarali się o więcej dzieci. Zastanawiałam się nad tym już od jakiegoś czasu, ale nigdy nie trafiło się, żebyśmy przebywali razem w jednym pomieszczeniu na tyle długo, by móc przeprowadzić taką rozmowę.

– Jezu, znowu? Tylko nie to – z miejsca odparł Bob.

Cammy spała, naczynia pozmywane, a Bob, mimo że już była późna pora, wciąż wykazywał się niejaką aktywnością. Czyli trzy warunki spełnione.

– Tym razem będzie inaczej – stwierdziłam. – Mamy już Cam. Jeśli się nie uda, nie będzie to koniec świata. – Święcie w to wierzyłam. Dobrze by nam zrobiło, gdybyśmy mieli więcej dzieci. Stalibyśmy się sobie bliżsi.

Tak, naprawdę w to wierzyłam.

Wystarczyła tylko jedna próba in vitro i proszę: już kupowaliśmy podwójny wózek dla dwóch chłopców, Jamiego i Andrew.

Przygotowałam kocyki i ręczniczki z inicjałami, a Bob zabrał się ostro do pracy i właściwie w ogóle nie myślałam o dystansie, który się między nami wytworzył.

Wcierałam w ogromny brzuch krem przeciw rozstępom, kupowałam ciężowe bluzki o skomplikowanym wzorze, który skrywał mój wielki wystający pępek, człapałam do sklepów z rzeczami dla dzieci i kupowałam maleńkie kaftaniki, łóżeczka, kojce. W szóstym miesiącu pojawiło się nieprzyjemne uczucie, że popełniłam duży błąd. Chciałam, by mama mogła mi powiedzieć, że wszyscy mają takie obawy, więc jest to całkiem naturalne.

Chciałam, by mi poradziła, żebym uważała na dzielący mnie i Boba dystans i pilnowała, by nie stał się zbyt duży.

Bob zaczął siwieć, gdy byłam w ósmym miesiącu. Byliśmy wciąż młodzi, a jednak Bob nagle stał się znużony, poruszał się z większym trudem i znienawidził swoją pracę. Pewnego wieczoru przygotowałam makaron zapiekany z serem. Cammy zachowywała się wyjątkowo spokojnie. Posypując kluski nienaturalnie pomarańczowym serem, zapytałam Boba, jak minął mu dzień. Zwykle odpowiadał „dobrze” i to było wszystko, jak w serialu telewizyjnym z lat pięćdziesiątych.

– No właśnie, jak minął ci dzień, tatusiu? – powtórzyła za mną Cammy.

Uśmiechnęłam się do niej, ale Bob najwyraźniej nie uznał, że jest w tym coś miłego. Ostatnio Cammy wszystko po mnie powtarzała, więc musiałam uważać, żeby nie przeklinać.

– Dennie – powiedział Bob.

– Dennie – powtórzyła Cammy.

– Nie mów tak – zwrócił jej uwagę. Pił dopiero pierwszą whisky, ale gdybym nie była tego pewna, sądziłabym, że jest już przy drugiej szklaneczce.

– Czyli dzień był nieudany z powodu pracy?

– Właśnie chodzi o pracę. Nie o zabawę.

– Kiedyś za nią przepadałeś, pamiętasz?

– Owszem. I co z tego?

– To co się zmieniło?

– Cały przemysł się zmienił. – Rozluźnił krawat. – Kiedyś buty trzeba było projektować. Teraz potrzebna jest wyłącznie aprobata sportowca. Jeśli zawodnik wybrany ze szkolnej drużyny chce na swoich butach do koszykówki mieć czarne paski, to spędzimy całe tygodnie, żeby je rysować. Proste, a może pod jakimś kątem od obcasa do sznurowadeł? Potem musimy wysłać plik w PDF-ie do agenta dzieciaka, żeby sprawdzić, czy spodoba mu się to, nad czym męczył się cały zespół. Na tym teraz robi się pieniądze. Aprobata. Nieważne, że musimy przetrząść się na gąbkę i filcowe wkładki, ponieważ dzieciak chce paski skórzane, a nie nylonowe. A ma całych osiemnaście lat.

– Chce mi się jeść – odezwała się Cammy. – Już się ugotowało?

Wyłączyłam palnik i nałożyłam makaron z serem na dwa talerze dla nas i na plastikowy talerzyk dla Cam.

– Dziesięć lat temu dzieciaka wyśmiano by tak, że uciekłby z konferencji, a dzisiaj kłaniamy się i strzelamy obcasami.

– To czemu nie zrezygnujesz?

– A co miałbym robić? – spytał ze złością. – Twoim zdaniem mam jeszcze jakieś inne kwalifikacje? A co z naszą kochaną rodziną? – zakończył drwiąco.

– Jezu, Bob. Miły jesteś, nie ma co.

– Miły jesteś, tatusiu.

– Nie przejmuj się – powiedział. – Przepraszam. Miałem gówniany dzień.

– Przekleństwo! – zawołała Cammy.

Próbowałam zebrać się w sobie i zignorować to, co dawał do zrozumienia.

- A co chciałbyś robić, gdybyś mógł zająć się jakąkolwiek pracą, a pieniądze w ogóle nie miały znaczenia? – spytałam.
- Wynałazłbym wehikuł czasu, żeby się cofnąć i znów projektować buty, zamiast je ozdabiać.

Zadzwoiłam do Boba, kiedy odeszły mi wody, ale sekretarka powiadomiła mnie, że jest w drodze na zebranie. Był rok 1999 i niewiele osób miało telefony komórkowe. Tych, którzy z nimi chodzili, uważano za pretensjonalnych szpanerów.

Zatelefonowałam więc do Sally, która tego dnia włożyła sweter w kaczuszki i wielkanocne pisanki. Wciąż mam go przed oczami. Sally ma odpowiednie swetry na każdą okazję. Na Halloween. Na Boże Narodzenie. A także na Święto Niepodległości. Ten ostatni ma ukrytą baterię, która zasila świecącą na piersi flagę, więc Sally nie może go rozpiąć. Zawsze mnie intrygowało, czy w słoneczne i skwarne lipcowe dni nie żałuje, że go kupiła.

Wzięłyśmy jej kombi, w którym woziła z tyłu oznakowane pojemniki: „Piłka nożna”, „Siatkówka”, „Latające talerze i reszta”. Przez całą drogę do szpitala denerwowałam się, bo byłam przekonana, że moczę siedzenie. Nie wiedziałam, czy wody są krwawe (nie mogłam sobie przypomnieć, co pisali o tym w książkach), ale tak czy inaczej siedzenia nie były pokryte skórą, tylko tkaniną, więc oczami wyobraźni widziałam okropne plamy. Kiedy podjechałyśmy pod izbę przyjęć, zaproponowałam, że zapłacę za czyszczenie.

– No co ty, nie wygłupiaj się! – obruszyła się.

Ale dostrzegłam jej spojrzenie, gdy się wygrzebywałam z samochodu, i mimo skurczu dotarło do mnie, że natychmiast pojedzie na myjnię.

Bob wpadł do szpitala przez podwójne automatyczne drzwi i pośpiesznie wprowadził wózek, na którym siedziałam, na porodówkę. Zignorowałam fakt, że pachniał perfumami. Już nie pierwszy raz przeszło mi przez myśl, czy mnie nie zdradza, lecz nie zamierzałam poruszać tego tematu, leżąc na łóżku na kółkach i rodząc moje bliźniaki. Nasze bliźniaki.

Pielęgniarka mająca na imię Doris zachowywała się podczas całego porodu cudownie. Pamiętam, że jej służbowy uniform był w misiaczki, które trzymały pęki baloników. Bez przerwy powtarzała, że zaraz dostanę znieczulenie, i chociaż obie wiedziałyśmy, że to nieprawda, bo nie miałam wystarczającego rozwarcia, doceniałam jej wysiłki, by odwrócić moją uwagę od bólu, który był trudny do zniesienia. Nie ma nic nowego, co

mogłabym powiedzieć o bólach porodowych. Są potworne, a moje nie były gorsze niż innych kobiet. Pomyśleć, że okazałam się taka głupia i chciałam doświadczyć naturalnego porodu.

– Świetnie dajesz sobie radę, naprawdę znakomicie – mówił Bob. Pamiętam, jak się skrzywił, gdy zbyt mocno ścisnęłam mu rękę. Kiedy wspominam ten dzień na porodówce, myślę o tym, że czułam się, jakby jakiś gigantyczny odkurzacz wyssał stamtąd całe powietrze.

A teraz jadę ze szkoły zwykłą trasą. Pomału skręcam w lewo w Lincoln Avenue i czekam na faceta w garniturze, który rozmawia przez komórkę, nieświadomy tego, że światło się zmieniło i ja mam pierwszeństwo. Nie przyśpiesza, zupełnie jakby poza nim nie było nikogo na całej ulicy. Czekając, aż dotrze na drugą stronę jezdni, patrzę w lusterku wstecznym na chłopców, którzy oglądają film na DVD. Głowy pochylają pod identycznym kątem, gładkie nóżki rozstawili szeroko i każdy z nich przytrzymuje róg odtwarzacza. Już się nauczyli, że nie żartuję, gdy ich ostrzegam, że muszą się nim dzielić, bo inaczej go zabiorę. Kocham ich. Dawno już zapomniałam o godzinach spędzonych w dusznej sali porodowej i nie wyobrażam sobie życia bez tych swoich dzieciaków. A ta przestrzeń, ten dystans między mną a Bobem? Stał się wielki jak szeroka rzeka, tak że nie sposób zobaczyć człowieka na drugim brzegu. I my też staliśmy się dla siebie takimi niewidocznymi punktami.

Przyśpieszam, żeby nadrobić czas, ale co rusz trafiam na czerwone światło. Reporter Radia dla Kierowców mówi, że bulwar Lake Shore Drive jest „przejezdny i wolny w obu kierunkach”, a tymczasem zjazd od Belmont jest zakorkowany i posuwając się powoli w tamtą stronę, widzę, że wszystkie trzy pasy są zapchane. Totalne stanie.

Na korki nie mogę nic poradzić, więc przełączam się na NPR, publiczną niekomercyjną stację. Miły głos spokojnie czyta opowieść o gołębiach pocztowych. To rzeczywiście zadziwiające, jak te ptaki pokonują odległości precyzyjnie wyliczone przez właścicieli. Lektor robi długie przerwy między zdaniami, żeby można było posłuchać gruchania gołębi. Robię się śpiąca, jak zawsze podczas słuchania NPR. Znow przełączam, tym razem na stację muzyczną, gdzie nadają klasycznego rocka. W samochodowym radiu mam ją zaprogramowaną pod drugim przyciskiem. Partia gitarowa z „Whole Lotta Love” natychmiast mnie budzi. Jak na komendę samochody wokół mnie zaczęły się

ruszać. Może wszystkim potrzeba było trochę muzyki Led Zeppelin, żeby przyspieszyć.

Sobota nie ma końca. Bob zabiera chłopców na piłkę. Ja wrzucam kilka porcji prania, a potem udaje mi się dotrzeć do sklepu ze zdrową żywnością jeszcze przed najazdem zagubionych tatusiów z wózkami, którzy obiecali żonom, że w czasie weekendu zajmą się domowymi obowiązkami. Przypominam sobie, że mam wysłać kwiaty do Ginny, której matka kilka dni temu zmarła na raka trzustki. Dzwonię do kwiaciarni, wjeżdżając na parking sklepu, w którym mam kupić papierowe ręczniki i papier toaletowy. A także wszystkie artykuły, które w zdrowej żywności mają zbyt wyśrubowane ceny. Czy naprawdę jest nam potrzebny ekologiczny, pachnący pelargonią płyn do mycia szafek za dziesięć dolarów? Uważam, że to lekka przesada. Odbieram rzeczy z pralni chemicznej i zatrzymuję się w sklepie obuwniczym Alamo, żeby zwrócić crocysy Jamiego, bo niechcący kupiłam zły numer. Stojąc na światłach, odhaczam wszystkie te pozycje.

O trzeciej wpada Bob z prezentem urodzinowym dla Kelly Voegele. Na przyjęcie w kręgielni powinniśmy się stawić o trzeciej trzydzieści. Prosiłam go o załatwienie tej jednej jedynej sprawy, a on się zachowuje, jakby należał mu się wieniec laurowy. W sześćdziesiąt sekund pakuję prezent, zgarniam chłopców i znowu ładujemy się do samochodu. Po urodzinach odbiorą ich rodzice Charliego Spencera, więc będziemy mieć trochę luzu.

– Chcesz wypożyczyć jakiś film czy coś? – pytam Boba, gdy wracamy do domu. – Jest sobota, Cammy siedzi w swoim pokoju i doskonale wiemy, że nigdzie nie wyjdzie, chłopcy kolację zjedzą u Spencerów i pewnie nie minie godzina, gdy będą dzwonić z pytaniem, czy mogą tam nocować.

– Raczej nie jestem w nastroju. Przepraszam – odpowiada Bob. – Muszę wejść do internetu i zrobić kilka rzeczy, na które nie miałem czasu w tygodniu, więc...

– No co ty... Posłuchaj, mamy dom dla siebie.

– Kochanie, nawet nie wiesz, ile mam roboty.

– Pomogę ci się odstresować. – Przysuwam się, zmysłowo poruszając biodrami jak w tańcu brzucha.

– Mówię poważnie. Nie jestem w nastroju – powtarza.

– Już od miesiący nie jesteś w nastroju. – Fatalny ruch, Sam. Fatalny.

– Miesiący?

– No nie wiem...Ale tak, chyba już trochę czasu minęło.

Może osiem lub dziewięć miesięcy... – Mam wrażenie, że te

słowa zawisają nad moją głową jak w komiksowym dymku i już wiem, że dzisiaj z seksu nic nie będzie. Brawo, Sam.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że robisz notatki z kalendarzem w rękę.

– Nic nie robię, nieważne. Przyszło mi tylko do głowy, że może coś się stało. – Pytanie w głosie o inną kobietę, o inną sypialnię, zagraża tej cienkiej nici, która nas jeszcze wiąże z sobą.

– Wiesz co? To, co mówisz, jeszcze bardziej mnie zniechęca.

– Bob, daj spokój...

– Co daj spokój? Idę na górę.

Odczekuję kilka minut i wchodzę tam za nim.

– Kochanie, proszę... – mówię.

Gwałtownie obraca się razem z krzesłem.

– Czego chcesz?

– Przede wszystkim nie rozumiem, czemu jesteś na mnie taki wściekły. Co takiego zrobiłam?

– Nic, nieważne.

– Nie rozumiesz? Czuję się odsunięta. Nie prowadzę żadnych notatek, przysięgam. Po prostu czuję się... nie, czekaj... powiem to inaczej. Czujesz się czasami samotny? Nawet siedząc tutaj, w domu? Jakby to nie było prawdziwe życie, jakbyś tylko je markował.

– Nie.

– Naprawdę? Tak zupełnie nigdy, ani przez chwilę, nie pojawia się myśl, że nie tak wyobrażałeś sobie swoje życie?

– Możesz przejść do sedna? – pyta.

– To właśnie jest sedno. Nigdy ani na momencik nie ogarnia cię panika, gdy spoglądasz na swoje życie?

– Panika? Jezu, Sam, co ty wygadujesz? Nasze życie wywołuje u ciebie panikę? Mówisz serio?

– No dobrze, może panika to niedobre słowo...

– Sam...

– Zdumienie! Może patrzysz wokół siebie i czujesz zdumienie, że to twoje życie. Naprawdę nie masz podobnego uczucia?

– Nie, prawdę mówiąc nie – odpowiada. – Nie mam takiego uczucia. Ty najwyraźniej je masz, ale ja nie. Zresztą czemu tu się dziwić? Na tym przecież zawsze nam zależało, czyż nie? Na rodzinie, zdrowych dzieciach, przyjaciółach, ładnym domu...

– Wiem, wiem... Może ja po prostu... Już wracasz do komputera?

– Bo o czym tu jeszcze mówić? Ty jesteś spanikowana, a ja czuję się dobrze. Ludzie nie muszą się we wszystkim zgadzać, chyba to rozumiesz. Ale na tym świat się nie kończy.

Znowu odwraca się do monitora.

– Tylko... Nie moglibyśmy o tym porozmawiać?

– Właśnie rozmawialiśmy. – Wzrusza ramionami i zaczyna stukać w klawisze.

– Co jest ważniejsze od rozmowy z żoną na temat własnego małżeństwa? – Zaglądam mu przez ramię.

– Nieruchomości? Oglądasz domy?

– Patrę na ceny porównawcze. Chcę zobaczyć, za ile jest wystawiony dom Silvermanów. Masz coś przeciwko temu?

– Bob, mówię poważnie. Chcę tylko, żebyś się trochę otworzył. Męczy mnie, że idzie to tak ciężko, jakby chodziło o wyrywanie zębów.

– Boże, Sam. Co drugi dzień opowiadasz, jak się czujesz w związku z tym czy tamtym. Albo pytasz, co ja czuję w związku z jedną czy drugą sprawą...

– Bo nie rozmawiasz ze mną! A w ogóle nie robię tego co drugi dzień. – Mam ochotę powiedzieć: „założę się, że z nią rozmawiasz”. To znaczy jeśli jest jakaś ona. Może jej wcale nie ma, nie wiem. I nie chcę wiedzieć.

– Daj mi dokończyć. Ja po prostu... – Zawiesza głos, szukając słów. – Mam tego dość. Powiedziałem ci już, co czuję. Nic. Jesteś zadowolona? W ogóle nic nie czuję.

Po tej uwadze oboje jesteście zbici z tropu. Bob ma zaskoczoną minę i najwyraźniej mu przykro, że to powiedział. Można odnieść wrażenie, że w powietrzu między nimi zawisło wielkie „bach!”, tak głośne jak odgłosy walki z filmów o Batmanie.

– Dziękuję – mówię. – Dziękuję, że w końcu powiedziałeś to na głos.

– Sam, czekaj...

– Mówię całkiem poważnie – kontynuuję. – Nie zamierzam wszczynać kłótni. W gruncie rzeczy czuję ulgę, że wreszcie to przyznałeś. W ogóle nic nie czujesz. Nie obrażaj się, przecież tak właśnie powiedziałeś. Chciałam, żebyś powiedział, co czujesz, i dostałam odpowiedź.

– Źle mnie rozumiałaś – mówi Bob. – Nie chodzi mi o to, że nie czuję nic do dzieci. Czy do ciebie.

– Nie, nie... doskonale cię rozumiałam. Zresztą tak naprawdę już to wiedziałam. Ale chcę cię jeszcze o coś spytać. Nie zamykaj się znowu w sobie, dobrze? Myślisz, że to możliwe... czekaj, posłuchaj mnie! Już od miesiący o tym nie mówiliśmy, więc nie wznosź oczu do nieba. Nie sądzisz, że to depresja? Nie sypiasz dobrze, nie czujesz pociągu seksualnego... Nie wściekaj się, mówię tylko, że

to oznaki depresji. Nic cię nie cieszy. Pograżasz się w inercji.

– Znowu się zaczyna...

– Nie mógłbyś chociaż zastanowić się nad tym? Co to za mina? O czym myślisz?

– Myślę, że chciałbym się dowiedzieć, za ile jest wystawiony dom Silvermanów.

Odchodzę, bez ustanku powtarzając sobie jego słowa.

W końcu dociera do mnie, jak bardzo mnie zraniły. Ból jest zbyt wielki, żeby nad tym płakać. Tylko to przychodzi mi do głowy: to za wiele, żeby się tym przejmować. A więc to tak... Tak bardzo chciałabym zrozumieć, jak to się stało, że znaleźliśmy się w tym punkcie. Fakt, nigdy między nami nie było tej iskry, tej chemii, ale byliśmy przyjaciółmi. Kumplami. A teraz siedzimy w milczeniu. Z dziećmi jest dużo zamieszania. A kiedy jesteśmy sami? Panuje cisza. A jeśli nie milczymy, kłócimy się. Wszyscy się kłóca i mówią rzeczy, których potem pewnie żałują, ale to nie tak. Bob się myli. Wcale nie myślę o tym każdego dnia. Jestem zajęta. Bez przerwy, wciąż, stale zajęta. Tak bardzo zajęta, że z trudem wymyślam, co zrobić na obiad. Zajęta... Jeżdżę na zebrania do szkoły, odbieram pranie, gotuję, sprzątam i robię tysiące innych rzeczy, których pod koniec dnia nawet nie potrafiłabym wymienić. Jestem królową wielozadaniowości. Sprawnie wszystko planuję. Kupuję palety sadzonek, żeby je zasadzić zaraz po piętnastym maja, gdy mam już pewność, że przymrozki się skończyły. Pomagam w szkolnych akcjach charytatywnych. Co roku biorę udział w Biegu po Zdrowie. Pierwszego października sadzę przed domem chryzantemy. W zimie dekoruję front domu girlandami z roślin. A poza tym robię wszystko, co konieczne, żeby dom funkcjonował. Oto jaka jestem. Zajęta. Jak każda amerykańska mama.

Cammy

Ciągle się kłóca. Myślą, że tego nie wiem, ale ja słyszę. Zawsze miałam wrażenie, że mnie zaadoptowali, bo im się zdawało, że to ich pogodzi.

Przez długi czas wystarczało, gdy mówiłam:

– Nie kłóćcie się.

Spoglądali na mnie i najwyraźniej przypominali sobie, że właśnie dlatego tu się znalazłam: żeby między nimi było lepiej. Dziecko na próbę. Tak jak niektóre pary biorą sobie psa, zanim zdecydują się na dziecko... Sprawdzają, czy poradzą sobie z obowiązkami. Ja też jestem takim eksperymentem. Nie wiem tylko, jak mogli pomyśleć, że ze mną dobrze im poszło. Postarali się o Andrew i Jamiego celowo, więc najwidoczniej uznali, że wszystko się udało. Tyle że nie przestają się kłócić.

Mówiłam:

– Nie kłóćcie się.

A kiedy oczy mamy wypełniały się łzami, przytulałam się, żeby ją pocieszyć. Potem zaczęli posyłać mnie do pokoju albo na dwór, choć wtedy w okolicy nie było zbyt wielu dzieci w moim wieku. To, że mnie adoptowali, wręcz pogorszyło ich stosunki. A moja obecność wciąż im przypominała, że miało być lepiej. Tym „lepiej” powinnam być ja. Na ich miejscu też bym mnie posyłała na dwór lub do pokoju. Z całą pewnością nie jestem żadne „lepiej”.

O mnie można tylko powiedzieć „gorzej”.

Samantha

W niedzielę wieczorem, dzień po tym, gdy w końcu przyjechałam do wiadomości fakt, że nasze małżeństwo jest bezwartościowe, stoję w kabinie toalety w pizzerii i płaczę z głową opartą o chłodną metalową ściankę.

W sali, naprzeciwko naszego stolika, siedzi para młodych ludzi. Próbują nawzajem swoje pizze, śmieją się ze swoich żartów, słuchają uważnie tego, co mówi drugie.

Czy my też kiedyś tacy byliśmy? A teraz jesteśmy niczym. Niczym. Kiedy wracam do stolika, Cammy – akurat właśnie ona! – mierzy mnie wzrokiem, pochyla się w moją stronę i pyta, czy wszystko w porządku. Chyba pierwszy raz od wielu tygodni wyjrzała zza zasłony swoich tłustych włosów.

Mówię, że nic mi nie jest, po prostu musiałam wydmuchać nos. Chyba się przeziębiam, dodaje.

– Zamówiliśmy dużą serową i małą wegetariańską – informuje mnie Bob, składając kartę. – Nasze zamówienie przygotowuje tamten facet, więc jeżeli chcesz sałatkę, idź mu powiedzieć.

Następnego dnia stoję przy zlewie i wycieram z blatu pył z płatków cheerios, który Jamie wytrząsnął z pudełka. Odstawiam mleko do lodówki i spod tosteru zgarniam na dłoń okruchy bułeczki drożdżowej. Powietrze w domu wydaje się sprężone, jak wówczas, gdy w samochodzie uchyla się tylko jedno okno. Próżnia nicości. Cholera! Czy rzeczywiście nic nie czuję? Absolutnie nic. Nawet nie przypominam sobie, co mi się wydawało takie w nim wspaniałe. Dlaczego, do diabła, tak mi się śpieszyło? Nie. Skończ z tym.

Przestań się zastanawiać, Sam. Po prostu przestań.

Powinłam rozebrać toster i wyczyścić go porządnie – już wieki tego nie robiłam – to odwróci moją uwagę.

Metalowa tacka na spodzie wyskakuje bez trudu. Myślałam, że będę musiała szarpać się z nią, więc włożyłam w to za wiele siły i ziarenka, przypalone okruchy i wyschnięte rodzynki rozsypują się po podłodze.

Tak się nam śpieszyło do dorosłości. Może to właśnie o to chodzi? Boże, co my sobie wyobrażaliśmy. Skończ już. Przestań myśleć. Sprzątam śmieci z tosteru i stwierdzam, że podłoga od jakiegoś czasu nie była zamiatana. Kiedy zbliżam się do stołków barowych, przychodzi mi na myśl, że powinłam usunąć je z drogi. Mama zawsze w takim momencie wygłaszała pewien frazes:

– Jeśli masz coś zrobić...

Chwila, jak to szło dalej? Hm... Jeśli masz coś zrobić, zrób to dobrze? Czy to się odnosi do małżeństwa, czy do obowiązków

domowych? Może to był jakiś szyfr, który chciała mi przekazać? Czy zdawała sobie sprawę, że umrze, zanim go pojme? A może miała nadzieję, że go zapamiętam i wykorzystam w takiej chwili jak ta?

Dzwoni telefon. To Lynn.

– Może przyjdiesz? – pyta. – Nudzi mi się.

– Muszę zrobić kilka rzeczy. Ty przyjdź do mnie.

– Dobra – odpowiada. – Wpadnę po zakupach. Potrzebujesz czegoś ze zdrowej żywności?

– Nie, dzięki.

Nasze małżeństwo to jedno wielkie nic. Jak to możliwe, że on nic nie czuje?

Muszę przestać o tym myśleć. Poduszki na kanapie już jakiś czas nie były strzepywane. Poprawię je więc. Na półce przy telewizorze panuje straszny bałagan w płytach DVD. Żadna nie leży w swoim pudełku. Dobry pomysł: uporządkuję je wszystkie poza „Spidermanem 2”. Gdyby bliźniacy byli tu teraz, powiedziałabym, że pewnie zaplątał się w jakąś pajęczynę. Jamie zaczęłyby się śmiać, a Andrew wyróciłby oczami, ale w duchu też by się uśmiechnął. Sprzątam pozostałości po intensywnym weekendzie: kije do hokeja na trawie, brudne skarpety z treningu piłkarskiego, słuchawki od iPod'a wplątane w naszyjnik z konopi, który Cammy nosiła, gdy była na etapie fascynacji hippisami.

A oto i Lynn. Idzie od samochodu przez trawnik.

– Właśnie posialiśmy! Złaż z trawy!

– Och, przestań. – Macha lekceważąco ręką. Obie wiemy, że mój trawnik jest zbyt zacieniony, żeby wyrosła ładna trawa, ale Bob co roku daje jej szansę. Lynn mija mnie i kieruje się prosto do lodówki. – Umieram z głodu.

Zamyka drzwi stopą. Kiedy nalewam herbatę do filiżanki, wyjada oliwki z plastikowego pojemnika.

– Co się z tobą dzieje? – pyta, gdy podnosi wzrok. – Wyglądasz okropnie.

To jedna z tych sytuacji, które każdego czasem dopadają. Chwila, gdy próbujesz podjąć decyzję, czy masz na tyle energii, żeby znów brnąć przez to, co naprawdę się dzieje.

– Mów – nalega Lynn.

– No dobra. Wczoraj wieczorem pokłóciliśmy się z Bobem.

– Nie mogłabyś odczepić się od tego seksu? – Lynn kręci głową. – Co ty, jakąś nimfomanką jesteś czy co? Kup sobie vibrator i będziesz miała sprawę załatwioną, na miłość boską.

– Nie chodzi o seks. Między nami nie ma żadnej więzi.

– Nie ma więzi? A co to znaczy? Pytam serio. Co ludzie mają na myśli, mówiąc, że nie ma między nimi więzi?

– Naprawdę nie wiesz? To świadczy o tym, jaki dobry związek tworzycie z Mikiem – mówię. – Bez więzi nie wiesz, co druga osoba myśli lub czuje. Bob nie chce rozmawiać. Jesteśmy jak dwa mijające się statki. Jak współlokatorzy. Od czasu... Boże, nawet nie wiem...

– Od kiedy zaczęliście starać się o Cammy...

Wszystko to już słyszała, ale jest dobrą przyjaciółką i pozwala mi to opowiedzieć kolejny raz.

– No tak. Wydaje mi się, że już wtedy każde z nas zaczęło iść w swoją stronę. Jakbyśmy bez słów zawarli umowę.

– Jaka umowę? – Nie czekając na odpowiedź, rzuca: – Podaj mi biszkopty.

Zestarzały się i nie są chrupkie. Kupuję je, bo zawsze wydaje mi się, że to dobry pomysł, a potem okazuje się, że wcale nie są smaczne.

– Zjedz winogrona. – Gdy popycham miskę na środek stołu, w powietrze unoszą się muszki owocówki.

Przyglądam się, jak Lynn przegląda kiść i naciskając delikatnie owoce, szuka możliwie jędrnych winogron.

Powiedziałabym coś na temat grzebania w misce, ale i tak będę musiała je wyrzucić, więc się nie odzywam.

– No właśnie. – Parzę się herbatą w język. – A niech to!

– Co właśnie?

– Nic z tego nie rozumiem. Wydaję majątek na zdrową żywność. Przestałam dawać dzieciom ryby, które żyją przy dnie, bo to grozi zatruciem rtęcią. Kazałam je przebadać pod kątem celiakii i postanowiłam przejść na dietę bezglutenową, bo podobno zboża mogą się przyczyniać do ADD. Robię dla tej rodziny wszystko... – Podnoszę się, żeby zetrzeć okruszki, które przegapiłam.

– Wszyscy są ważniejsi ode mnie. Zablockowałam poduszki powietrzne na miejscach pasażerów. Wymieniam kaski rowerowe, gdy z nich wyrastają...

– To się nazywa mieć dzieci.

– Wiesz, co mam na myśli. To się zaczęło, zanim mieliśmy dzieci! Wybraliśmy tę okolicę z uwagi na dobre szkoły, bo wiedzieliśmy, że któregoś dnia to będzie ważne, ale wiesz co? Właściwie chciałam przez jakiś czas pomieszkać w jednym z tych wysmukłych wieżowców w centrum miasta. W każdym razie kiedy byłam młodsza.

- Zwróciłaś kiedyś uwagę, że w tych mieszkaniach wszystko jest takie symetryczne? – Lynn odchyła się na krześle. – Dwa obrazy po jednej stronie drzwi, dwa po drugiej. A jeśli ma być nieparzysta liczba, to będą trzy. Trzy świece. Oczywiście wysokie i proste, wszystkie tej samej wysokości, równo rozstawione pośrodku stołu w pokoju jadalnym. I takie trzy kule w misce. Wiesz, o jakie kule mi chodzi? Pokryte taką skorupką, z ziarnami.
- W ogóle nie rozumiesz, o co mi chodzi.
- Ciągłe czekam, aż mi wytłumaczysz.
- Przecież mówię. A co ze mną? Od miesiąca czytam tych samych pięć stron „Jedz, módl się i kochaj”, bo zasypiam, a następnego wieczoru nie mogę sobie przypomnieć, czy ona jest we Włoszech, w Indiach czy na Bali.
- A więc chciałabyś mieć więcej czasu na lekturę? – pyta sarkastycznie Lynn.
- Wcale mnie nie słuchasz! Dla rodziny zrezygnowałam z własnego życia. Stali się dla mnie pępkiem świata i bardzo dobrze. Tak przecież powinno być, nie? Dobro dzieci jest na pierwszym miejscu. Tyle że nikt nie stawia mnie na pierwszym miejscu. Nikt o mnie nie dba. Przebudowaliśmy kuchnię, żeby powstała wielka otwarta przestrzeń, bo w ten sposób mogę mieć dzieci na oku, kiedy jestem w kuchni, ale wiesz? Chciałabym znów mieć werandę. Przepadałam za moją werandą.
- Cuchnęła pleśnią – przypomina Lynn.
- Lubiłam ziołowy ogródek. Wiesz, ile teraz kosztuje świeży koperek? Prawie siedem dolarów. Za mały plastikowy pojemniczek.
- Jednym słowem, chciałabyś wiedzieć, co ty z tego masz – upewnia się Lynn.
- Tak, co ja z tego mam. – Wiem, że teraz mówi poważnie. Nie będzie już podkpiwać. – Czy to znaczy, że jestem egoistką? Lynn siedzi z brodą podpartą na dłoni jak „Myśliciel” Rodina.
- Czy to znaczy, że oszalałam?
- Nie – mówi. – To znaczy, że jesteś w średnim wieku.
- Aha... – Spojrzałam na stół, a potem znów podniosłam na nią wzrok, by się upewnić.
- Jesteś mniej więcej w połowie życia. Tak się dzieje, gdy kończymy czterdzieści lat. Przechodzimy kryzys wieku średniego. Wszystkich dręczy to samo pytanie: czy to wszystko, czego mogę się spodziewać?
- Ty na pewno go sobie nie zadajesz. Jakoś nie słyszę narzekania, że musiałaś zawierać układy, kiedy pojawiły się dzieci.

- A jaki układ ty musiałaś zawrzeć? – pyta dociekliwie.
- Że będziemy się starać o dziecko, choć Bob wcale tego nie chciał. Ale zgodził się, bo wiedział, że później zostawię go w spokoju i będzie mógł zająć się swoją pracą. Czekał... To nie dokładnie tak. Nie wiem zresztą, trudno to wyjaśnić. Na dodatek Cammy też ma kłopoty.
- Co się znowu dzieje?
- Zatrzymali ją w szkole warunkowo. W piątek zostaliśmy wezwani do dyrektora.
- Co takiego zrobiła?
- Wagaruje. I lekceważąco odnosi się do nauczycieli.
- Zdaniem Blacka uczniowie okazują brak szacunku, jeśli nie mówią „tak jest, proszę pana”. Ten facet zachowuje się, jakby połknął bejsbolowy kij.
- No a wgary? – mówię. – Spójrzmy prawdzie w oczy. Popatrz na nią, Lynn. Przecież to nie normalne, jak ona się ubiera. I ten makijaż. Na Boga, w życiu bym nie przypuszczała...
- A wiedzieliście o tym wcześniej? To znaczy o wagarach? Nigdy nic nie wspominałaś.
- Kiedy zaczęła zadawać się z tą nową koleżanką, wiedziałam, że będą kłopoty.
- Co to za dziewczyna?
- Monica Carter. Nie znasz jej. Wygląda niesamowicie. Kolczyk w policzku. Kolczyk w brwi. Pewnie język też ma przekłuty.
- Ohyda – stwierdza Lynn. – A swoją drogą, czy to nie boli przy jedzeniu? Coś się może przyczepić, nie?
- Skup się trochę.
- Przepraszam – mityguje się.
- Któregoś dnia pojechałam po Cam do szkoły i zobaczyłam, jak snuje się z tą dziewczyną, która wygląda, jakby się w życiu nie myła. Cammy bez pośpiechu podeszła do samochodu, jakbym miała nie wiadomo ile czasu, a dziewczyna skinęła mi głową. Kiedy się przedstawiłam, zrobiła palcami znak pokoju. Swoją drogą, Cammy nawet mnie nie przedstawiła. Musiałam opuścić okno od strony pasażera i powiedzieć: „Ty jesteś Monica, prawda? Miło cię poznać”.
- No dobra, szesnastolatki raczej nie mają zwyczaju przedstawiać rodziców swoim kolegom – stwierdza Lynn.
- Chodzi o to, że nie podoba mi się ta dziewczyna. Widziałam, jak paliła przed marketem. Cammy uważa, że taka koleżanka to dar niebios. Kiedy próbujemy o coś zapytać, wścieka się i mówi, że

wszystko musimy oceniać, a Moniki nie lubimy, bo wygląda inaczej niż wszyscy. Nosi mroczny makijaż i długie czarne rzeczy, w których wygląda jak śmierć. A Cammy bierze z niej przykład i też się zaczęła tak ubierać i malować. Musiałam zmienić serwetki na papierowe, bo czarnej szminki nie sposób sprać.

– Zależy im na tym, żebyśmy tak myśleli. Buntują się przeciw wszelkim zasadom i przeciw rodzicom, a Cammy dziwi się, że tobie się to nie podoba? – Dzwoni komórka Lynn. – Nie odbiorę cię wcześniej, bo nie jesteś chory! Wracaj do klasy.

– Dlaczego nawet się z nim nie pożegnałaś? – dziwię się.

Lynn przechyliła głowę i patrzy na mnie znacząco.

– Pogubiłam się w twojej historii – wraca do naszej rozmowy. –

Gdzie tu jest ta kłótnia z Bobem? A tak przy okazji... Czy Cammy nie przekłuła sobie nosa jeszcze przed poznaniem tej przyjaciółki?

– Nie, zrobiła to dopiero po przyjeździe Moniki. A co do kłótni...

Zaczął się po tym, gdy powiedzieli nam o warunkowym zatrzymaniu Cam w szkole. To było w piątek. W sobotę znów wyskoczyła z tym, że nie cierpimy Moniki, bo inaczej wygląda. Ale ona faktycznie inaczej wygląda.

– No a ta kłótnia z Bobem...

– Pamiętasz, jak kilka lat temu znalazłam zapłakaną Cammy w łazience? Pamiętasz, o co chodziło? Powiedziała, że chce wyglądać jak my wszyscy. Że nie chce się od nas różnić.

– I jesteś wściekła, bo... Hm, przecież to się zdarzyło dawno temu.

– Jestem wściekła, bo kiedy Cammy była jeszcze bardzo mała, Bob postanowił, bez uzgodnienia ze mną, poinformować ją, że została adoptowana. Powiedział jej, że nie jest naszym prawdziwym dzieckiem. To jego słowa. A przecież umawialiśmy się, że z tym poczekamy, najpierw skonsultujemy się z jakimś specjalistą, a dopiero potem powiadomimy ją w możliwie najlepszy sposób.

– Gnojek.

Nie znoszę, kiedy Lynn tak mówi o Bobie. Ostatnio robi to bez przerwy.

– Nie cierpię, kiedy go tak nazywasz.

– Przecież to ty się z nim kłóciłaś!

– Wiem, ale to mój mąż i... wydaje mi się, że to nie w porządku.

– No dobra, już nie będę. Ale dlaczego wracacie do tego teraz?

– Bo teraz zaczęła się odgrywać. Wiedziałam, że tak się to skończy. Bob ją zniszczył. Domyślałam się, że po kilku latach doczekamy się reakcji, no i proszę. Właśnie teraz, gdy ma to największe znaczenie. W momencie, gdy kształtuje się jej

przyszłość. Wszystko popsuł i już nic nie mogę zrobić. Ona w ogóle przestała mnie słuchać. Nawet nie wiem kiedy...

– Och, skończ już – przerywa mi Lynn. – Ta dziewczyna, ta cała Monica, też się od wszystkich różni wyglądem, więc nic dziwnego, że Cammy chce z nią przebywać. Może to dobrze, że mają siebie nawzajem. Och, kochanie! Nie płacz.

– Wiem, że gadam jak jakaś starucha, ale ona zawsze była takim dobrym dzieckiem... Byłyśmy takie bliskie sobie. Nie zdarzyło się, żeby mi pyskowała, a teraz...

– A teraz jest nastolatką – wpada mi w słowo Lynn.

– Witaj w klubie. Przejdzie jej. Zawsze przechodzi.

– Nie wiem, po prostu nie wiem. Pamiętasz, jak miała dziesięć lat i przyniosła ze sklepu ten wybielacz do skóry? No wiesz, taki, który robią dla Afroamerykanów? Znalazłam pudełko w śmieciach i na szczęście powstrzymałam ją, zanim zdążyła go użyć, ale gdy spytałam, po co jej to, wiesz, co powiedziała?

– No?

– Że nie znosi koloru swojej skóry. Ma taką piękną oliwkową karnację, a mówi, że wolałaby mieć cerę jasną jak Jamie, Andrew, ja i Bob. „Wyglądałabym jak prawdziwy Friedman”. To właśnie powiedziała. I już nigdy tego nie zapomnę. Jakby zdarzyło się wczoraj. – Szarpie zwiniętą w kulkę chusteczkę.

– A teraz jej się odmieniło – mówi Lynn.

– Teraz jej się odmieniło – powtarzam cicho.

– Czy Bob też się tym martwi?

– Nie.

– Dupek.

Problem w tym, że wcale nie jest dupkiem.

Cammy

Nie mogłam przestać kaszleć. To było straszne. Kiedy Monica wzięła ode mnie jointa, dostałam ataku kaszlu. Zaczęła się śmiać, a potem spytała, czy chcę wody. Chciałam, ale nawet nie byłam w stanie kiwnąć głową, tak gwałtownie kaszlałam.

Moniki nic już nie cieszy. Mówi, że wszystko jest nudne. Bo jest. Wiem o tym. Ale za każdym razem, gdy myślę, żeby wyjść wreszcie z pokoju i coś zrobić, patrzy na mnie, jakbym była dzieckiem.

Kiedy proponuję, żebyśmy poszły do centrum handlowego, odpowiada:

– Boże, mówisz poważnie? Myślałam, że żartujesz. Centrum jest dobre dla naiwniaczek w opaskach na włosach i z torebkami w łapkach.

W takich chwilach robi mi się wstyd, że w ogóle pytałam.

Kiedy wspominam, że mogłybyśmy pójść nad jezioro, usiąść na murze przy Montrose, ona zbywa mnie:

– I co? Będziemy puszczać kaczki? Też mi zabawa.

A potem zaczyna ze swoim „to gówniane miasto”, co mnie wkurza, chociaż jej tego nie mówię. Kto może nienawidzić Chicago? To najwspanialsze miasto w całym kraju.

Tak czy inaczej dziś przyniosła skręta i powiedziała:

– No dobra, chodźmy nad to twoje jezioro.

Myślałam, że to papieros. Tylko przez sekundę, ale tak mi się zdawało.

Mama wyszła gdzieś z chłopcami, więc musiałyśmy iść na piechotę, co trwało w nieskończoność. Wiatr wiał nam w twarz, a kiedy spojrzałam na Monicę, wyglądała jak wiedźma podczas Halloween. Odłotowo, z tymi ciuchami, które powiewały za nią jak czarna suknia ślubna z takim długim trenem.

W końcu tam docieramy. Jest pochmurno i dość chłodno, więc nie ma wielu ludzi. Zatrzymujemy się w pobliżu plaży dla psów.

Kiedy przychodzę tu z chłopcami, zawsze stajemy i patrzymy, jak psy się ganiają, pływają, aportują.

Ale to nasz zwyczaj, mój i chłopców. Teraz z Monicą zatrzymuję się i patrzę na małego białego pieska, który próbuje odebrać wielki patyk labradorowi. Wydaje mi się, że ten mały to terier Jack Russell.

– Spójrz. – Wskazuję ręką. – Ten pies jest szalony. Popatrz, co wyprawia.

– No i co? – prycha Monica. – Chodźmy.

Chcę zobaczyć, czy biały piesek zdobędzie w końcu patyk, ale Monica idzie dalej, więc prawie muszę biec, żeby ją dogonić.

Patrząc na to z jej punktu widzenia, rozumiem, że głupio jest tak stać i patrzeć, jak cudze psy się bawią. Ludzie rzucają piłki tenisowe, a psy wskakują do wody i płyną po nie. Czasami całkiem daleko. Nawet kiedy jest zimno. Chyba już jestem na to za duża.

Ciekawe, czy moja rodzona mama miała kiedyś psa.

Wyobrażam ją sobie z afganem, tym chudzielcem z długą sierścią.

Gdyby mnie nie oddała, mogłybyśmy razem go czesać.

Nazwałybyśmy go Heather. Nigdy nie widziałam charta

afgańskiego na żywo, wyłącznie na zdjęciach, ale są piękne.

Podobno właściciele dobierają się z psami na zasadzie podobieństwa, więc zawsze wyobrażałam sobie, że mama jest jak afgan. To znaczy taką osobą, której wszyscy schodzą z drogi, gdy idzie przez tłum.

Dochodzimy do długiego betonowego mola z metalową anteną na końcu. Chociaż jest lodowato i wieje wiatr, idziemy na sam koniec. W cieplejsze dni całe molo obsiadają wędkarze. Kraniec mola ukryty jest za betonową podstawą metalowego słupa, więc siadamy tam, zwieszając nogi, jakby to był gorący sierpniowy dzień.

Monica podejmuje wiele prób, zanim udaje jej się zapalić. Wszystko przez wiatr. Przyglądam się, jak trzyma jointa – przez sekundę myślałam, że papierosa – między kciukiem a palcem wskazującym. Jak facet. To nie znaczy, że wcześniej nie widziałam, jak ludzie palą trawkę, ale ona wygląda bardziej na luzie niż wszyscy, których widywałam. Patrzę, jak się zaciąga i zatrzymuje dym. Jeszcze zanim go wypuści, podaje mi skręta. Trzymam go w palcach tak jak ona. Przez ułamek sekundy myślę: „A gdybym tak pozwoliła mu pofrunąć z wiatrem?”. Ale wtedy Monica by się wpieniła, a już i tak ledwie ze mną wytrzymuje. Mam wątpliwości, czy zrobię to właściwie. A jeśli zwałę się do wody, bo się za bardzo najaram?

Wypuszczam całe powietrze z płuc i zaciągam się, ale dym wpada za szybko i zaczynam się krztusić. Monica wyciąga mi jointa z palców, jakby to był brylant, który mogłabym upuścić. Kaszel wzmagą się, gdy tylko próbuję nabrać powietrza.

– Chcesz wody czy coś? – pyta.

Nie ma przy sobie żadnej wody, więc nie bardzo wiem, czemu mi ją proponuje.

– Nigdy wcześniej nie paliłaś trawy – dodaje.

– Paliłam – udaje mi się wykrztusić, ale widzę, że nie daje się nabrać.

– Z kim? Z twoim kolegą Rickym? – kpi. – Wątpię. Sztacha się znowu i podaje mnie. To test. Patrzy przed siebie na jezioro, ale wiem, że mnie sprawdza. Żałuję, że przerwa między sztachami nie była trochę dłuższa. W gardle wciąż mam ogień.

Tym razem nie zaciągam się tak głęboko i zatrzymuję dym w ustach.

– Teraz to ledwie pociągnęłaś – zauważa Monica.

Moim zdaniem to nieprawda, ale z drugiej strony specjalnie trzymam dym w ustach, żeby nie musieć odpowiadać, więc może ma rację.

– Dobrze to gównu – stwierdza. To już jej trzeci sztach.
Ciągnie tak mocno, że ze skręta prawie nic nie zostało. – Koniec. –
Podaje mi parzące resztki.
Ostatnie sztachnięcie wychodzi mi już tak jak trzeba. Muszę
trzymać jointa samymi czubkami palców, bo właściwie nic już nie
ma, ale Monica jeszcze bierze go ostrożnie, wyciąga, co tylko się
da, i ciska do wody.
Bibułka jest taka cienka, że rozpada się po kilku sekundach.
– Wiesz co? – mówi. – Musisz poznać Paula.
Wciąż siedzimy z nogami zwisającymi nad wodą.
Macham nimi w górę i w dół jak dzieciak.
– Kto to jest Paul?
– Taki gość. Co robisz później?
Jest sobota i w zasadzie mam szlaban, ale mogę się wymknąć,
więc mówię, że nic, a ona każe mi przyjść o dziewiątej pod market.
Kiedy się podnosimy, omal nie wpadam do wody. Monica śmieje
się i przyciąga mnie do siebie. Kiedy podchodzimy chwiejnie do
podstawy anteny, rzuca:
– Ścigamy się do plaży.
Biegnę za nią. Wiatr szarpie naszymi ubraniami. Monica ogląda
się na mnie i przez krótką chwilę widzę, jaka musiała być
wcześniej. Gdy jeszcze była zwyczajna. Jako dziecko.
Kiedy wbiegamy na piasek, jesteśmy bez tchu. Czuję się lekka i
radosna. Wybucham śmiechem, a ona śmieje się ze mną.
Już się nie nudzi. I ja też. W drodze do domu uświadamiam
sobie, że minęłam plażę dla psów i nawet nie rzuciłam na nią
okiem.

Samantha

– Jamie, idź na górę po siostrę. O cholera! – Jak zwykle przygotowuję lunche w ostatniej chwili i jak zwykle robię potwornie dużo zamieszania. Można byłoby tego uniknąć, gdybym je zrobiła poprzedniego dnia wieczorem, jak Kerry Kendricks.

Grudka dżemu spada mi na podłogę. – Psiakość!

– Dwa razy przeklełaś – zwraca mi uwagę syn. Sprawdza, czy Andrew jest gdzieś obok, żeby też mógł mi to wypomnieć. –

Pięćdziesiąt centów!

Przykucam nad lepkiem plackiem na podłodze i ponieważ próbuję go zetrzeć papierowym ręcznikiem, który jest zbyt mokry, robię jeszcze większą lepka plamę.

– Masz dokładnie dwie sekundy, żeby iść po siostrę! Czeka, rzuć mi gąbkę, dobrze? Dzięki. A teraz idź.

– Cammy! Mama każe ci zejść na dół! – drze się z dołu.

– Idź po nią na górę! – krzyczę. – Spóźni się i nie podwożą jej do szkoły.

Skończyło mi się masło orzechowe. Wspaniale. Nie słyszę już dudnienia muzyki Cammy, ale tylko Jamie i Andrew schodzą.

– I co? Gdzie ona jest? Andrew, wyjmij ze spiżarni dwa kartoniki soku.

– Ale one będą ciepłe – marudzi.

– Cammy nie wyjdzie. – Jamie najwyraźniej obawia się, że brzmi to, jakby skarżył, a według niego skarżenie to straszne przestępstwo, więc bardzo się stara, by to tak nie wyglądało.

– Pani Kempner już trąbi. – Biegnę do wyjścia, by dać znać, że już idą. – Cammy! Samochód! Natychmiast! No dobra, kurtki,

plecaki... Andrew, wzięłeś sok dla was obu? To dobrze. Cammy! No już, chłopcy, lećcie. Miłego dnia. Cammy?

Daję sygnał Eileen Kempner, żeby poczekała jeszcze minutę, i omal nie przewracam się o brzeg szlafroka, pędząc po schodach, żeby załomotać do pokoju Cammy.

Muzyka znów ryczy na cały regulator, więc wołanie jest daremne.

Przez ponury hałas mam wrażenie, że dociera do mnie ponaglający klakson. Schodzę na dół, postanawiając, że poszukam informacji na temat muzyki Emo w Google'u. Albo może lepiej będzie na iTunes. Podchodzę do drzwi, mówię Eileen:

– Przepraszam – i macham, żeby już jechała.

Muzyka u Cammy jest tak głośna, że klamka drży mi w dłoni.

Oczywiście zamknęła się na klucz. Szarpanie klamką ani walenie w drzwi nie odnosi skutku. Krew uderza mi do głowy, zaczynam spływać potem w piżamie i flanelowym szlafroku, który jest zbyt

ciężki i brzydki, ale dostałam go od dzieci na Dzień Matki, więc jestem na niego skazana do końca życia. Z telefonu przy łóżku dzwonię na jej komórkę. Już mam się rozłączyć, bo przypominam sobie, że skonfiskowaliśmy jej aparat, ale o dziwo słyszę sygnał i nie włącza się poczta głosowa. Aha! Muzyka cichnie i Cammy odbiera telefon. Nie zdaje sobie sprawy, że to rozmowa z telefonu kilka metrów od niej, ponieważ zastrzeżaliśmy sobie identyfikację numeru.

– Jeśli zaraz nie wyjdiesz, to przysięgam na Boga, że... – Drzwi się rozwarły. Cam patrzy zdumiona, jakby nie miała pojęcia, o co tyle zamieszania. A ja mówię podniesionym głosem: – Zdajesz sobie sprawę, że spóźniłaś się na podwiezienie do szkoły? – Gdy mija mnie i spokojnie schodzi na dół, krzyczę: – Cammy, mówię do ciebie! – Już mam za nią biec, jednak najpierw dopadam do szafy, żeby wrzucić na siebie spodnie od dresu i pierwszą bluzę, która mi wpada w ręce. Muszę się ubrać, by odwieźć Cammy. Jej stosunek do obowiązków to jedna z tych kwestii, które działają na mnie jak płachta na byka, a ona dobrze o tym wie.

– Wsiadaj do samochodu. Szybko. – Nie zawracam sobie głowy zamykaniem drzwi. Za dwadzieścia minut będę z powrotem. – Słowo daję, mam już powyżej uszu tych twoich gier, Cammy. O, dzień dobry, pani Ainsley! – Zmuszam się do uśmiechu i macham przez okno do starszej pani z sąsiedztwa, która wyszła na spacer z jamnikiem, po czym znów zwracam się do Cammy: – Może mi wytłumaczysz, dlaczego prawie w piżamie muszę cię odwozić do szkoły, chociaż to nie jest mój dzień? He? Zapomniałaś języka w buzi?

Wzrusza ramionami, a ja walczę z pokusą, by przestawić dźwignię automatycznej skrzyni biegów na parkowanie, po czym skrócić Cammy kark. Wzruszyła ramionami! I co ja mam zrobić? A teraz wygląda przez okno.

– Chciałabym, żeby ktoś mi powiedział, co ja mam z tobą zrobić. Co ja mam z tobą zrobić?

Nie powinnam była walić pięściami w kierownicę. Nie powinnam była wrzeszczeć. Nie powinnam była tego wykrzyczeć.

– Nienawidzę cię – mówi Cammy.

Nie rzuca tego w gniewie. Nawet nie podnosi głosu. Mówi to całkiem spokojnie, jakby chciała powiedzieć:

– O jej, jaki ładny dzisiaj dzień.

Jakby to wszystko wyjaśniało. Bo tak pewnie jest. Czekałam na ten frazes od pewnego już czasu. Słyszysz się, że nastolatki tak

mówią, czyta się o tym, ogląda w filmach. Niby wiesz, że to musi nadejść, a mimo to nic nie jest w stanie przygotować cię na ten cios.

– Co? – Może nie usłyszałam jej dobrze. – Co powiedziałaś?

– Nic. Nieważne. – Włącza radio i wraca do obserwacji fascynującego krajobrazu.

Na światłach czuję spojrzenie kierowcy z samochodu obok, który pewnie zastanawia się, jaka to matka ma córkę ubraną w stylu gotów. Wszyscy mnie osądzają. Jak to możliwe, że ta dziewczyna tak wygląda? Gdzie jest jej matka, na miłość boską? Tak właśnie myślą. Postanawiam więc odegrać swoją rolę. Odchylam głowę do tyłu i uśmiecham się, jakbym właśnie usłyszała niebywale zabawną historyjkę, po czym odkręcam się w jego stronę i uśmiech powoli zamiera mi na ustach. Teraz on myśli: „Och, kto by pomyślał, nie przyszło mi do głowy, że one rzeczywiście dobrze się czują w swoim towarzystwie”. Tak jest, szanowny panie! Świetnie się tu bawimy. Zawsze się z sobą świetnie bawimy. Uśmiecham się do niego i kiwam głową. Wiem, co sobie myślisz, kolego. Że jestem jedną z tych szczęśliwych mam i siedzę w towarzystwie gadatliwej córki, która jest taka słodziutka. Możliwe, że za chwilę odwróci się do ciebie i pomacha.

Właśnie taka z niej dziewczyna. Macha do całkiem obcych ludzi, bo po prostu jest z natury przyjazna.

– Zielone. Kurde, światło jest chyba od godziny zielone. Boże.

No właśnie. Jest z natury przyjazna.

Przez resztę drogi w samochodzie brak tlenu i panuje kompletna cisza. Wypuszczam powietrze z płuc, gdy Cammy już zatrzasnęła drzwi. Po powrocie do domu sprzątam po śniadaniu, włączam zmywarę, zbieram porzrzucone na dole rzeczy chłopców i dopiero potem wlokę się pod prysznic i przebieram w normalne rzeczy. Czuję się, jakby połowa dnia już była za mną, a jest dopiero dziewiąta rano.

Kilka godzin później czekam na montera od kablówki. Nie cierpię czekania. Nienawidzę. Powiedzieli, że będzie w ciągu czterech godzin, a ja powinnam zabrać się do swoich zajęć. Mam ileś mejli do napisania, muszę zadzwonić w wiele miejsc, a zamiast tego siedzę i gapię się w okno. Nie wiem, czy kiedyś zdarzało mi się tak siedzieć i patrzeć bezmyślnie przez okno. Być może zanim pojawiła się Cammy. Trzy samochody przejechały ulicą. Żadnego z nich nie rozpoznaję. Mieszkamy na ulicy, którą nie ma powodu jeździć, chyba że się tu mieszka albo odwiedza kogoś z mieszkańców. Nie prowadzi tędy żaden skrót. Przed domem

Flandersów zatrzymuje się furgonetka firmy hydraulicznej. Sally wprowadza ich do środka. Wciąż chodzi w szlafroku, chociaż jest już jedenasta. Ciekawe, czy ona też tak siedzi i cały dzień patrzy przez okno. Może dlatego właśnie za dużo pije.

Podskakuje na dźwięk pukania do drzwi. Dzięki Bogu, już są.

Naprawią modem na górze i będą mogła zaczynać.

Otwieram drzwi i zamiast montera widzę dwóch poważnych nastolatków w podobnych białych koszulach i wąskich czarnych krawatach. Na plecach mają czyste plecaki, a w rękach trzymają Biblię. Są mniej więcej w wieku Cammy. Zwykle w takich chwilach powiedziałabym, że to nie jest dobry moment lub że rozmawiam przez telefon, więc niech przyjdą później, a potem przez resztę dnia bym sprawdzała, kto puka do drzwi. A jednak zapraszam chłopców do środka. Nie wydają się ani zdziwieni, ani uradowani, że mają szansę mnie zbawić. Wyglądają, jakby tego właśnie się spodziewali w takim domu, w takiej miłej okolicy, gdzie są ładne ogródki i sympatyczni ludzie.

– Chcieliśmy porozmawiać z panią o naszym Zbawicielu, Jezusie Chrystusie – mówi szczuplejszy.

Zdejmują plecaki, stoją na baczność w przedsionku. Odbieram od nich kurtki i wieszam je na wieszaku. Nie idzie mi łatwo, tyle tam naszych polarów i płaszczy przeciwdeszczowych. Notuję w pamięci, że muszę schować część tych rzeczy, żeby zwolnić kilka haczyków.

– Wejdźcie. Siadajcie. Napijcie się czegoś? Mam coca-cole. I sok. Chcę, żeby zostali. Nie wiem dlaczego, ale chcę z nimi porozmawiać. Może to mi pozwoli się ocknąć. Może to będzie ta zmiana, na którą czekam.

– Nie, dziękujemy, proszę pani – odpowiada masywniejszy.

Nosi niemodne duże okulary i ma okropny trądzik. – Czy mogę spytać o pani życie duchowe?

Siadam naprzeciwko nich w fotelu przy kominku.

– Rozgoście się. – Mówię to, ponieważ przycupnęli na skraju kanapy, jakby się spodziewali, że w ciągu kilku minut zostaną wyproszeni. Ciekawi mnie, czemu w takim razie nie wydawali się zadowoleni, że prowadzę ich do salonu. – Nie jesteście głodni?

– Nie, dziękujemy – mówi chudy. Ma włosy ostrzyżone na jeża. Patrząc na nich, mam wrażenie, że cofnęłam się do lat pięćdziesiątych.

– Jesteście na pielgrzymce? – Ciekawi mnie, czemu tu się znaleźli.

– Podróżujecie razem z rodzicami? Prawdę mówiąc, nie wiem, jak

to działa. Wędrujecie jak mnisi buddyjscy, przez cały rok obywając się bez dóbr doczesnych?

– To niedokładnie tak, proszę pani – odpowiada chudy.

Mówią jak automaty. Jakby się nauczyli tekstu na pamięć.

– Boicie się trochę, chodząc tak od drzwi do drzwi bez rodziny?

– My jesteśmy dla siebie rodziną. Właśnie o to chodzi – tłumaczy przyszczaty. – Kościół Jezusa Chrystusa Świętych Dni Ostatnich to jedna wielka rodzina. Wspomagamy się nawzajem duchowo i emocjonalnie. A jeśli trzeba, także finansowo.

– A przede wszystkim bierzemy przykład z naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa – dodaje chudy.

Widzę, że spogląda na swoją dłoń i dociera do mnie, że nie tylko się denerwuje, ale ma tam ściągawkę.

– W takim razie to jest misja?

– Powołanie – poprawia mnie grubas. – Żeby dzielić się wiedzą, którą dostaliśmy poprzez objawienie od Ducha Świętego względem odwiecznej świętej prawdy.

– To wyróżnienie móc służyć – uzupełnia chudzielec.

Każdego innego dnia ich słowa przyprawiłyby mnie o gęsią skórę, jednak dzisiaj przynoszą ulgę. Ci dwaj chłopcy podtrzymują mnie na duchu. Wypełniają ciszę.

Kiedy rozlega się dzwonek, podskakuję gwałtownie.

Chłopcy patrzą na mnie ze zdziwieniem swoimi niewinnymi oczami.

– Chwileczkę – mówię. – To monter od kablówki. Zaraz wracam.

Co ja, do diabła, wyprawiam? Przecież to mogą być rabusie, którzy ubrani jak mormoni przyszli na rekonesans. Cóż, byłoby to genialne posunięcie. Idę do drzwi i myślę: „No i dobrze, niech biorą, co chcą”.

Monter od kablówki ma przy pasie wielki pęk kluczy.

– Dzień dobry. Chodzi o modem w sypialni – informuję go. – Nagle przestał działać. – Wprowadzam go szybko na górę i wracam do mormonów. – Przepraszam was. Co mówiliście?

– Czy możemy spytać o pani życie duchowe? Czy wierzy pani, że Jezus Chrystus jest naszym zbawicielem?

To nie takie proste, myślę. Wy tego jeszcze nie wiecie, mam ochotę powiedzieć. Życie jeszcze nie zniszczyło wam duszy. Zbawiciel? Proszę bardzo.

– Chyba wierzę. Tak. – Nie wiem, czemu to mówię.

Moi rodzice byli niepraktykującymi żydami. Dla wyznawców judaizmu Jezus Chrystus nie istnieje. Ale jeżeli im to powiem,

wyjda, a ja za wszelką cenę chcę, żeby zostali. Nie rozumiem tylko dlaczego.

– Proszę pani? – woła mnie monter ze szczytu schodów. – Wiem już, na czym polega problem.

– Jeden momencik. – Podnoszę palec, pokazując chłopcom, że zaraz wracam.

Gdy wchodzę po schodach, monter zaczyna mówić:

– Widzi pani, tu jest modem i telewizja, a one się różnią, ale nikt tego nie zauważył. No i tutaj ktoś odłączył modem. Pokażę pani, jak to uruchomić, gdyby się powtórzyło.

Pokazuje mi mały przełącznik do restartu. Podpisuję mu papiery, a on, podzwaniając kluczami, wychodzi, zostawiając brudne ślady na bezsensownej kremowej wykładzinie w korytarzu na górze.

– No już – opadam ponownie na fotel w salonie. – Przepraszam. Wygląda na to, że czytali swoje Biblie.

– Czy przyjęła pani sakrament? Krew i ciało Chrystusa, Pana naszego? – pyta chudy.

Nie obchodzi mnie sakrament ani cały ten kit.

– Pozwólcie, że o coś spytam. Co wasza religia mówi o rodzinie?

– Rodzinie? – Grubas przyjmuje obronną postawę, jakbym poruszyła temat poligamii. A może po prostu jest nieufny. Może uznał, że to przegrana sprawa, lepiej wyjść i spróbować u sąsiadów. Mam ochotę poinformować ich, że tu będą same przegrane sprawy. W całej okolicy. Nie przychodzi mi do głowy ani jedna osoba, która tak jak ja zaprosiłaby ich do domu. – No właśnie, o rodzinie. O zapracowanych rodzinach, gdzie już na nic innego nie ma czasu. Albo... hm... o rodzinach, w których brak zrozumienia i bliskości. No wiecie, kłótnie i takie tam.

Chudy trąca grubasa łokciem i szybko kartkuje księgę.

Najwyraźniej wymyślił odpowiedź.

– Wierzmy – zaczyna, wciąż szukając właściwej strony – wierzmy w... o, jest!

– A tak... – Gruby wydaje się rozczarowany, że nie wpadł na to pierwszy. – Rodzinne wieczory.

– O proszę. – Chudzielec podnosi wzrok, żeby upewnić się, czy go słucham. Zaczyna czytać na głos: – Rodzinny wieczór to wieczór zarezerwowany na zajęcia rodzinne, dyskusje, nauki. Przywódcy Kościoła nie wyznaczają na poniedziałkowe wieczory żadnych zebrań ani prac, żeby rodziny mogły spędzić czas we własnym gronie. – Aż puchnie z dumy, że odpowiedział na pytanie.

– Poniedziałkowe wieczory – powtarzam. – Hm...

Nie widzę nas w takiej sytuacji. Próbuję sobie wyobrazić, jak siedzimy wokół stołu i gramy w scrabble, obracamy w palcach drewniane kwadraciki i przestawiamy je na naszych stojakach. Ja ułożyłabym „nicość”. Ciekawe, ile punktów bym za to dostała?
– I robicie to z waszą rodziną? Chodzi mi o to, czy rzeczywiście to się praktykuje?

Obaj poprawiają się na kanapie, a grubas mówi:

– Cóż, staramy się. Tak. Mamy rodzinne wieczory.

– A jaki jest wasz stosunek do piercingu? – Nie wiem, skąd mi się wzięło to pytanie. Nie zamierzałam go zadawać, ale skoro już padło, jestem ciekawa odpowiedzi.

– Do piercingu? – Patrzą po sobie. Zdają się zadowoleni, że poddają ich takiemu testowi. Przywykli do sprawdzianów. Zagładanie do książki też nie jest im obce. Nadal przecież chodzą do szkoły. A to niewiele się różni. Założę się, że teraz realizują zadaną pracę społeczną. Będą mogli napisać, że oświecili poganę.

Teraz odpowiedzi szuka grubas. On też chce przeczytać coś na głos.

– Członkom Kościoła odradza się oszpecanie ciała tatuażami i piercingiem. – Podnosi wzrok, żeby sprawdzić, czy o to mi chodziło, po czym ciągnie dalej: – Jeśli dziewczęta lub kobiety pragną przekłuć sobie uszy, zachęca się je do włożenia wyłącznie jednej pary skromnych kolczyków. – Zamyka książkę.

Patrzą na mnie wyczekująco, jakby stali na pozycji pałkarza i czekali na piłki wyrzucane przez maszynę.

Dzwoni telefon.

– Może przyjdziemy kiedy indziej? – mówi chudzielec.

– Jedną chwilę. Sprawdzę tylko, czy to nie jest któreś z dzieci.

Telefon jest ze szkoły Cammy.

– Halo? – Patrzą, jak mormoni szepczą coś z sobą. – Mamo? – Głos Cam brzmi dziwnie. – Możesz mnie odebrać?

– Co się dzieje?

– Po prostu... możesz przyjechać i mnie zabrać?

– Przecież nawet nie ma jeszcze przerwy obiadowej. Jesteś chora?

Słyszę, jak pociąga nosem. Płacze. Nie dzwoni z komórki, a więc jest w sekretariacie. Gdyby jednak wpadła w jakieś tarapaty, zadzwoniłby do mnie ktoś inny.

– Mamo?

– Zaraz tam będę. Wyglądaj mojego samochodu. A może... chcesz, żebym weszła?

– Będę przed drzwiami.

– Zostań w środku. Na zewnątrz jest chłodno.

– Tylko przyjeźdź, dobrze?

– Już jadę.

Żołądek podszedł mi do gardła. Z blatu kuchennego chwyciłam torbę i kluczyki.

– Proszę pani? – woła jeden z mormonów.

– O Boże, zapomniałam! To znaczy, o kurczę. – Jedną nogą jestem już za drzwiami. Cofam się pośpiesznie. – Przepraszam. Bardzo przepraszam. – Biegnę przez salon do drzwi frontowych, żeby ich wypuścić. – Ależ niegrzecznie się zachowałam. Przepraszam.

Grubas ma kłopoty z przełożeniem drugiej ręki przez pasek plecaka. Z przyzwyczajenia sięgam i mu pomagam. Mam już wprawę w wyplątywaniu dzieci z wszelkich rzeczy. Mormon wzdryga się, mruczy pod nosem:

– Poradzę sobie – i gwałtownie odwraca się do mnie twarzą, jakbym chciała przykleić mu na plecach kartkę z napisem „kopnij mnie”. Z pewnością w szkole był dzieckiem, któremu wszyscy dokuczali.

Chudy jest już w połowie schodów, gdy odwraca się, żeby zrobić jeszcze jedną próbę.

– Pani... ee... proszę pani?

– Tak? – Kluczyk samochodowy trzymam już w palcach ząbkowanym brzegiem do góry, żeby nie tracić czasu w ciemnym garażu.

Czeka, aż przyciągnie moją uwagę, co wydaje się dość odważne jak na skromnego, nieśmiałego mormona. Przychodzi mi do głowy, że być może czuje się pewniejszy, mówiąc o Bogu na zewnątrz, gdzie może szybko się wycofać, jeśli go przegonią lub zaczną ubliżać, co prawdopodobnie często ma miejsce. Cóż, przez te dziesięciolecia Bóg stał się ideą kontrowersyjną.

– Czy mogę zadać jeszcze ostatnie pytanie? – Głos chudego brzmi piskliwie, a sądząc z jego wieku, mutację ma już za sobą, więc każdego ranka budzi się z myślą, że na zmianę głosu nie ma już szans.

– Jakie? – pytam, a w duchu powtarzam: „szybciej, szybciej”.

– Czy pani wierzy w Boga? – Odchylił głowę, jakby rzucał mi wyzwanie.

Zastanawiam się, jaką mam dać odpowiedź, wreszcie decyduję się na krótką i zwięzłą.

– Nie – mówię. – Nie, nie wierzę w Boga.

Wiedziałam o tym już od dłuższego czasu, ale pomijałam to milczeniem, bo chciałam, żeby dzieci wierzyły i chodziły do

kościół... chociaż... kurczę, wcale nie o to chodziło. Pomijałam to milczeniem, bo nie takiej odpowiedzi spodziewają się po tobie. W każdym razie nie w moim świecie. Nie należy mówić, że nie wierzy się w Boga. Nie należy tak nawet myśleć.

Mają miny, jakbym na ich oczach zastrzeliła psa, więc domyślałam się, że – chociaż chudzielec, zadając pytanie, przyjął wyzywającą postawę – żadnemu z nich nawet przez myśl nie przeszło, że rozmawiają z autentyczną poganką.

– Nie wierzy pani, że Bóg jest naszym zbawieniem? – Grubas ma taką minę, jakby już samo wyszeptanie takiego pytania było bluźnierstwem.

Chudzielec przenosi wzrok z niego na mnie. Staram się pamiętać, że są tylko dziećmi. Dziećmi wyruszającymi w drogę, która zapewne będzie bezowocną pielgrzymką Flipa i Flapa.

– W gruncie rzeczy właśnie o to chodzi – mówię, podzwaniając kluczykami, co jest powszechnie przyjętym sygnałem, że czas już odejść. – Nie wierzę w Boga, ale przede wszystkim nie jestem pewna, czy wierzę w zbawienie.

Zamykam drzwi za członkami Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych Dni Ostatnich i przez tylne wyjście śpieszę po kogoś, kto moim zdaniem jest najmniej święty ze wszystkich znanych mi osób.

Skręcając w prawo w Clark, myślę, że gdybym miała czas, wytłumaczyłabym, że źle się wyraziłam. Uwierzę w zbawienie, jeśli nasze małżeństwo da się uratować. Próbuje przejechać na żółtym świetle, ale nie udaje mi się, przez co zgarbiona staruszka z balkonikiem musi okrążyć moje auto. Facet za mną nie daje mi się cofnąć, więc utknęłam pośrodku przejścia dla pieszych. Gdybym miała więcej czasu, powiedziałabym mormonom, że został zachwiany mój potencjał wiary. Umierające matki, szamoczące się dzieci, znikająca miłość, a małżeństwo tak kruche, że byle podmuch może je unicestwić... Gdzie w tym wszystkim jest Bóg? To właśnie powiedziałabym mormonom, gdybym miała więcej czasu.

W pierwszej chwili jej nie widzę. Zwalniam, spodziewając się, że zaraz wypadnie z drzwi szkoły, i zauważam, że coś porusza się obok pojemnika na śmieci pod boczną ścianą budynku. To Cammy. Twarz ma całą w smugach, usta sine z zimna. Pędzi do samochodu, jakby uciekała przed ostrzałem.

Pachnie piżmem, jakby się spociła. Z bliska widzę, że smugi na policzkach to rozmazany tusz.

– O Boże, Cam, co się stało?

Ledwie zamknęła drzwi, zaczyna płakać.

– Jedź. Czy możemy już jechać do domu?

Ruszam.

– Jasne. Dobrze, jedziemy do domu.

Nie jest to łatwe, ale musi trochę ochłonać, zanim zacznę zadawać pytania.

Zastanawiam się, czy powinnam włączyć radio. To zwykle ją uspokaja. Daje tło, którego czasem potrzebuje, żeby coś powiedzieć. Jednakże dziś rano radio nie pomogło, więc i teraz z niego rezygnuję.

– Kochanie? Cam? – Kiedy zatrzymuję się na światłach, wyciągam rękę, żeby odgarnąć jej włosy i wsunąć je za ucho. Nie wzdryga się ani nie cofa przed moją ręką, wręcz pozwala głaskać się po głowie.

– O co chodzi, kochanie?

Płakała przez całą drogę do domu. Próbowałam wszystkiego, co przychodziło mi do głowy, by mi powiedziała, co się dzieje, ale nie udało się. Cały czas kręciła odmownie głową.

– Czy ktoś ci coś zrobił? – pytam, wjeżdżając do garażu. Przy tym pytaniu przestaje płakać. A więc trafiłam. Spuszcza wzrok na dłonie i zaczyna obskubywać czarny lakier. Paznokcie ma obgryzione do żywego mięsa. Ponaglęm delikatnie: – Cam? – Mierzy mnie wzrokiem. Widzę, że wokół ust nie ma makijażu. Zmazany fragment ma mniej więcej kształt dużego smutnego grymasu klauna. – Co się stało z twoją buzią?

Znowu spuszcza wzrok. Chciała tylko, żebym to zobaczyła.

– Nic – odpowiada.

– Coś jednak się stało, Cammy. Proszę, powiedz mi. Proszę. –

Łamię sobie głowę nad właściwym pytaniem, lecz nie mogę znaleźć słów. – Czy ktoś cię skrzywdził?

– Idę do domu.

– Porozmawiaj ze mną, Cammy. Powiedz, co się wydarzyło.

Wysiada z samochodu, ciągnąc za sobą czarną torbę, którą zwykle nosi w poprzek tułowia. Wielka torba jak do laptopa, którą kupiła z własnych oszczędności, gdy w zeszłym roku plecaki stały się „dobre dla debili”. Na pasku ma przyczepiony znaczek z napisem „Nienawidzę wszystkich”.

Opieram głowę na kierownicy. Powinnam pójść za nią do środka.

Powinnam łagodnie zmusić ją, żeby się otworzyła. Doprowadzić do

tego, by zapomniała, że mnie nienawidzi. Powinnam być dobrą matką. Powinnam wziąć się w garść.
Mam tego wszystkiego serdecznie dość.

Cammy

Strasznie długo trzeba czekać, żeby vicodin zaczął działać. Przynajmniej wydaje mi się, że to jest vicodin. Paul mówił, że tak, ale z nim nigdy nic nie wiadomo.

Nigdy nie sądziłam, że zaczniemy to robić w szkole. Will zawołał mnie do samochodu, kiedy wyszłam na papierosa w czasie wolnej lekcji. Nie kupuję sama papierosów. Wyłudzam je od jednej dziewczyny, Waverly. Właściwie jej nie znam, ale jakoś nie ma nic przeciwko temu, że niemal codziennie proszę ją o papierosa.

No więc było tak. Will macha na mnie. O rany, myślę. W końcu pokażemy się razem za dnia! On jednak mówi mi, żebym wsiadła, sam też zaraz siedzi w środku i zanim zdążyłam się zorientować, rozpina spodnie. Tam, w szkole! Mówię, że muszę iść, a on na to: – Tak, jasne.

I kładzie rękę na mojej głowie, a jest bardzo silny.

W dodatku trzyma mnie za włosy, więc w ogóle nie mogę się ruszyć. W pewnej chwili zaczynam się dławić. Nie mogę nabrać powietrza, bo porusza się za szybko i za mocno pcha moją głowę, powtarzając:

– Postaraj się, dziwko.

Po wszystkim siadam prosto i spostrzegam Missy Delaney, która przez parking wraca z treningu cheerleaderek czy czegoś takiego.

W momencie, gdy wycieram usta, napotykam jej spojrzenie.

Widzę, że już wie. Patrzy na Willa i ponownie na mnie. Jeszcze raz rzuca na mnie okiem przez ramię, po czym tylnym wejściem wchodzi do szkoły.

Will każe mi spieprzać, więc biegnę do sekretariatu, chociaż już powinnam iść na matematykę. Dostanę negatywną ocenę za urwanie się, ale mam to gdzieś. Missy Delaney na pewno już powiedziała połowie szkoły. Przynajmniej mama nie ochrzaniła mnie za urwanie się ze szkoły. Słyszałam tylko „co się stało”, „czy ktoś cię skrzywdził”, „porozmawiajmy”... Bla, bla, bla. Jeszcze czego! Za żadne skarby nie będę z nią rozmawiała. Na pewno by ześwirowała, a ja dostałabym dożywocie, a i tak nic by się nie zmieniło. Will pozostanie Willem, Paul nadal będzie Paulem. Wiszę mu tyle kasy, że z pewnością nie da mi spokoju. Nie ma z tego wyjścia. Dlatego czasami żałuję, że nie umarłam. To by wszystko rozwiązało.

Chociaż zeszłej nocy, Boże, ale to było niesamowite... Śniło mi się, że w końcu zdobyłam się na odwagę i opowiedziałam wszystko mamie. Naprawdę wszystko. Przytuliła mnie, jakbym była małą dziewczynką, i powiedziała:

– Będzie dobrze, od tej pory zajmę się wszystkim, przeprowadzimy się i będziesz mogła zacząć od nowa. – I coś tam jeszcze. Och, jak to dobrze pamiętam! A potem dodała: – Zaraz wracam.

Byłam taka uradowana, aż podniosłam pięści jak cheerleaderki. No i czekam, i czekam, aż wróci do domu i opowie, co się wydarzyło. Myślę sobie, że pewnie poszła na policję – to znaczy myślę tak we śnie. I że doprowadziła do aresztowania Willa i Paula, i ich wszystkich, a oni nie wiedzieli, kim ona jest, więc nie mogli wykombinować, że to ja na nich doniosłam, więc wszystko układa się znakomicie. Ale potwornie długo nie wraca do domu – cały czas chodzi o sen – a kiedy w końcu przychodzi, ja wciąż siedzę po turecku na jej i taty łóżku i pytam:

– No i...?

A ona... to pamiętam bardzo dokładnie... mówi:

– Och, miałam coś zrobić?

Kiedy obudziłam się dziś rano, myślałam, że to się zdarzyło naprawdę. Leżałam, rozmyślając o tym, i nawet gdy już dotarło do mnie, że to tylko sen, pomyślałam – i nadal tak uważam – że dokładnie to by się stało, gdybym faktycznie jej opowiedziała. Ona jest całkiem nieobecna. Nic jej nie obchodzi. To znaczy zadaje pytania, ale potem mówi, że ma ze mną kłopot albo coś w tym guście, więc po co mam sobie jeszcze pogarszać sytuację? Zresztą z nimi i tak już jest fatalnie. Bez przerwy się kłócą i chociaż nie krzyczą, są kompletnie toksyczni. Tak właśnie powiedziałyby Monica. Toksyczni. I na pewno byłoby tak samo jak we śnie. Zapomniałyby o mnie i usłyszałyby tylko:

– Och, miałam coś zrobić?

W zeszłym tygodniu wysyłali ze szkoły listy z informacją o „wymaganiach dotyczących stroju”, a to mniej więcej znaczy, że nie mam co na siebie włożyć. Wszystko, co umieścili w kolumnie „nieodpowiednie”, wisi w mojej szafie. Od tej pory żadnych T-shirtów z napisami, nic pociętego czy podartego, żadnych czarnych rzeczy, bla, bla, bla. Zupełnie jakby mnie sobie wybrali. Ale wiecie co? Pieprzyć ich. Nie mogą mnie zmusić. Mam gdzieś ich wymysły. Przecież to kretynizm. Zupełnie jakby ciuchy zmieniały to, jacy jesteśmy w środku albo co myślimy. Jakby noszenie tych masowo produkowanych ubrań miało sprawić, że wszyscy będziemy prowadzić takie samo życie i tak samo myśleć. To ma być żart czy co? Pani Flanders z naszej ulicy każdego dnia jest w dupę pijana. A pan Murphy jest uzależniony od pornografii w internecie. Billy mówił, że postanowił użyć komputera taty, bo

nie chciało mu się iść na górę do pokoju, i trafił na te wszystkie zdjęcia, a kiedy zaczął grzebać, okazało się, że ojciec zaprenumerował z pięćdziesiąt stron. Wszyscy się śmiali oprócz mnie. I właśnie tego oczekują, żebyśmy stali się taką prowincjonalną ciemną masą z ładnymi trawniczkami, ślicznymi domkami, uśmiechami na ustach i proszonymi herbatkami. Tyle że każdy ma jakieś swoje cholerne problemy.

Samantha i Bob wezwali mnie na naradę rodzinną, ale chłopców nie było, więc równie dobrze mogli sobie na czołach wypisać: „Znowu chodzi o ciebie, Cameron”. Na gzymsie kominka stoi nasze stare zdjęcie z Disneylandu, na którym chłopcy mają jednakowe czapeczki Myszki Miki. Można by pomyśleć, że to była najwspanialsza rodzinna wycieczka. Za każdym razem, gdy na nie patrzę, myślę sobie, że to naprawdę niesamowite. Ja się porzygałam po przejażdżce kolejką kosmiczną, chłopcy ryczeli, bo przestraszyli się piratów z Karaibów, a mama i tata – to znaczy Samantha i Bob – pokłócili się o faworki czy coś takiego. Ale nasze zdjęcie w pięknej srebrnej ramce z wyrytym na dole słowem „rodzina” stoi na środku półki nad kominkiem.

Mama i tata usiedli naprzeciwko i mówili, że właściwie z tymi ubraniami to dobry pomysł, a Samantha z uśmiechem dodała, że w takim razie będziemy musiały wybrać się na zakupy. Czasami uśmiecha się do mnie tak promiennie, że czuję się jak kanalia i mam ochotę trzepnąć się w łeb. Naprawdę staram się nie być taka podła.

W każdym razie kiedyś się starałam. Ale i tak zawsze wszystko muszę schrzanić. A teraz chcę tylko wyrwać się z tego drętowego życia.

Karą za to, że nie chcę się podporządkować zaleceniom w sprawie ubrań, jest wyprawa do centrum handlowego z mamą. Świetnie, ale i tak nie wejdę do pieprzonego Gapa. Ani nie będę nosić tej tandety od Abercrombiego.

To był numer jeden. Numer dwa jest gorszy. Zostałam nakryta na urywaniu się z lekcji. Nie mogę w to uwierzyć. Mogłoby się wydawać, że pan Keesler zapadł w śpiączkę, zawsze jest na lekcji taki senny. Nigdy nie rozgląda się po klasie, więc nie pojmuję, skąd może wiedzieć, że byłam nieobecna. Zresztą z trygonometrii mam dobrą ocenę, więc o co chodzi? Muszę jednak opracować jakiś plan, bo nie mogę teraz wszystkiego zawalić... Już tak niewiele brakuje. Lada dzień powinien przyjść list. Zoey Nickerson z naszej ulicy przyjechała z college’u, bo ma mononukleozę

i utyła jakieś dziesięć kilo, więc w ciągu dnia siedzi w domu. Pójdę do niej i spytam, czy mogłaby mi pomóc. Tyle że poczta podlega prawom federalnym, więc nie wiem, czy jej oddadzą list do mnie. Cholera. Muszę to sobie przemyśleć. Swoją drogą nie rozumiem, dlaczego to trwa tyle czasu... List już tu powinien być.

Ricky nie może tego zrobić, co mnie wkurza, bo ostatecznie to był jego pomysł, żebym się skontaktowała z ośrodkiem adopcyjnym. No, ale ma własne kłopoty, bo mama kazała mu wyjąć kolczyk z nosa i dziurka się zainfekowała. W dodatku kupiła mu te koszmarne koszulki w kolorze wielkanocnych pisanek, a on musi je nosić, bo jego mama przyjaźni się z jedną z naszych nauczycielek i natychmiast wie, co się dzieje. Więc chyba nie mogę się czepiać, że jest zły. Tylko co mi w takim razie pozostaje? Jeśli list wpadnie w ręce Samantha, będę miała kłopoty. Mogą wydarzyć się dwie rzeczy: albo go zatrzyma i nigdy mi o nim nie wspomni. Albo oboje z Bobem zaczną panikować, będą zasmuceni z miną w stylu „nie kochasz nas”. Samantha dorzuci, że nie wyobrażam sobie, jak okropnie jest dorastać bez matki. Będzie płakać i opowiadać o swojej mamie, a ja poczuję się jak podła córka. Czyli nic nowego.

Samantha

Przynajmniej dzieciaki nie wiedzą, jak źle układa się między mną a Bobem. Można wiele powiedzieć o naszym małżeństwie, ale oboje jesteśmy dobrymi rodzicami. Zawsze uważałam, że lepiej trzymać dzieci z dala od awantur. Więc przynajmniej w tym jesteśmy zgodni.

Pamiętam tego konia, na którym jechałam podczas rodzinnej wycieczki do Wielkiego Kanionu w zeszłym roku. Ależ to była nieudana wyprawa. Chłopcy bez przerwy kłócili się o gameboya. Cammy cały czas jęczała, czemu komórka nie ma zasięgu i dlaczego nie mogliśmy pojechać na Bahamy, gdzie wybrali się wszyscy jej koledzy. Bob z kolei narzekał, że dwugodzinna przejażdżka konna po krawędzi Kanionu kosztuje dwieście dolarów. Tłumaczyłam mu, że to była okazyjna cena, ale i tak się martwił. Mój koń nazywał się Piorun, a wybrałam go, bo uznałam, że jeśli imię dostał ze względu na swój temperament, lepiej byłoby, gdybym to ja skrzyła kark, a nie któreś z dzieci. Okazało się, że imię konia nie miało nic wspólnego z jego charakterem. Piorun włókł się utartym szlakiem tuż za Flossie, koniem Andrew, i ani razu nawet nie podniósł głowy. Był tak apatyczny, że każda minuta jazdy sprawiała mi przykrość, a pod koniec wycieczki dałam Piorunowi wszystkie kostki cukru, które nam rozdał przewodnik. Kiedy aksamitne chrapy załaskotały mnie w dłoń, miałam wrażenie, że pęknie mi serce. Możecie pomyśleć, że jestem wariatką, ale gdy spojrzałam Piorunowi w oczy, dostrzegłam błysk porozumienia i poczułam, że coś nas łączy. Odwróciłam wzrok i powiedziałam do reszty:

– Chodźmy już.

Andrew wpełznął się do wynajętego samochodu, krzycząc, że teraz Jamie powinien siedzieć pośrodku, Cammy westchnęła niechętnie i nikt z nas nie podziękował Bobowi, że wybulił ponad dwieście dolarów.

Czasami przypominam sobie Pioruna, gdy jadąc do szkoły po dzieci, stoję w sznurze samochodów i posuwam się do przodu po kilka centymetrów. Wyobrażam sobie wtedy, że auto przede mną to Flossie. Już tyle razy szliśmy tym szlakiem, że w ziemi wycisnęliśmy nasze ślady. Moglibyśmy pokonać tę drogę z zamkniętymi oczami.

We wtorki jest trening piłki nożnej, więc po zostawieniu Andrew nad jeziorem mam wystarczająco dużo czasu, by umyć samochód. Pracownik myjni pokazuje mi, że bym stała bliżej brudnego mercedesa. Wyłączam radio.

W lusterku wstecznym widzę składającą się antenę, potem przyglądam się swojej twarzy. Muszę pamiętać, żeby kupić ten krem, który zdaniem Lynn likwiduje cienie pod oczami. Właśnie nakładam szminkę, gdy chłopak puka w szybę.

- Opony też?
- Tak, proszę.
- Woskowanie?
- Tak.

Podaje mi kwit przez okno. Wjeżdżam na prowadnice i przestawiam dźwignię na bieg jałowy. Od tego momentu samochód sam wie, co robić. Tak jak wiedział to Piorun. Plastikowe paski nakładają mydliny na maskę. Szczotki przesuwają się wzdłuż boków. Różne przyrządy się wysuwają, wykonują jakąś pracę, po czym wracają na miejsce, jakby nic się nie wydarzyło. Suszarka zdmuchuje krople wody. Płacę na końcu tunelu i wyjeżdżam z zamkniętymi oknami, żeby nie porobić na nich smug. Przy wyjeździe stoję za dwoma innymi błyszczącymi samochodami.

– Skarbie, zanim wsiądziesz, otrzep korki z ziemi. Dopiero wyczyścili mi samochód.

Jamie to robi, natomiast Andrew nigdy nie jest w stanie czegokolwiek otrzepać, a zresztą już po kilku sekundach wewnątrz auta ma zapach spoconego chłopca w wieku wczesnoszkolnym, u którego intensywnie pracują hormony.

- Mamo, czy Ryan może przyjść na kolację?
- Przecież jutro idziecie do szkoły.
- Ale odrobimy lekcje, a jego mama mówi, że może go zabrać o każdej porze.

Kerry Kendricks puka w okno, więc mimo wszystko muszę opuścić szybę.

– Wzięli mnie z zaskoczenia – tłumaczy. – Ale możemy to przełożyć na inny dzień, jeśli wolisz.

– Nie, nie, w porządku – mówię i słyszę, jak na tylnym siedzeniu chłopcy wołają „taak!” i przybijają piatki.

– Dziś mamy pizzę, więc to żaden problem.

W domu zmuszam Jamiego, żeby skończył pracę domową. Moje wysiłki można porównać do łatania przecieku w tamie taśmą klejącą, bo Jamie wierci się i z trudem wytrzymuje na krześle. Co chwila się odwraca, żeby popatrzeć, jak Ryan na niby rzuca piłkę bejsbolową do Andrew, który udaje, że odbija ją kijem. Nie przestają przy tym go poganiać:

– Skończ to wreszcie, chodźmy już, pośpiesz się!

Wreszcie Jamie wyciera siódemkę, którą wstawił w kratkę po działaniu cztery dodać dwa dodać dwa, byle jak wpisuje cyfrę osiem, po czym zrywa się i we trzech wypadają z domu tak szybko, że niemal widzę pęd powietrza jak w kreskówkach. Szukam bezprzewodowego telefonu, którego nigdy nie ma na miejscu, żeby załatwić odkładane przez cały tydzień telefony. Zawsze czuję ulgę, słysząc automatyczną sekretarkę, gdy muszę, jak choćby ostatnio, przypomnieć Adrinie Ibrahim, żeby na klasowy piknik przyniosła napoje, czy też spytać Maksa, kiedy jest następny mecz wyjazdowy, poprosić Sally Flanders, żeby odszukała nazwę firmy produkującej bezglutenowe ciasteczka, którymi tak się ostatnio zachwycała. Znakomity wynik: na trzy telefony – trzy automatyczne sekretarki.

Teraz już mogę wyrzucić artykuł z „Time’a” o wpływie glutenu na naukę i koncentrację u dzieci, które nie są uczulone.

Chwileczkę... Czego jeszcze mogłabym się pozbyć? Kupon rabatowy na zajęcia jogi – przysięgałam sobie, że pójdę je wypróbować – do wyrzucenia. Przepis Adriny na potrawę z dyni – spójrzmy prawdzie w oczy, w życiu się do tego nie wezmę – won! Przeglądam coś, co wycięłam z magazynu „O”, gdy słyszę, że wchodzi Bob. Mocno zatrzaskuje drzwi. Trzask niczym zawiadomienie. Jakby oczekiwał, że ustawię dzieci w szeregu od najwyższego do najmniejszego.

– Co na kolację? – pyta, zaglądając do lodówki. Wciąż trzyma wytartą skórzaną teczkę z wieloma kieszeniami.

– Pizza. Zrobię też sałatkę. – Wciąż przeglądam stos papierów. – Dzwoniłeś już do Johna? Jakiś czas temu zostawił wiadomość w sprawie golfa.

– A tak, wtorkowa pizza. Idę na górę się przebrać.

– Mogę wyrzucić tę notatkę, żeby zadzwonić do Johna?

– A co mnie to obchodzi? – Rzuca okiem na stronę ze sportem w gazecie, po czym wtyka ją pod pachę.

– No, ale dzwoniłeś do niego czy nie?

– Dzwoniłem, dzwoniłem. – Cammy będzie próbowała wymóc na tobie zgodę, by mogła pójść do Zoey.

– I co w tym złego?

– Zapomniałeś, że ma szlaban? Jezu...

– Ja też się cieszę, że cię widzę – odpowiada Bob.

– Ależ miły ton.

– I miły sposób powitania męża.

– Pierwsze twoje słowa po wejściu to „co na kolację”, więc na twoim miejscu nie czepiałabym się. Chcesz parówkę do pizzy?

– Pewnie. – Spogląda na stos poczty. – O kurczę! Ile można dostawać katalogów?

– Powiedziałeś przekleństwo, tato. – Za naszymi plecami pojawia się Andrew. – Dwadzieścia pięć centów. Mamo, możemy pograć w Nintendo?

Bob stoi teraz przy lodówce, na plecach czuje zimny powiew.

– Dwanaście dziewięćdziesiąt dziewięć za odrobinę sałatki z kurczaka?

– To zdrowa żywność – odpowiadam.

– Co za kit.

– Przekleństwo! Dwadzieścia pięć centów! – woła Jamie.

– Jeszcze czego – napada na niego Andrew. – Wołałem cię, żebyś zobaczył, jak przeklina, ale to moje dwadzieścia pięć centów. Pierwszy to usłyszałem.

– Może, ale nie zawołałeś.

– Spokój, chłopcy.

Bob wyjmuje pojemniki i sprawdza kody kreskowe oraz ceny.

– A niech to... Pięć dziewięćdziesiąt dziewięć za truskawki? Jezu, Sam!

– Przekleństwo! – wykrzykują w tym samym momencie. Teraz wsłuchują się w każde słowo, licząc na kolejne ćwierćdolarówki. Ryan wykręca rękę, żeby sięgnąć do strupa na łokciu, i pyta chłopców:

– Dlaczego krzyczycie, kiedy słyszycie przekleństwo?

– Chcesz, żeby dzieci jadły żywność z pestycydami? Podaj mi, proszę, ogórek. Na dole, po prawej stronie.

– Zarabiamy za każdym razem, gdy rodzice zaklną – wyjaśnia Jamie.

Ryan wyciera w szorty krew ze świeżo rozdrapanej ranki i uważnie ogląda łokieć.

– Krój cienkie plasterki – zwraca mi uwagę Bob. – Niech starczy na długo, bo to ostatni wart milion dolarów ogórek, jaki jemy.

– To fantastyczna sprawa – tłumaczy Andrew – bo oni często przeklinają. Kupiłem sobie transformersa za pieniądze, które zarobiłem w zeszłym roku.

– Szkoda, że moi rodzice nie klną. – Ryan oblizuje zakrwawiony palec. – Chcę kupić tego nowego iPoda nano.

– Chłopcy! Wcale często nie przeklinamy – wtrącam się. Świetnie. Wprost cudownie. Kerry Kendricks znajdzie już sposób, żeby pokazać, jakimi jesteśmy strasznymi rodzicami. – Przestań to skubać, Ryan. Trzeba zakleić skaleczenie plastrem. Ale najpierw umyj rękę, kochanie.

– Ryan pił swoją krew – głośno oznajmia Andrew. – Tato, widziałeś? Tato, Ryan jest wampirem. Zlizywał swoją krew.
– Chłopcy, idźcie na górę. Zawolałam was, gdy dostarczą pizzę. Jamie, jak wejdziecie na górę, daj Ryanowi plaster, dobrze? – Patrzę na Boba. – Możesz wyjąć pomidora?

Pochyliła się do lodówki i mówi cicho:

– Pieniądze wypływają z domu strumieniem.
– Daj innego pomidora. Ten nie jest jeszcze dojrzały.
– Całkiem serio, Sam. Musimy ograniczyć wydatki.
– Nadal chcesz, żebym kupowała whisky? O, to byłaby oszczędność, gdyby z listy zakupów wykreślić alkohol.
– Odpieprz się! – Otwiera butelkę.

Chłopcy wypadają z salonu.

– Przekleństwo!
– Za pięćdziesiąt centów!

Podnoszę wzrok znad deski do krojenia i widzę, jak Bob rzuca chłopcom drobne i sztywno wychodzi z kuchni.

– Możemy zagrać w Nintendo? – wrzeszczy Andrew z połowy schodów.

Odprowadzam Boba wzrokiem.

– Uporządkowaliście pokój, jak wam kazałam wczoraj?
– Tak. Możemy?
– Dobrze, możecie pograć do kolacji. Nie biegajcie po schodach. Wkrótce Ryan zostaje odebrany i wieczór wypełnia się zwykłą pustką, przerywaną rodzicielskimi warknięciami: „Umyjcie zęby”, „Wybierzcie książkę, którą będziemy czytać przed snem”, „Powiedz siostrze, żeby zeszła na dół”, „No to wal w drzwi, aż cię usłyszy. Powiedz jej, że kazałam ściszyć muzykę”, „Chłopcy, ubrania wrzucamy do kosza na brudną bieliznę, nie na podłogę”.

Druga strona łóżka jest pusta. Bob siedzi przy komputerze. Pościel jest chłodna. Już nie życzymy sobie dobrej nocy. No i dobrze.

Kurczę, czy nastawiłam budzik?

Pierwszych kilka minut zasypiania to stan zawieszenia: wiesz, że już odpływasz, ale właściwie jeszcze nie śpisz. A potem mięśnie zaczynają drgać, głowa opada i dociera do ciebie, że może jednak spałeś. Właśnie w tym czasie mój umysł krąży wokół tego, co gryzło mnie w ciągu dnia. Mam ochotę zawołać Boba, powiedzieć, żeby wyłączył komputer i przyszedł do łóżka. Chcę mu powiedzieć, że tonę. Że my toniemy. Staliśmy się jedną z tych par, które

zawsze budziły moje współczucie; parą ludzi, którzy nie mają sobie nic do powiedzenia. Trudno jest ciągle martwić się o nas. Martwić się samotnie. Pragnę mu powiedzieć, że potrzebuje pomocy. Nie sądziłam, że będzie mi tak ciężko. Chcę, żeby mnie objął i powiedział, że wszystko będzie dobrze. Chcę, by obiecał, że się wszystkim zajmie przez jakiś czas.

Jestem prawie pewna, że nastawiłam budzik. Może lepiej sprawdzę. Jutro przed lekcjami jest zebranie, a Kerry Kendricks strasznie zrzędzi, gdy ktoś się spóźnia. Potem lunch w Spiaggia. Mogę skorzystać z parkingu w budynku Bloomingdale. Albo nie, lepiej pojechać kolejką.

Jest środa, więc muszę się spotkać z trzema plotkarami, z którymi jestem w komitecie szkolnej imprezy dobroczynnej. Uczciwie mówiąc, wolałabym wsadzić sobie palec do oka, ale już dwa razy odwoływałam spotkanie, więc tym razem muszę iść. Przez jakieś dwadzieścia minut będziemy mówić o imprezie – pięciokilometrowym marszu lub biegu, który ma pomóc zebrać pieniądze na krzesła do auli. Resztę czasu spędzimy, obrabiając różnych rodziców. Albo dzieci. Ja przede wszystkim słucham i staram się niczym nie narazić, żeby nie stać się obiektem obgadywania, kiedy zostaną same, choć prawdę mówiąc, nikt nie może czuć się bezpieczny. Sandy Kweiler wypije w tym czasie trzy kieliszki wina, a Marty Kozlowski będzie udawać, że musi odwieźć Sandy do domu, bo chce obejrzeć nowe zasłony w jej salonie. A przecież wszystkie dobrze wiemy, że robi to, bo Sandy jest zbyt pijana, by prowadzić. Cieszę się, że postanowiłam jechać kolejką, bo parkowanie w śródmieściu to koszmar. Tak jest znacznie łatwiej. Pociąg zatrzymuje się, wsiadam i w tym momencie rozlega się komunikat:

– To jest linia czerwona. Następny przystanek Bryn Mawr. Nagrany głos jest spokojny i bez obcych naleciałości. Nie brzmi mechanicznie jak głos robota, po prostu jest nijaki. Zastanawiam się, jak wygląda spiker i ile czasu zajęło mu nagranie nazw tych wszystkich ulic. Myślę sobie, jak wielkim osiągnięciem technicznym musiało być stworzenie systemu uruchamiającego te zapowiedzi:

– Zbliżamy się do Bryn Mawr. Na Bryn Mawr drzwi otwierają się po prawej stronie.

Na następnym przystanku siada obok mnie jakiś mężczyzna w garniturze. Wsuwa skórzaną teczkę między stopy, a ja patrzę na

nią i myślę, że popełnia poważny błąd, bo podłoga jest obrzydliwie brudna. Śpiący naprzeciwko nas portier w służbowym uniformie – pewnie wraca z nocnej zmiany – budzi się nagle i sprawdza przystanek. Kiedy przekładam torebkę, by zrobić miejsce mężczyźnie w garniturze, zauważam, że jest przystojny. Bardzo przystojny. Wsuwam kosmyk włosów za ucho i przypominam sobie, że gdy mężczyźni i kobiety są kimś zainteresowani, dotykają swoich włosów. Boże, on teraz pomyśli, że mu się przyglądam. Wracam do lektury. Muszę skończyć książkę przed spotkaniem klubu w przyszłym tygodniu, a ponieważ niezbyt mi się podoba, przebrnięcie przez nią zajmuje mi mnóstwo czasu. Dwa przystanki dalej mężczyzna zdecydowanie składa „Wall Street Journal” i upija łyk kawy z zamykanego kubka. – Rany, ale dobre!

Mówi to właściwie do siebie, ale ze sposobu, w jaki się porusza, rozumiem, że było to także skierowane do mnie. A więc gawędziarz. Nie znoszę takich typów. Próbuje czytać, ale nie mogę się skoncentrować. Niech to diabli.

Zanim minęliśmy Addison, odwróciliśmy się do siebie i zaczęliśmy przyjazną pogawędkę. Okazuje się, że oglądali z żoną dom tuż obok nas, ale go nie kupili, bo w suterenie była pleśń. Mówię mu o domu Silvermanów, który jest oddalony od nas o jedną przecznicę, ale odpowiada, że już kupili coś w sąsiedztwie. Kolejka zatrzymuje się w połowie drogi między Addison a Belmont.

Kierownik pociągu prosi o wyrozumiałość, ale niestety pociąg przed nami ma jakieś problemy techniczne, więc minie kilka minut, zanim znów ruszymy. Mój towarzysz podróży przedstawia się. Craig Riggs. Wygląda, jakby zszedł z okładki „Zdrowego mężczyzny” lub „Świata biegacza”. Mam wrażenie, że lepiej czułby się na rowerze górskim lub wisząc na linie przy schodzeniu ze skały, niż w garniturze w drodze do śródmieścia. Jest nieprzeciętny.

Dobrze się prezentuje. Opowiada o swojej pracy w fundacji, którą założył dziesięć lat temu. Uderza mnie, z jaką pasją o tym mówi. Organizują akcje na rzecz środowiska. Czystsza woda, sprawniej działające źródła energii. Nie spotykam zbyt wielu ludzi w tym wieku, którym praca dawałaby tyle satysfakcji. Wszyscy nasi znajomi mówią, że woleliby zajmować się wszystkim, tylko nie tym, co robią. Dopiero w zeszłym tygodniu Mike, mąż Lynn, wyjawiał, że marzy o uśmierceniu swojego szefa. Nie przypominam sobie, kiedy Bob powiedział coś pozytywnego o swojej pracy.

Pytam Craiga o dzieci i dowiaduję się, że Lexi, jego córeczka, właśnie obchodziła piąte urodziny.

– Przyjęcie dla księżniczek – dodaje.

– To najmilszy wiek.

Przytakuje z uśmiechem, potem, niejako w rewanżu, zadaje mi różne pytania. Czy zawsze mieszkałam w Chicago (właściwie tak), ile czasu jesteśmy małżeństwem (prawie dwadzieścia lat), gdzie kończyłam naukę (w Boston College). Moja dłoń ponownie wędruje w stronę włosów. Cholera, zupełnie jakbym nie miała nad nią kontroli.

Mamy podobne poczucie humoru i wkrótce zaczynamy się śmiać z ludzi w pociągu.

– O Boże, przecież to Donald Rumsfeld – szepcze Craig. – Jak to możliwe, że wsiada do kolejki na Lawrence?

– A tam siedzi J-Lo – mówię.

Dlaczego musiałam wspomnieć J-Lo? Zabrzmiało to, jakbym chciała wydać się młodsza, niż jestem.

Craig odwołuje się wyłącznie do polityków. Kiedy wymienił Paula Wolfowitza, kiwnęłam głową i powiedziałam:

– Rzeczywiście, wygląda identycznie – chociaż nie mam pewności, kim jest Paul Wolfowitz. Bank Światowy?

Tylko co to właściwie takiego ten Bank Światowy? Zawsze chciałam to wiedzieć. Mam nadzieję, że mnie nie sprawdzał.

Niee... Nie wygląda na osobę, która próbuje złapać kogoś na kłamstwie.

Zanim dojechaliśmy do centrum, uśmieiałam się bardziej niż... nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się śmiałam.

Nagrany głos informuje:

– Zbliżamy się do Lake Street.

Nagle przygniata mnie ciężar i wszystkie sprawy, o których zapomniałam w czasie tej półgodzinnej podróży, z powrotem sączą mi się do mózgu.

Tuż przed naszym przystankiem Craig odwraca się do mnie, twarz ma poważną.

– Czy mogę o coś spytać?

– Jasne.

Jego szeroko rozstawione, ciemnobrazowe oczy napotykJają moje, jednak nie wprawia mnie tym w zażenowanie, więc nie odwracam wzroku.

– Czy zdarza ci się, że masz ochotę uciec od swojego życia? – pyta.

– Na Lake Street drzwi otwierają się po lewej stronie – oznajmia męski głos.

Pociąg lada moment stanie, a Craig szuka jakiejś reakcji na mojej twarzy.

– Powiedz, czy kiedykolwiek przychodzi ci do głowy, że życie nie jest takie, jak to planowałaś? – nie ustępuje. – Czy pragnęłaś czegoś, czegokolwiek, co by cię przebudziło?

Chrząkam i podnoszę się, wciągając paski torby na ramię. Z jednej strony jestem bliska łez, z drugiej mam ochotę rzucić się do ucieczki.

– Przepraszam. Myślałem, że może...

– Nie, nie, wszystko dobrze. – Skubię paski torby, rozglądam się wokół, czy niczego nie zostawiłam, z ramienia strzepuję nieistniejący włos.

– Po prostu odniosłem wrażenie... – Głos mu zamiera.

Znów odkasłuję i czekam, aż drzwi się otworzą. Nie wiem, czemu to mnie tak zbiło z tropu. W niezręcznej ciszy oboje patrzymy przed siebie.

Na peronie nie bardzo wiemy, jak się zachować, poza tym wydaje nam się, że tak wypada, więc wymieniamy się adresami mejlowymi. Craig staje z boku, żebym mogła pierwsza wejść na schody. Na rogu Lake i Michigan machamy do siebie na pożegnanie. I nagle zatrzymuję się przed zejściem na pasy.

– Craig! – wołam za nim, a on odwraca się w połowie przejścia przez jezdnię. – Tak – krzyczę ponad głowami ludzi, którzy przechodzą na drugą stronę. – Czuję się identycznie.

Co za ulga powiedzieć to na głos. Do oczu napływają mi łzy. Dlaczego, u licha, płaczę?

Szybko wraca w moją stronę. Widzę, że idzie zdecydowanie, z rozmysłem. Wstrzymuję oddech. Nie wiem, co zamierza powiedzieć.

I właśnie tu, w porze lunchu na Michigan Avenue, gdy ze wszystkich budynków wylewają się ludzie, zapalają papierosy, nieznajomy z pociągu bierze mnie w objęcia. Nie odzywamy się. Przytula mnie mocno, po czym wypuszcza z ramion. Kiwamy do siebie głowami. Odchodzi, zanim udaje mi się wymyślić, co mogłabym powiedzieć.

Nie mogę wyrzucić z pamięci jego pytania. Przez cały lunch prześladowuje mnie to dziwne pytanie, które wcale nie wydaje się takie dziwne. Sandy mamrocze „deklaracja” i „konieczne plakaty”, a ja rozważam, jak mógł zapytać mnie o coś tak osobistego. Marty zdecydowanym gestem chowa długopis, co ma oznaczać: „koniec z interesami, czas na zabawę”. Wpadam w panikę, że tak bardzo po mnie widać, jaka jestem nieszczęśliwa. Bo musi tak być, skoro

zupełnie nieznajomy facet pyta, czy chcę uciec od swojego życia. I ten uścisk... Mój Boże, ten uścisk.

W drodze powrotnej w pociągu rozglądam się za Craigiem, chociaż wiem, że go tam nie będzie. Dotykam kartki z jego mejlowym adresem, patrzę na jego imię i układam w myślach list.

Cudownie spędzić kilka godzin w stanie takiego zadurzenia.

No bo co w tym złego? Okazuje się, że jest na świecie istota, która czuje się tak samo jak ja i w dodatku nie obawia się o tym rozmawiać z nieznajomą. Muszę uczciwie przyznać, że jest bardzo seksowny. Gęste włosy sprawiają, że wygląda młodziej, lecz są przyprószone siwizną, co dodaje charakteru i powabu. Ma wspaniałe ręce. Patrzyłam na jego ręce, kiedy opowiadał, jak się z żoną przeprowadzili do Chicago z Seattle. Nie pamiętam, co powiedział, tylko to, że zaciekawilo mnie, czemu nie nosi obrączki. To takie w złym guście: żonaty mężczyzna bez obrączki. Jakby szukał przygód.

Chociaż to spojrzenie, te jego oczy, ten uścisk... To nie pasuje do faceta szukającego łatwej rozrywki. Więcej w tym było przyjacielskich uczuć niż zmysłowości. Szkoda, że miałam na sobie te spodnie. Ciągłe wylatuje mi z pamięci, że wyglądałam w nich, jakbym miała wielki brzuch, bo się strasznie marszczą, kiedy siadam. Byłam tak przejęta, że zapomniałam je przyglądzić. Świetnie. Teraz Craig z pewnością myśli, że jestem gruba.

Wchodzę do domu i odsłuchuję wiadomości. Dzwonili ze szkoły, że Cammy siedzi u pielęgniarki i ma nudności.

Ostatnio często choruje, więc odnotowuję w myślach, żeby zabrać ją do lekarza. Bob zostawił wiadomość, że nie może odebrać Jamiego z lekcji muzyki, bo ma telekonferencję z jakimś słynnym koszykarzem. Rzucam się więc do drzwi, żeby w rekordowym tempie przejechać Broadwayem do szkoły Cammy, a potem po chłopców, Jamiego podrzucam na muzykę, odwożę Cammy i Andrew do domu, naprędce pichcę coś na wieczór, odbieram Jamiego, zatrzymuję się w Staples, markecie z materiałami biurowymi, żeby kupić tablicę pod plakat, jadę do domu i... i...

Bob stoi za mną przy zlewie i wyciera brytfannę. Mieliśmy pieczeń na kolację. Zawsze żałuję podczas skrobania garnka, że wymyśliłam takie danie, i muszę powstrzymać się, żeby po prostu nie wyrzucić naczynia w diabły.

– Och, zapomniałam się pochwalić – mówię. – Zebrałam tysiąc pięćset dolarów na Bieg po Zdrowie, a jeszcze nie prosiłam nikogo z klubu książki. – Odwracam się, żeby na niego spojrzeć. Stoi

oparty o blat szafki i uśmiecha się do swoich myśli. Pytam więc: – O czym tak rozmyślasz?

Kiedy wraca do rzeczywistości, jego uśmiech przygasa, spojrzenie twardnieje. Korci mnie, żeby zapytać, czy śnił na jawie o innej kobiecie, jednak nie robię tego. Zresztą może nie być żadnej kobiety. Nie wiem nic, nic nie wiem.

– He?

– Chodź ze mną. – Biorę go za rękę.

– Dokąd?

– Po prostu zostaw to i chodź. – Prowadzę go do garażu, jedyne miejsce, gdzie jest cicho i trochę ustronnie.

– Co? – pyta, gdy zamykam drzwi. – Znowu odpada ta cholerna płyta z sufitu? Zbiera się woda?

Ściągam przez głowę sweter. Mam na sobie dobry stanik, push-up, który wcina się w ramiona.

– Co ty do diabła wyprawiasz? Jezu, Sam...

– Chodź tutaj – mówię.

– Podrapiesz maskę. Wracam do środka, tu jest lodowato.

Poważnie, Sam...

– Chodź... tylko na chwileczkę.

– Jestem skonany – odpowiada.

Drzwi zamykają się za nim, a ja podnoszę sweter z betonowej podłogi. Strzepuję trociny, które rozsypaliśmy, żeby wchłonęły wilgoć. Przez małe okienko widzę, jak Bob wlecze się do domu.

Mam ochotę pobiec, potrząsnąć nim, żeby go wydobyć z tego odrętwienia, i spytać:

– Co my robimy? – Mam ochotę wrzasnąć: – Gdzie my doszliśmy? Tak bardzo chciałabym się dowiedzieć, dlaczego znaleźliśmy się w takim punkcie. Zastanawiam się przez chwilę, czy nie wyrzucić tego swetra. Nigdy nie był zbyt twarzowy.

Oddycham głęboko i otwieram drzwi do ciepłej, skąpanej w złotym blasku kuchni. Wracam do swojego miłego życia.

Widzę, że Bob sortuje pocztę. Podnosi wzrok i mówi:

– Przepraszam. Po prostu jestem zmęczony.

– Ja również jestem zmęczona. Miałam kilka zebrań komitetów szkolnych. Poza tym musiałam pojechać do śródmieścia na lunch.

– „Czy miałaś kiedyś ochotę uciec od swojego życia?” – A także odebrać Cammy. Znowu wymiotowała. Później zawiozłam Jamiego na muzykę, weszłam do Staples, a właśnie, teczki i koszulki do segregatora położyłam na twoim biurku. Potem przywiozłam dzieci do domu i rzuciłam się do robienia pieczeni. Ja także jestem zmęczona, ale...

– W takim razie przełożymy to na następny wieczór – mówi Bob. – Oboje jesteście zmęczeni. Miło będzie położyć się wcześniej.

– Moment. Nie mówię, że jestem za bardzo zmęczona. Chcę powiedzieć, że przez cały dzień byłam na pełnych obrotach, a mimo to podejmuję wysiłek...

– A myślisz, że co ja robię przez cały dzień? – Jego usta wykrzywają się, gdy ze złością wyrzuca z siebie słowa. – Wydaje ci się, że ucinam sobie pogawędki przy baniaku z wodą? Przepraszam, ale nie potrafię ci współczuć, że przez cały dzień słuchasz radia i snujesz się po mieście.

– Posłuchaj, po pierwsze wcale nie twierdziłam, że nie pracujesz równie ciężko jak ja. No i w kwestii formalnej: nie snuję się przez cały dzień. Każdego dnia kursuję z naszymi dziećmi w tę i w tę i załatwiam chyba z milion spraw. Twoje ubrania jakoś same nie chcą pójść do pralni. I jak ci się zdaje, skąd to jedzenie bierze się w naszej lodówce?

– Daj spokój – rzuca przez ramię, kierując się do schodów.

– Poczekaj! Wróc tu na chwilę.

– Co? – Wsadza głowę do kuchni, żeby uniknąć długiej rozmowy.

– Chodzi o to...

– Tak, wiem.

– Naprawdę? Czy naprawdę wiesz, bo... czekaj, czy mógłbyś wejść całkiem, żebym nie musiała mówić do głowy pozbawionej ciała?

– No co?

Omal nie zadaje mu pytania Craiga. Omal.

– Nie ma sprawy – mówię. – Nieważne.

Mieszane uczucia ulgi i triumfu przesunęły się niczym gałki na niewidzialnym liczydło, dodając następny punkt na moją korzyść, bo upomniałam się o seks, ale kolejny już raz zostałam wzgardzona. Zaczynam się zastanawiać, czy namawiam na to Boba, wiedząc, że mi odmówi, aby nabijać sobie punkty, które w przyszłości podczas sprzeczek zostaną wykorzystane jako dowód na rozkład naszego związku. Nie zdawałam sobie sprawy, że mogę być zdolna do takiej podłej prowokacji. Bo przecież kiedy się nad tym zastanawiam, wcale nie mam ochoty na seks. To chyba nie normalne tak długo się bez niego obywać, ale ja już nie pragnę Boba.

Po kolacji w zasadzie powinnam być już wolna, ale w rzeczywistości muszę zajrzeć do poczty, popłacić rachunki, sprawdzić książeczkę czekową. Wszystko to trzeba zrobić, zanim wdrapię się na górę, gdzie leży pranie, więc muszę je poskładać,

żeby móc się wsunąć do łóżka, co jest najmilszym punktem całego dnia. A potem się budzę i nazajutrz robię to wszystko od nowa. Więc faktycznie kiedy nadchodzi wieczór, seks jest tym ostatnim, na co mam ochotę. Wiem, jak Bob się czuje. Tyle że ja przynajmniej się staram. Czy raczej – jeśli mam być szczerą – próbuję sprawiać wrażenie, że się staram. Komitet pomocy szkole zabrał mi dużo czasu, więc dopiero teraz siadam przy biurku, żeby odpowiedzieć na mejle. Biurko stoi w kuchni w kąciaku, gdzie przewalają się różne graty, sterty gazet, a nawet stary aparat ortodontyczny Cammy. Kładę mysz na stosie książek, które powinnam oddać do biblioteki. Przesuwając ją po twarzy Harry’ego Pottera, uruchamiam program. Odszukuję listę osób, do których powinnam napisać, loguję się i... jest! Craig! Serce mi zamiera. Dłonie mi wilgotnieją, w palcach czuję mrowienie. Przecież to głupie. I śmieszne. Jestem dorosłą, zamężną kobietą. Jednak gdy klikam na wiadomość i odczytuję, co napisał, omal nie mdleję. Sześć słów:
Nie mogę przestać o tobie myśleć.

Cammy

Albo już sama nic nie wiem, albo Samantha ma rozdwojenie jaźni. A może tylko depresję. W każdym razie to dziwne, jak bardzo się ostatnio zmieniła. Właściwie mnie to nie obchodzi, ale jednak. Najpierw przymila się i mówi, że chce jechać ze mną do centrum i kupować nowe ciuchy, a gdy w końcu się zgadzam, zapomina o wszystkim. Pewnie nie miałabym nic przeciwko temu, żeby wybrać się z nią na zakupy. Nie robiłyśmy tego już całe wieki, a w każdym razie bardzo dawno, bo ostatnio razem wyszłyśmy do Old Orchard. W pobliżu Hollister i Abercrombie nie było jeszcze Water Tower, gdzie teraz wszyscy przesiadują. Ja tam nie chodzę, bo to nie moja paczka. Zresztą mnie by wystarczył nawet Old Orchard, ale co z tego. Zapomniała.

Napisałam ten wiersz dzisiaj na historii, którą najmniej lubię ze wszystkich lekcji. Ricky twierdzi, że to zabawne, bo akurat historia mego życia bardzo mnie interesuje. Tak czy owak, to jest ten wiersz:

*Ty
Myślisz,
Że masz mnie na własność.
Myślisz,
Że mnie znasz.
Myślisz,
Że o mnie dbasz.
Myślisz,
Że tylko ty się liczysz.*

Wydaje mi się, że kończy się nasza przyjaźń z Rickim. Przerażenie bierze, jak się teraz od siebie różnimy, a nie mam ochoty udawać kogoś, kim nie jestem. Wczoraj byłam w parku naprzeciwko szkoły, gdzie wszyscy palą na przerwach, a on podchodzi do mnie i zaczyna wydziwiać, że siedzę na huśtawce na placu zabaw.

– Taka jesteś zbuntowana, palisz jointy, goździkowe papierosy i jeszcze się bujasz, jakbyś tylko czekała, żeby cię stąd wykopała jakaś matka. Może cię aresztują i wtedy zostaniesz królową wśród tych swoich niewydarzonych kolegów.

Nie lubi, kiedy palę trawę, ale mnie to zwisa. Ja nie lubię, kiedy się ślini na widok Missy, więc jesteśmy kwita.

Ricky nie chce mieć nic wspólnego z Pauliem i jego paczką. Paula wylali ze szkoły za to, że o jeden raz za dużo uruchomił alarm

przeciwpożarowy. Przynajmniej sam tak opowiada, bo wszyscy i tak wiedzą, że chodziło o trawę.

Tak czy inaczej, Ricky nie cierpi Paula. Ciągłe powtarza, że robię się dziwna, kiedy przebywam z jego paczką. Chciałby, żebyśmy nadal, jak w czwartej klasie, pozostali przyjaciółmi, którzy chcą się pobrać. Aż trudno uwierzyć, że wymyślaliśmy, co będziemy opowiadać naszym dzieciom:

– W czwartej klasie siedzieliśmy w jednej ławce. Wasz tata śmiał się ze wszystkiego, co mówiłam, a ja już wtedy wiedziałam, że zostaniemy małżeństwem.

Rozmyślałam o tym, ile dzieci będziemy mieli, i o tym, do kogo będą podobne, do mnie czy do niego. Wiedzieliśmy też, że nigdy nie zdecydujemy się na adopcję.

A teraz wychodzi na to, że rozchodzimy się w różne strony, zupełnie jakby barwnik z nowych ciuchów Ricky'ego przeniknął mu do krwi, przedostał się do mózgu i zmienił go w snoba. Co chwilę pyta, kiedy pojedę z mamą po nowe ubrania, a wczoraj w parku powiedział:

– Rety, ale masz brudne nogi. Dlaczego nie nosisz butów? Przecież to ohydne.

Zrobił się strasznie pedantyczny.

Wyglądało na to, że mu nie przeszkadza, gdy robiłam sobie tatuaż. Nie protestował nawet, kiedy narobiłam mu sińców, ściskając za rękę, gdy gruby koleś z wytatuowaną na jednej stronie twarzy łapą Mike'a Tysona zaczął działać swoją igłą. Przesiadaliśmy wtedy u Ricky'ego w domu. Jego rodzice pojechali do Cabo i z pełnym zaufaniem zostawili go z Adamem, jego starszym bratem, bo nie mieli pojęcia, że Adam to największy imprezowicz na ziemi. W każdym razie Adam, zanim wyszliśmy do salonu tatuażu, dał mi dwie szklaneczki Jima Beama. Na odwagę. Ricky mówił, że zabawnie wyglądam, kiedy jestem wstawiona. Kilka minut później siedziałam pochylona do przodu z zadartą bluzką i czułam, jak zimny, umoczony w alkoholu wacik dotyka mojej skóry tuż nad tyłkiem. Nie jestem pewna, czy to dlatego, że byłam pijana, czy może ze strachu, ale zwymiotowałam. Facet wydawał się znudzony, jakby zdarzało się to wszystkim jego klientom. Rzucił Ricky'emu rolkę papieru toaletowego i kazał się zawołać, gdy będziemy naprawdę gotowi.

Kiedy już wyrzygałam Jima Beama, poczułam się dobrze, więc wrócił. Musiał siedzieć z szeroko rozstawionymi nogami, bo był tak gruby, że między nogami trzymał brzuch. Bandaż był sztywny od krwi. Przez dwa dni nie mogłam wejść pod prysznic, a przez

tydzień musiałam spać na brzuchu. Rodzice w ogóle niczego nie podejrzewali, ponieważ tatuaż zrobiłam bardzo nisko, tuż nad pośladkiem.

To się działo, zanim Ricky stał się przykładnym uczniem, a był zwykłym Rickym.

– Nie wierzę, że to wytrzymałaś – powtarzał, patrząc na mnie, jakbym co najmniej wynalazła iPoda.

A któregoś dnia tak się nade mną pochylił... Myślałam, że wreszcie mnie pocałuje. Zamknęłam nawet oczy i uniosłam głowę, bo jest ode mnie ze trzydzieści centymetrów wyższy, ale on tylko chciał popatrzeć ponad moim ramieniem i sprawdzić, czy widać tatuaż, bo zaczęłam panikować, że nadchodzi lato i jeśli mama lub tata przytulą mnie, mogą spojrzeć w dół i go dostrzec. No więc przysunął się, a ja mimowolnie opuściłam powieki i już chciałam zarzucić mu ręce na szyję... Nigdy nie zapomnę, jak się roześmiał, a potem powiedział:

– Co za kretynka! Nie będę cię całował, wariatko.

Potrząsnęłam głową, by odzyskać równowagę, ale wiedziałam, że już jest za późno. Wszystko spieprzyłam.

Nie rozmawialiśmy potem chyba przez cały tydzień, a zwykle gadaliśmy z sobą setki razy dziennie, więc ten tydzień był długi jak rok. Aż wreszcie któregoś dnia podszedł do mnie na korytarzu i powiedział:

– Zastanawiałem się nad tym i mam pewien pomysł. Przyjdź po szóstej lekcji na schody z tyłu.

To było chyba najgorsze z tego wszystkiego. Uznałam, że myślał o tym, jak bardzo chcę go pocałować, więc zmienił zdanie. Will nigdy mnie nie całował. Pominęliśmy ten etap. No więc wycygałam od Natalie kawałek miętowej gumy, bo na lunch jadłam coś dziwnego i bałam się, że mam cuchnący oddech. Pod koniec szóstej lekcji schrupałam mnóstwo tic taców, które wzięłam od Sary.

– Chcesz odszukać swoją rodzoną matkę, tak? – spytał Ricky, gdy wyszłam na schody.

– Mhm...

Bardzo się starałam, by wyglądało, że właśnie tego się spodziewałam, ale i tak przyglądał mi się podejrzliwie, gdy mówił dalej:

– Mogę ci pomóc ją znaleźć. Na biologii mówiliśmy o DNA i kartach zdrowia pacjentów. I nagle pstryk! Rozumiesz, olśniło mnie. Zaskoczyłem, że możemy sfałszować list do lekarza, to znaczy tak, jakby był od twoich rodziców, którzy muszą przekazać

ci wszelkie informacje o twojej biologicznej matce. Możemy ją znaleźć, ale tylko jeśli tego naprawdę chcesz. Powiedziałam, że tak, ale zrobiłam to przede wszystkim dlatego, aby jak najszybciej wrócić do środka. Chociaż to oczywiście prawda. Zawsze mówiłam o odszukaniu mojej matki, choć nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby rzeczywiście się do tego zabrać. Jednakże tamtego wieczoru Ricky wyszukał w Google'u ośrodki adopcyjne i już było za późno, żeby się wycofać. Nie to, żebym tego chciała...

Samantha

Dzwoni do mnie Lynn i mówi:

– Mam kilku terapeutów w śródmieściu i jednego gdzieś tu w pobliżu. Chociaż o tym ostatnim właściwie nic nie wiem.

– Powiedziałaś Sally, dla kogo ci to potrzebne? – Wolę, by Sally Flanders nie wiedziała, że szukam porady małżeńskiej. – Gdyby się dowiedziała, o kogo chodzi...

– Na miłość boską! Oczywiście, że nic jej nie mówiłam – zapewnia Lynn. – Tak samo jak ty wolisz nie opowiadać wszystkim o swoich problemach z Bobem, ona nie chce, żeby ktoś się dowiedział o jej picciu. Masz ołówki?

– Tak, dyktuj. – Wszystkie numery telefonów, które zapisuję, mają śródmiejski kierunkowy trzysta dwanaście.

Ten z naszej okolicy zaczyna się na siedemset siedemdziesiąt trzy. Wsuwam kartkę do przedniej kieszeni za wąskich już džinsów.

– Wszyscy przez to przechodzą – mówi Lynn.

Poprawiam słuchawkę na ramieniu i strząsam energicznie prześcieradło, które jest jeszcze ciepłe po wyjęciu z suszarki. Składam je na pół i jeszcze raz na pół.

– Najbardziej dokucza mi samotność – odpowiadam. – Gdyby przynajmniej ze mną rozmawiał...

– Uważaj, jakie życzenia wypowiadasz – rzuca zgryźliwie. – Ja bym dała wszystko, żeby Mike zamknął się od czasu do czasu. Ten facet nie przestaje gadać.

– I o czym tak rozmawiacie?

– Nie wiem. O dzieciach. Ludziach w pracy.

– A ja się czuję, jakbyśmy znajdowali się w próżni. Między nami wciąż panuje cisza.

Zbieram skarpetki na stertę i wszystkie ciemne podnoszę do światła, bo granatowe wyglądają tak samo jak czarne. Ostatnio zamiast zwijać, zaczęłam je składać na pół, bo oglądałam program na temat usprawnienia gospodarstwa i okazało się, że skarpetki zwinięte w kłębek zajmują dwa razy więcej miejsca.

– W takim razie dobrze, żebyś się kogoś poradziła.

Czuję się lepiej, wiedząc, że pierwszy krok mam za sobą, lecz prawdę mówiąc, nie wiem, czy nie robię za wiele szumu. Może Lynn ma rację. Może nie zaszkodzi poradzić się kogoś bezstronnego.

Fakt, że mam obsesję na punkcie tego jednego mejla, oznacza tyle: pojawił się problem. A to naprawdę jest obsesja, kurczę! Tych sześć słów:

Nie mogę przestać o tobie myśleć.

Zaledwie sześć, a ja dosłownie fruwać. Nie, bez wątpienia powinniśmy z Bobem zobaczyć się z terapeutą.

A tymczasem... Niegrzecznie byłoby pominąć wiadomość od Craiga milczeniem. Powinno to być coś uprzejmego, aby pokazać, że go nie zignorowałam. Mogłoby się zdarzyć, że gdzieś na siebie wpadniemy, a wtedy byłoby bardzo niezręcznie, gdybym się nie odezwała po takim śmiałym mejlu. Co tu napisać, co napisać... „Wspaniale było cię poznać”. Nie, zbyt niedojrzałe. „Miło mi się z tobą rozmawiało”. „Gadało”? „Gawędziło”? Nie, to niepoważne. Może nie powinnam pisać. Tyle że po głowie wciąż krąży mi jego pytanie. Nie mogę o nim zapomnieć.

Idę do pokoju, żeby zmienić spodnie, i gdy dostrzegam na skórze odciśnięty ślad guzika i paska, uznaję, że muszę pozbyć się tych dzinsów. Dobrze mi to zrobi. Jak oczyszczenie. Nowa karta.

Spodnie od dresu wydają się lekkie jak chmurka. Składam dzinsy i kładę je na dole szafy, żeby nie zapomnieć odnieść ich do garażu, gdzie Bob zaczął przygotowywać paczkę dla organizacji charytatywnych. W ostatniej chwili przypominam sobie skrawek papieru, który wsunęłam do kieszeni. Chowam go w szufladzie z bielizną, żebym pamiętała zadzwonić rano. Mogłabym zadzwonić dzisiaj, ale...

Jak się tak zastanowić, pierwszy krok w celu ratowania małżeństwa już poczyniłam, więc chyba nic złego się nie stanie, jeśli postaram się zrobić dobre wrażenie? Facet nie wygląda na prześladowcę, który nie da mi spokoju. „Nie mogę przestać o tobie myśleć”, napisał. „Czy zdarza ci się, że masz ochotę uciec od swojego życia? Nie mogę przestać o tobie myśleć”...

Więc piszę:

Ja także.

Palcem przesuwam mysz w stronę ikony „wyślij”. Niech tam!

Klikam i fru! Poszło. Zrobione. Już nie da się tego cofnąć.

Dlaczego miałabym nie pozwolić sobie na niewinny flirt? Przecież nic więcej w tym nie ma.

Dzień minął i muszę mobilizować całą siłę woli, żeby trzymać się z dala od komputera. Jestem żoną Boba. Mój mąż, moja rodzina są na pierwszym miejscu. Kiedy Bob wróci do domu, porozmawiamy. Naprawdę porozmawiamy.

Boeuf Strogonow to danie, przy którym zawsze robi się sporo bałaganu. Trzeba wyszorować ślady, które zostawia

na stole pojemnik ze śmietaną. Brudne garnki i patelnie tłoczą się w zlewie niczym na reklamie zmywarek.

Oceniam powstałe szkody. Bob się spóźnia. Moje wino nadal jest chłodne, więc siadam, popijam je i myślę o Craigu.

Zastanawiam się, co spowodowało, że znalazł się w tym samym punkcie co ja. Czyżby kryzys wieku średniego? Ciekawe, czy wszyscy czują się podobnie.

Lynn wciąż od czasu do czasu siada Mike'owi na kolanach. Poruszyłam kiedyś ten temat, ale zbyła mnie jakąś sarkastyczną uwagą. Mówi, że czuje się tak jak ja, ale to niemożliwe. Wiem, że jest szczęśliwa. Szczęśliwi ludzie nie mają ochoty uciekać od swojego życia.

Tylne drzwi otwierają się i wchodzi Bob. Pachnie świeżym powietrzem, ale widać po nim zmęczenie. Już od dwóch lat nie dostał podwyżki. Nie ma ochoty o tym mówić, ale wiem, że go to gryzie, a mnie, nie ukrywam, niepokoi. Kilka dni temu miał ocenę wyników pracy, ale akurat tamtego wieczoru przyszedł późno, więc spotkaliśmy się w centrum rekreacji na meczu koszykówki, w którym grali chłopcy. Wśród gwizdków sędziego i oklasków nie zdołaliśmy zamienić z sobą nawet jednego zdania.

Innymi słowy, jak dotąd nie miałam okazji dowiedzieć się o ocenie. Nakładam mu jedzenie i pytam:

– No i co? Jak poszła ocena?

– Nawet nie pytaj. – Podnosi dłonie, żeby powstrzymać dalsze pytania.

Czuje węzeł w żołądku. Bob rozluźnił krawat i podwinał rękawy. Jest posępny, znękaný. Słabo mi się robi, gdy na to patrzę.

– Rozumiem, że nie poszło dobrze. – Krzywię się, bo przewiduję, że zaraz się na mnie rzuci. Ale przecież jestem jego żoną. Czyż nie powinniśmy rozmawiać o takich sprawach?

– Chyba to właśnie powiedziałem, nie? Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić. Oczekują rzeczy niemożliwych. Wszyscy tego chcą. No i co się tak gapisz?

– Nie gapię się. – Robię zatroskaną minę. – Słucham.

Nabija na widelec kawałek wołowiny. Je, bo stoi przed nim talerz, a nie dlatego, że jest głodny. Łokcie trzyma na stole. Głowa mu zwisa nad samym talerzem. Do ust wkłada duże porcje.

– Chrzanić to – mówi cicho, wpatrując się w talerz. – Chrzanić to wszystko.

– Co powiedzieli? – dopytuje.

– Sam, powiedziałem już, że nie chcę o tym rozmawiać. Zostaw ten temat.

– Aha... – Piję łyk wina. Nie wiem, czemu wcześniej nie zauważyłam, że jest za gorzkie.

– Podaj mi sól, poproszę.

A więc temat zamknięty. W tym roku znowu nie będzie podwyżki. Podaję mu sól nad zmiętymi serwetkami i niedopitymi szklankami mleka. Bob potrząsa solniczką nad całym talerzem i wkłada do ust następny kęs. Wzrok ma utkwiony w jakiś punkt na ścianie.

– Zostało trochę ryżu?

Podnoszę się i wylewam wino do zlewu. Resztką ryżu wygląda jak breja, jednak Bobowi to nie przeszkadza. Przerywa jedzenie, żebym mogła mu nałożyć.

Bez ustanku powtarzam sobie, że nie mogę ciągle czuć się zraniona. W zachowaniu Boba nie ma nic osobistego.

Co z tego, skoro wciąż tak to odbieram i tak się właśnie czuję. I to się będzie ciągnęło, aż znowu zacznę płakać.

A już tak jestem zmęczona płaczem. I tym wszystkim...

Wychodzę z pokoju. Kilka minut później słyszę, jak Bob odsuwa krzesło od stołu. Otwierają się drzwi lodówki, o blat szafki stuka kapsel.

– Czy przyszedł już wykaz ocen Cammy? – Bob wchodzi do pokoju z piwem w rękę. – Zauważyłem, że zgłosiła się do akcji Stopa w Drzwiach. Zbierają buty dla bezdomnych, którzy próbują znaleźć pracę. To będzie niezłe wyglądało na świadectwie.

– Nie mogę się doczekać, kiedy jej to powiesz.

– Słuchaj, powinniśmy ją trochę przycisnąć – tłumaczy Bob. – W college'ach stawiają na wszechstronność, a na razie na koncie ma warunkowe zatrzymanie w szkole i takie sobie stopnie.

– Dopisz to do listy spraw, o których chcesz z nią mówić.

– Rozmawiałaś z jej nauczycielką o wycofaniu zarzutów, żeby nie wpisywali jej tego do papierów?

– A jak myślisz, co ona mi powie? „Ależ oczywiście, nie ma sprawy. Pani córka może mnie lekceważyć, a ja nie będę wyciągać konsekwencji”.

– Nie zaszkodzi spróbować – upiera się.

– Więc czemu ty nie spróbujesz porozmawiać z Cammy? Mam dość roli złego gliny.

– Jest nastolatką. Żadna nastolatka nie lubi rozmawiać z rodzicami. O, przypomniałem sobie. Mogłabyś oddać mój samochód do przeglądu?

– Usiądź – mówię. – Chodź, uwalimy się na kanapie.

- Nie zapomnij powiedzieć, żeby tym razem zmienili olej – ciągnie, układając listy w porządku stosik.
- Moglibyśmy posłuchać Coltrane’a – nie rezygnuję.
- Zapomniałem ci powiedzieć. Sonny przedstawi mój najlepszy projekt w Tokio.
- Wspaniale – odpowiadam. – Kanapa. Coltrane.
- Tato! Gdzie jest przepychacz?
- O Jezu... Zaraz wracam. – Wzdycha i ziewając, przecina salon, kierując się w stronę schodów. Demonstracyjnie wolno wspina się na piętro.

Ugniatam poduszkę pod głową i wyciągam nogi, uważając, by nie dotykać siedzeń podszewkami butów. Mogłabym je zdjąć, ale są nowe i Bob na pewno zwróci uwagę na wysokie obcasy. Jednak zanim rozpocznę swój wykład, poinformuję go, że to buty firmy Aerosole. To nasz stały temat. Bob mówi, że są do niczego, ale potem sprawdza wkładkę, jak to było choćby z mokasynami, i przechyla głowę na bok, jakby wewnątrz buta wywarło na nim wrażenie. Kiedy się nie odzywa, wiem, że odniosłam zwycięstwo. Układam się tak, żeby nie pogniotła mi się spódniczka, i czekam. Patrzę na sufit i odnotowuję w pamięci, że muszę zadzwonić do malarza. Trzeba zrobić porządek z popękany, obłazącym z farby narożnikiem, gdzie nas zalała zeszłej wiosny. Wciąż czekam. Właściwie należałoby zrobić listę: muszę zanieść portret mamy do ramiarza, powinnam odświeżyć pasemka i ciągle zapominam wezwać hydraulika do osadnika kanalizacyjnego. Najwyższa pora, żeby go oczyścić. Teraz już czekanie traktuję jak test: ile czasu zajmie Bobowi przypomnienie sobie, że nie skończyliśmy? To właściwie nie tyle test, co akt oskarżenia: nie ruszę się z kanapy, aż się tu nie pojawi i nie uświadomi sobie swojego błędu. Wiem, że zapomnę o wszystkich sprawach do załatwienia, jeśli ich nie zapiszę, ale nie chcę, żeby całe to moje czekanie poszło na marne. Nie mogę też ryzykować i podnieść się po coś do czytania, bo znając swoje szczęście, akurat w tym momencie Bob wszedłby do salonu, a przecież chcę, by widział, jak tu na niego czekam. Nie pozwolę mu tak łatwo się wymigać. Nie po tym, jak poświęciłam już pół godziny. Tak więc tkwię tu dalej i zaczynam rozmyślać o Craigu. Ciekawi mnie, czym się zajmuje, jak wygląda jego małżeństwo, czy myśli o mnie w tej chwili...

A oto i Bob idzie po schodach. W ostatniej chwili postanawiam usiąść. Chcę, by poczuł się źle, widząc, jak mi niewygodnie.

– Co ty tak próżnujesz? – Nawet się nie zatrzymał w drodze do kuchni.

– Pamiętasz o Coltranie? – Nie ruszam się z miejsca, licząc na to, że doda dwa do dwóch. Może stoi teraz w kuchni i wali się dłonią w czoło.

Chyba jednak nie, bo słyszę:

– Kochanie, gdzie jest ta linijka z górnej szuflady? Wiesz, tej z narzędziami. Już nic, znalazłem.

Mija mnie i znów wchodzi na schody. Włączam komputer. Chrzanić to.

Cześć. Wiem, że wyskakuję z tym tak ni stąd, ni zowąd, ale może miałabyś ochotę wybrać się ze mną na kawę?

W piątek będę w twojej okolicy. Może więc w Starbucksie?

Odpisuję natychmiast:

Jasne, piątek mi odpowiada, Starbucks też. Którą godzinę proponujesz?

Nadchodzi piątek. Przebieram się cztery razy, w końcu decyduję się na dżinsową spódnicę. Wybieram ją, bo chociaż to spódnica, rodzaj materiału świadczy o tym, że nie wystroiłam się specjalnie dla Craiga. Wkładam stanik push-up, ale zaraz go zdejmuję, bo mam w nim za duży biust i w ciągu dnia jakoś dziwnie się w nim czuję.

W dodatku jest czarny, a wybrałam żółtą bluzkę, więc na pewno by prześwitywał. Jednym słowem, będę musiała włożyć stary wysłużony stanik. Żółta bluzka ma kołnierzyk z przypinanymi na guziczki rogami, marszczenie w talii i krótkie kimonowe rękawki. Wygląda bardzo kobieco. Najwięcej czasu zajmuje wybranie butów. Na płaskim obcasie czuję się zbyt przysadzista, a na wysokim jestem za bardzo odstawiona. W zasadzie nie mam żadnych butów, które pasowałyby do dżinsowej spódnicy, więc wybór jest dość ograniczony. Chyba będę musiała poprzestać na balerinkach. Szare gładkie pantofle nie są zbyt efektowne, ale pasują do spódnicy, a ja przecież chciałam sprawiać wrażenie, że z trudem znalazłam czas na to spotkanie przy kawie podczas przepełnionego obowiązkami dnia. Rozpyłam lekkie perfumy, które zwykle ulatniają się po dwudziestu minutach, ale zależy mi tylko na cieniu zapachu. Kto zlewa się perfumami, jeśli ma w planach załatwianie spraw? Ja. Używam ich codziennie. Mała rzecz, a sprawia, że czuję się zadbaną, choć zwykle wcale nie jestem.

Docieram do Starbucksa za wcześnie, więc kilka razy objeżdżam cały kwartał, bo nie chcę sprawiać wrażenia nazbyt skwapliwej. Chociaż... w butach na płaskim obcasie trudno jest zrobić efektowne entrées, czyli może jednak powinnam przyjść pierwsza. W dodatku zwykle przesiaduje tam sporo ludzi, więc dobrze byłoby wcześniej zająć jakiś stolik. Nie mam ochoty siedzieć na jednym z tych wysokich stołków twarzą do ulicy. Nie chodzi o to, że robimy coś niewłaściwego, ale znając moje szczęście, zaraz będzie tędy przechodzić Sally Flanders i zobaczy, jak w samo południe – zamiast jak zwykle biegać z siatkami zakupów i rzeczami do pralni – siedzę w towarzystwie przystojnego mężczyzny.

Wchodzę i łapię ostatni wolny stolik dla dwóch osób. Z kawą poczekam na Craiga. Nie mogę ryzykować utraty miejsca, gdy pójde składać zamówienie. W tle słychać muzykę z płyty w hołdzie Johnny'emu Cashowi. Cały stos tych płyt leży na stojaku. Zapomniałam, jak on wygląda, jaki jest fantastyczny. Z tymi gęstymi włosami wydaje się młodszy i bardziej męski niż większość mężów moich znajomych. A jak swobodnie czuje się w swoim ubraniu. Może to dziwna uwaga, ale właściwie go charakteryzuje. Jest tak przystojny, że zapominam, jaka jestem głodna. Wylatują mi z głowy setki spraw, które miałam załatwić. Czuję się zażenowana, bo na chwilę zapominam też, że w lokalu jest jeszcze ktoś poza nami. Craig wkracza do środka energicznie, jakby był u siebie. To dopiero jest efektowne wejście.

– Cześć. Przepraszam za spóźnienie. Zawsze zapominam, jak trudno tu zaparkować.

– Lepiej stań od razu w kolejce – mówię, z trudem wydobywając głos. – Właśnie zmierza w tę stronę potężna grupa dzieciaków.

– Co wziąć dla ciebie?

– Kawę. Czarną. Może być duża. Dzięki.

Grzebię w torbie w poszukiwaniu portmonetki. Tak się zwykle robi. Proponujesz, że zapłacisz, chociaż wiesz, że robi to ta druga osoba. Craig nie zawraca sobie głowy formalnościami. Nie mówi „odłóż portfel”, tylko idzie do kontuaru i składa zamówienie.

Po kilku minutach wraca do stolika, dmuchając na kawę.

Gdy siedzimy już naprzeciwko siebie, nie mam pojęcia, co powiedzieć. Czuję się jak na randce.

– Hm, trochę niezręcznie to mówić... – zaczynam, a on wydaje się zaniepokojony. Choć może to jego zwykła mina. Przecież go w ogóle nie znam. – Bardzo miło rozmawiało się z tobą, ale teraz

czuję się dziwnie. Mam na myśli nasze spotkanie na kawie. Jestem mężatką. Ty jesteś żonaty.

– Zameżne kobiety i żonaci mężczyźni także zawierają nowe przyjaźnie.

– To prawda. Tylko... Och, sama nie wiem.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Naprawdę. – Odchyła się na krześle i kładzie kostkę jednej nogi na kolanie drugiej. – Ale na Boga, przecież to tylko kawa. Odwiedziłem dziś pewną niedochodową organizację i wiesz co? Zebrali wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wysłać całą grupę jedenastoklasistów na wymianę do Republiki Południowej Afryki. Mają program korespondencyjnych przyjaciół i szukają funduszy, żeby sprowadzić tu dzieciaki, z którymi korespondowali. Zamieniają się miejscami na dwa tygodnie. Niezłe, co?

Kiedy tak to wygląda, wydaje się nawet całkiem łatwe.

Zwykle. Przyjemne. Interesujące. I nie ma w tym absolutnie nic dziwnego. Craig opowiada o podróży do Johannesburga, gdzie pojechał na oględziny. I jak w rezultacie zawędrował do Zambii, gdzie trafił na szkołę, która ma jeszcze większe potrzeby.

– Ależ ja się zachowuję – mówi. – W ogóle nie spytałem, co u ciebie. Nawet nie wiem, co robisz.

– Nic. To znaczy jestem mamą, która siedzi w domu.

– To nie jest nic! To znacznie trudniejsza praca niż ta, którą wykonuje większość ludzi.

– Jasne, wszyscy tak mówią, tyle że ja nigdzie nie latam, żeby ocalić świat lub kształcić afrykańskie dzieci. Jestem do obrzydzenia nudna.

– Nie jesteś nudna – zaprzecza.

– Skąd możesz wiedzieć? Przecież mnie nie znasz. – I nagle coś sobie uświadamiam. – Jeżeli taką przyjemność sprawia ci to, co robisz, jak to się dzieje, że myślisz o zostawieniu swojego życia? Rozkrzyżowuje nogi i upija trochę kawy.

– Są różne aspekty życia. – Wzrusza ramionami. – Przecież o tym wiesz.

– Skąd ta pewność? Jestem dla ciebie obcą osobą, a ty zachowujesz się tak, jakbyś mnie dobrze znał.

Nasze spojrzenia spotykają się. Mamy takie same oczy: głęboko osadzone, szeroko rozstawione.

– Nie znam cię, ale dobrze się z tobą rozmawia. – Znowu wzrusza ramionami.

Nie jestem już skrępowana. Rozkoszuję się dźwiękiem głosu Craiga. Kiedy mówi o swoim marzeniu, żeby pojechać do Chile i

łowić ryby, obrysowuję spojrzeniem wyraziste rysy jego twarzy. Wyprawę musiał odłożyć na później, bo postanowili przerobić kuchnię, żeby ją przyłączyć do dużego pokoju, dzięki czemu zyskali większą przestrzeń. Ma na sobie sportową bluzę z długimi rękawami. Wygląda trochę jak sweter, chociaż to nie jest sweter...

– Przepraszam, rozgadałem się – mówi nagle.

Nie mam pojęcia, na czym skończył. Jezu, Sam, powiedz coś. Cokolwiek.

– Cóż... My już od dawna nigdzie nie wyjeżdżaliśmy. – Czy to wszystko, na co mnie stać? Żałosne. – To znaczy bez dzieci. Kiedyś mówiliśmy o wycieczce do Egiptu, o przejażdżce statkiem po Nilu, jednak jakoś o tym zapomnieliśmy, a teraz, przy dzieciach i całym tym...

– Świetnie to rozumiem – wtrąca. – Zabawne, jak to się układa, nie?

Uśmiechamy się.

– Chociaż mnie nie chodzi wcale o podróże – dodaje. – Raczej o bliskość. O zażyłość, jaka kiedyś między nami była.

– No właśnie. Zupełnie jak u nas.

– Po prostu... To brzmi okropnie, ale czasem przyglądam się swojemu życiu i nie mogę uwierzyć, że to już wszystko, czego mogę oczekiwać. Zawsze sądziłam, że spotka mnie coś wspaniałego. Wiem, że to głupie.

– Wcale nie.

– Ty też liczyłeś na coś, co się nie wydarzyło? Bo ja właściwie nie potrafię tego określić. Po prostu chciałam czegoś wspaniałego. To znaczy...

– Doskonale rozumiem, co chcesz powiedzieć – przerywa mi. – Zamierzałem zająć się polityką. Naprawdę wierzyłem, że zdołam naprawić świat i takie tam. Coś zmienić. Znasz to...

Mówi o sprawach, którymi mógłby się zająć: reforma opieki społecznej, edukacja. Teraz odnosi sukcesy w gromadzeniu funduszy, a ludzie, którym pomaga, stali się jego przyjaciółmi.

– O rany, zobacz która godzina – wpadam mu w słowo.

– Nie mogłaś wymyślić czegoś lepszego? – komentuje ze śmiechem. – Przepraszam, za dużo mówię. Evie ciągle mi to powtarza.

– Mówię poważnie. Muszę odebrać dzieci. Cieszę się, że mogliśmy porozmawiać.

Podnosi się, żeby podać mi płaszcz. Widzę, że patrzy na mnie tak samo jak kilka dni temu na Michigan Avenue.

Badawczo. Z powagą. A także trochę zmysłowo.

– No to... do zobaczenia – mówię.

– Pa, Samantha.

Kilka godzin później, gdy dzieci już śpią, uznaję, że nastał czas, by wprowadzić w życie sposób z tej reklamy, w której kobieta smaruje ciało balsamem, lecz nie kończy, bo mąż, który na to patrzy, wciąga ją do łóżka. Wybieram idealny moment. W chwili gdy Bob kładzie się i zakłada okulary do czytania, przysiadam nago w nogach łóżka.

Kładzenie się nago samo w sobie nie jest zwyczajne, więc mam nadzieję, że już to powinno Boba podniecić, ale siedzę odwrócona plecami, żeby nie przerywać przedstawienia. Kiedy już mam nasmarowane ramiona, słyszę:

– Od kiedy robisz to poza łazienką? Odwracam się nieco i powoli nakładam na dłonie więcej balsamu. – Wysmarujesz całą koldrę – dodaje Bob.

– Chcesz mi pomóc?

– Nie potrafisz się posmarować sama?

– Możemy zrobić to razem – mówię.

– Odpada. Wiesz, jak nie znoszę kremu na dłoniach.

Mam ochotę wykrzyczeć:

– A wiesz, czego ja nie znoszę, Bob? Nie cierpię, gdy zachowujesz się tak, jakbyś żądał, żebym się natychmiast okryła. Jakby moje ciało napawało cię takim obrzydzeniem, że nawet nie możesz go dotknąć balsamem. Czy też bez balsamu.

To właśnie mam ochotę wyrzeshczyć:

– Nie znosisz kremu na dłoniach? A ja nie znoszę takiego przygnębiającego życia! Co ty na to, Bob? Mogłabym wrzucić rzeczy do torby i wyjść stąd, a wtedy nigdy więcej nie musiałbyś przejmować się balsamem!

Nie odzywam się jednak, tylko wkładam szlafrok i schodzę na dół do komputera.

Mejl, który do mnie przyszedł, został wysłany zaledwie kilka minut temu:

Cieszę się, że mogliśmy się dziś zobaczyć.

Tym razem nie odpowiadam od razu.

Jesteśmy znajomymi. Znajomymi, którzy spotykają się na kawie. Prawdopodobnie już się z nim nie zobaczę. Prawdę mówiąc, było dość nudno. Właściwie cały czas mówił o sobie. Wciąż też nie rozumiem, dlaczego zapragnął uciec od swojego życia.

Odpisuję:

Dzięki za kawę.

W ciągu dwóch tygodni spotykamy się na kawie cztery razy. Domyślam się, że to dużo, ale w zasadzie wcale tego tak nie odbieram. Między spotkaniami piszemy do siebie mejle. Nic szczególnego. Jak leci, czym się zajmowaliśmy. Jest mi coraz bliższy.

Podczas piątego spotkania przerzucam się na indyjską herbatę z mlekiem i przyprawami.

– Pozwól, że cię o coś spytam. Czy opowiadasz o mnie swojej żonie?

Podaje mi herbatę i powoli siada na krześle. Zajmujemy ten sam stolik co zawsze.

– Jakoś się nie złożyło. To znaczy, no wiesz... – Zmiata ze stolika okruszki ciastka. – Dlaczego pytasz? A ty mówisz swojemu mężowi?

– Nigdy się nie złożyło.

– Sama widzisz.

Jesteśmy dobrymi znajomymi. Znajomymi z poczuciem winy, choć nie ma powodu, żebyśmy czuli się winni. Spotykamy się w Starbucksie. Piszemy mejle. Rozmawiamy o dzieciach. Książkach. Filmach. Co w tym złego? Czemu więc żadne z nas nie wspomniało o tym współmałżonkowi?

– Słuchaj, a tak przy okazji... Może chcielibyście przygarnąć kotka? – pytam.

– Kotka? – Uśmiecha się. Mam wrażenie, że cieszy go zmiana tematu.

– Mruczająca, mięciutka, pomarańczowo-biała futrzana kuleczka...

– Nie przesadzasz trochę? – pyta ze śmiechem.

– Jest naprawdę śliczna. Lexi oszaleje na jej punkcie.

Wymówiłam zaklęte słowo.

– To nie fair. – Znów się uśmiecha. – Małe dziewczynki i puszyste zwierzątka. Niezły ruch. Czemu jej nie zatrzymacie, skoro jest taka słodka?

– Bob ma alergię. Cammy przyniosła ją któregoś wieczoru. Jest tak maleńka, że karmimy ją kroplomierzem. Dzieciaki są nieszczęśliwe, że nie możemy jej zatrzymać, ale...

– Ale Bob ma alergię.

– Pytałam już prawie wszystkich.

– A może to dyplomatyczna alergia – sugeruje.

Widzę jednak, że zaczyna się zastanawiać.

– Jeśli to się nie uda, zabiorę ją z powrotem – obiecuję. – Myślę, że będę mogła znaleźć jakieś inne miejsce.

– Czyżbym się przesłyszał, że pytałaś już wszystkich znajomych? – podkpiwa.

– Bo tak było. Ale nie chcę cię stawiać pod ścianą.

– Wiesz co? Możesz uznać, że to twój szczęśliwy dzień. Wezmę ją.

Nie zastanawiając się, zrywam się z krzesła, żeby objąć Craiga.

Wydaje się zaskoczony. Uśmiecha się, lecz bez wątplenia ma zdumioną minę.

– Dzięki, dzięki! – mówię.

Zastanawiam się, co powie żonie. A co ja powiem Bobowi i Cammy? O kurczę. Jak mam się wytłumaczyć Bobowi? Och, po prostu powiem, że znalazłam rodzinę, która chce mieć kota.

Zwyczajnie. Tyle że on spyta, kto to taki i skąd ich znam, a wtedy wrócę do punktu wyjścia.

Cholera! Czemu tego nie przemyślałam? Dobra, uspokój się. No więc powiem, że spotkałam kogoś w Starbucksie – co przecież w zasadzie jest prawdą – zaczęliśmy rozmawiać i jakoś pojawił się temat kotów i proszę! Znalazłam dom dla kotki. Bob z pewnością nie zapyta, o czym rozmawialiśmy. No i już. Załatwione.

Zwykle wjeżdżałam vanem na podjazd pod koniec dnia. Dzieci wysiadały, wpadały tylnym wejściem i rozbiegały się po domu. Czasem biegly do lodówki po jakąś przekąskę. Kiedy ja rozpakowywałam zakupy lub zbierałam kurtki rzucone w kierunku wieszaka przy drzwiach, gnały do komputerów. Dziś po południu zachowuję się jak piłkarz: omijam ich szerokim łukiem. Kiedy zrzucają plecaki i ściągają buty, pędzę do komputera w kuchni, by zajrzeć do swojej poczty. Wygrałam wyścig, lecz ledwie zdążyłam otworzyć mejla od Craiga, słyszę:

– Mamooo, muszę skorzystać z komputera. – I po chwili: –

Mamooo (zawsze jest to przeciągły skowyt), długo będziesz go potrzebować? Muszę wysłać wypracowanie. – No i moje ulubione:

– Mamooo? Kiedy będzie obiad? Umieram z głodu.

– Będę korzystać z komputera jeszcze przez kilka minut – odpowiadam. – Jest przecież komputer taty. Idź na górę i poczekaj. Dam ci znać, kiedy skończę. Albo jeszcze lepiej, odrób pozostałe lekcje.

– Co na obiad? – pyta Jamie.

– Och, już dobrze. – Wstaję i sięgam za kilka niezbyt szczelnie zamkniętych, niekoniecznie jadalnych mrożonych warzyw po pudełko paluszków drobiowych. Pięc minut w mikrofalówce i możemy siadać. – Andrew, zawołaj siostrę.

– Jestem, jestem. – Cammy całym ciężarem opada na krzesło i mocno ściąga troczki przy kapturze. Bluza oczywiście jest czarna. Spódnica – tak workowata, że prawie zsuwa się jej z bioder – także jest czarna, a przy tym ma mnóstwo zamków i kieszeni, jak te spodnie z obniżonym krokiem. Obręb – jeśli można tak to nazwać – jest postrzępiony od codziennego wleczenia po ziemi. Cammy nosi ją tak często, że właściwie nie ma szansy na włożenie jej do prania. Tak naprawdę powinna to zrobić sama i chyba będzie musiała, gdy ze zgromadzonego tam brudu wylęgna się robaki.

– Jedz groszek – zwracam się do Andrew. – Jamie, przestań spychać groszek pod talerz. Wiem, że próbujesz go ukryć. Nie jestem ślepa.

– Wiedziałaś, że Helen Keller nie była zupełnie ślepa? – pyta Jamie.

„Sprawiłaś, że się przebudziłem” – powiedział Craig.

– Mamo, wiedziałaś?

– Co wiedziałam?

– Że Helen Keller nie była zupełnie ślepa. Mogła czytać, jeżeli trzymała książkę przed samymi oczami – mówi Jamie. – Mamo, Andrew kopnął mnie pod stołem. O, znowu. Andrew, przestań!

– Czy tata przyniósł do domu te nowe adidas? Mamo? – To Andy.

– He? A, nie... Chyba nie. Sprawdź po obiedzie w szafie w holu.

– Mogę wstać od stołu? – pyta Cammy, ale oczywiście mówi to z kpina, bo już się podniosła i wyrzuca resztki z talerza.

– Nic nie zjadłaś – mówię marudnie.

– Nie kupiłaś dla mnie wegetariańskich kotletów. Dla chłopców wzięłaś te wsiowe paluszki, a dla mnie to już nie mogłaś. A jedno i drugie można kupić w mrożonkach. Idę stąd.

– Wiedziałaś, że pingwiny wyrzucają jedzenie, żeby nakarmić tym dzieci? – pyta Jamie.

Przyglądam się, jak Cammy, wychodząc z kuchni, zatyka uszy białymi słuchawkami iPoda, i nagle nabieram ochoty, żeby zatrzymać czas, zanim przyszłość da nam popalić. Coś wisi w powietrzu. Czuję to.

– Mamo, Andrew znowu mnie kopie.

Cammy

Samantha rozpuszcza chłopców. To tak widoczne, że aż obrzydliwe.

Ricky przyszedł wczoraj ze mną po szkole, a Samantha prawie się posikała z radości na jego widok. Uważa, że jest lepszy niż Monica. Zresztą Ricky'ego zawsze lubiła. Nawet po tym, gdy kazał sobie wytatuować celtycki krzyż. Ale na pewno by się wściekła, gdyby zobaczyła mój tatuaż. Chociaż to niemożliwe, bo nie noszę już tych kretyńskich kucyków, więc nie ma mowy, żeby zobaczyła moją szyję z tyłu. Zresztą tatuaż jest mały. Marynarska gwiazda. Ricky prychnął pogardliwie i powiedział, że tatuowali ją sobie wszyscy kiepscy żeglarze, ale na to odezwał się ten łyсы koleś z rozpychaczem wetkniętym w płatek ucha:

– Jasne, geniuszu, bo to znaczy, że wracając z długiej podróży, chcesz znaleźć drogę do domu, łapiesz?

No i Ricky się zamknął.

Zaczęłam żałować, że się na to zdecydowałam, kiedy koleś przetarł mi szyję alkoholem. Pociłam się jak mysz, a ponieważ wylot klimatyzacji był skierowany w moją stronę, zrobiło mi się zimno. Wiedziałam, że nie mogę się wycofać, bo Ricky nie przestałby mi dokuczać, ale daję słowo, że miałam na to wielką ochotę.

No więc wczoraj z jakiegoś powodu siedzieliśmy w salonie z Rickim. Ma u mamy szczególne fory, choć gdyby nie Monica, pewnie by go nie cierpiała. Ale Moniki nienawidzi, więc Ricky przy niej to czysty brylant, choć nie ma w zwyczaju, jak to mama lubi, wygłaszać grzecznościowych formułek. Żadne tam:

– Dzień dobry, pani Friedman, jak się pani czuje, ależ śliczna ta sukienka, jak czysto jest u państwa...

I oto proszę, przyszła cała w uśmiechach, poklepała go po plecach i mówi:

– Jak się masz, Ricky? – A potem dodała: – Och, Ricky, może posiedzielibyście z Cammy w kuchni i dotrzyimali mi towarzystwa, gdy będę robić obiad.

Jasne. I jeszcze co? Już wolałabym wsadzić palce do sokowirówki. Rodzice myślą, że jesteśmy z Rickim parą. Można pęknać ze śmiechu. Zupełnie jakbyśmy mogli z sobą chodzić. Ricky traktuje mnie jak siostrę, a w ogóle ciągle gada o tym, jaka seksowna jest Monica i że gdyby tego faktycznie chciał, mógłby się do niej dobrać. Ja mu na to:

– Jasne, to spróbuj, skoro tak się na nią napalasz.

Wtedy odpowiada mi, że robi to, gdy nadejdzie właściwa pora.

Też coś. W każdym razie im się wydaje, że jesteśmy z sobą, bo

tatuaż Ricky'ego to gwiazda z literą R złączoną z C, która ją otacza. Wydaje im się, że to oznacza serce z inicjałami, ale to po prostu taki symbol.

Zaprojektowaliśmy go, gdy myśleliśmy o założeniu bractwa.

Cały dowcip polega na tym, że to faktycznie są nasze inicjały, lecz w rzeczywistości litery są skrótem od Rage Company.

Kompania Wściekłych... Chodzi o to, że zawsze na coś się wściekamy. Gdy widzimy kogoś, kto wygląda, jakby do nas pasował, to żartujemy, że moglibyśmy go zwerbować do RC, ale jesteśmy zbyt leniwi, by coś zrobić.

Ricky mówi, że Monica nadaje się do RC, co zawsze sprawia, że wybuchamy śmiechem. Zabawnie jest mieć taki własny mały klub. Zupełnie jakbyśmy bawili się w domku na drzewie i zdecydowali, czy spuścić komuś sznurową drabinkę i pozwolić mu się wspiąć do nas, tyle że Ricky właśnie chce to zrobić. W ten sposób próbuje mnie zmusić, żebym się nią z nim podzieliła, a mnie to wkurza. W dodatku jeśli tylko Monica dowie się o RC, od razu się wycofa. I tak już uważa, że wszyscy zachowują się, jakby mieli pięć lat.

– Boże, jak to możliwe, że jeszcze sobie nie palnęłaś w łeb. To miejsce dosłownie wysysa z człowieka duszę – powiedziała dzisiaj. Często używa podobnych wyrażeń. Ledwie zdążyła to powiedzieć, zrobiło mi się głupio, że nigdy tego nie powiedziałam na głos, bo przecież myślałam o tym tysiące razy. A kiedy ona to powiedziała, mogłam tylko potwierdzić:

– No, faktycznie.

I wtedy wygląda na to, że znowu ją naśladuję, tak jak uważa Samantha. Słyszałam, jak rozmawiała o tym z Bobem...

Twierdzą, że Monica to nieciekawa postać, no i sprowadza mnie na złą drogę. Chociaż potem Samantha dodała, że jej zdaniem ja już wcześniej byłam na złej drodze. Miałam ochotę zawołać:

– Masz rację, byłam!

Bo od tego, że Monica posądza mnie o naśladownictwo, jeszcze bardziej mnie złości to, że tak samo myślą Samantha i Bob. A w ogóle to czemu nigdy nie przyszło im do głowy, że ta zła droga jest drogą właściwą? Może właśnie trzeba się wściekać i wyładować złość, zamiast gryźć się w środku i pozwalać, by wszyscy sądzili, że jest się szczęśliwym i radosnym...

Ricky nie wie o Willu. Przynajmniej tak mi się zdaje. Zresztą i tak by go to nie obeszło, bo przecież ja mu się nie podobam jako ja. Ale i tak nie chcę, żeby się dowiedział. A z Willem jest spoko. Na początku, kiedy jednego wieczoru byliśmy na parkingu z kolegami

Paula, Will podszedł i spytał, czy chcę pójść z nim na spacer. Do tej pory czuję zażenowanie, gdy o tym teraz myślę, bo wtedy omal nie zemdlałam z wrażenia. Will jest niesamowicie seksowny, pod warunkiem, że nie patrzysz na jego skórę. Sześćdziesiąt procent ciała ma pokryte bliznami po oparzeniu. Niektóre z nich ciągną się przez szyję aż do twarzy. W dzień wygląda to tak, jakby ktoś go wrzucił do kadzi z kwasem, ale po ciemku nic nie widać. Nigdy nie opowiada, skąd mu się to wzięło, ale Ricky mówił mi, że jego ojciec podpalił dom, kiedy Will był tam z mamą. Zamknął ich w środku, przytknął zapalną do benzyny i zwiął.

No więc podszedł i zaprosił mnie na spacer. Jestem skończoną kretyką, bo już zaczęłam sobie wyobrażać, że będzie jak w disnejowskim filmie: spacer, trzymanie się za rączki i pewnie jeszcze namiętne pocałunki albo coś w tym stylu. Ależ byłam dziecinna! Poszliśmy za market i tam Will rozpiął spodnie. W tym nie ma nic seksownego, więc nie wiem, czemu wydawało mi się, że to jakaś wielka sprawa. No, ale nie wiedziałam, co mam robić, więc musiał mi wszystko wytłumaczyć. Tamtego wieczoru zrobił to nawet całkiem miło, w każdym razie jego głos brzmiał bardziej miękko niż w rozmowach z kolegami.

Zresztą jeśli nie zwraca się uwagi na oparzenia, Will wygląda bardzo atrakcyjnie. Monica od przyjazdu ślini się na jego widok. Nie mogłam się doczekać, kiedy będę mogła jej opowiedzieć, że z nim byłam, więc robiłam, co mi kazał, i chyba nie było to znowu takie straszne. W zakłopotanie wprawiło mnie tylko to, że gdy wracaliśmy, dotknęłam lekko jego ręki, a on natychmiast ją cofnął i szybkim krokiem wrócił do Paula. Pomyślałam, że być może to z powodu tamtego pożaru tak reaguje, gdy coś go zaskoczy.

Dopiero potem zorientowałam się, że chce wszystko zachować w tajemnicy. Nie należy do facetów, którzy by się przechwalali. Nie wiedziałam, gdzie mam stanąć, kiedy wróciliśmy do reszty.

Ricky'ego wtedy z nami nie było, a Monica miała szlaban.

Normalnie nie zadaję się z takim towarzystwem i czułam się jak piąte koło u wozu. W rezultacie weszłam do sklepu, kupiłam napój herbaciany, żeby poprawić sobie smak w ustach, a potem wróciłam do domu.

Will pewnie się zdziwił, widząc, że odchodzę, choć może z powodu ciemności w ogóle mnie nie widział, bo spojrzął w drugą stronę, kiedy rzuciłam:

– No to na razie!

Zresztą nieważne.

Opowiedziałam o wszystkim Monice, ale jakoś dziwnie było mi mówić o tym z Rickym, więc tego nie zrobiłam.

Zoey powiedziała, że nic jeszcze nie było w poczcie. Nie mam powodu jej nie wierzyć. Nie oszuka mnie, bo ma świadomość, że kiedy mi odda ten cholerny list, dostanie mojego iPoda. Prawdę mówiąc, wydaje jej się tylko, że go dostanie. W rzeczywistości zamierzam dać jej tego firmy Shuffle. Nie mam wątpliwości, że wysłaliśmy wszystko, co trzeba, bo oni mają na swoich stronach wszelkie wymagane formularze w formacie PDF. Wypełniliśmy je dokładnie według przykładów podanych w sieci.

Czuję się, jakbym trwała w miejscu, czekając, aż wszystkiego się dowiem. Możliwe, że liczę na zbyt wiele, jak twierdzi Ricky, ale nic na to nie poradzę. Nie mam na to żadnego wpływu. Poza tym, że Zoey przegapi list, a Samantha i Bob mogliby się o wszystkim dowiedzieć, jeszcze coś mnie niepokoi. Nie wiem, czy nie mają jakiegoś sposobu, żeby zajrzeć do moich dokumentów w komputerze. Od pewnego czasu mama prawie od niego nie wstaje, więc zaczynam się bać, czy przypadkiem mnie nie śledzi. Kiedy widzi, że idę, zaczyna się nagle śpieszyć, a mnie żołądek podchodzi do gardła. Chociaż prawdę mówiąc, nie ma siły, żeby zorientowała się, co robię, bo usuwam wszelkie ślady z twardego dysku, a nawet gdyby gdzieś pozostał jakiś ukryty plik, założę się, że nie potrafiłaby go odnaleźć.

To niesamowite, do czego ostatnio przywiązuje wagę. Na przykład nagle najważniejszą sprawą stało się oddanie mojego kociaka. Tak jakby malutka kotka miała wpływ na losy świata. Nic tylko:

– Nie wiem, dlaczego najpierw nie zapytałaś; gdybyś to zrobiła, przypomniabym ci, że tata jest uczulony.

Wcale nie zamierzałam płakać z powodu kota – kogo to zresztą obchodzi? – gdy nagle zaczęła rozpływać się, jaką idealną rodzinę dla niego znalazła:

– Są idealni, Cam. Idealna rodzina.

No i niech sobie służą grzesznikom za wzór wszelkich cnót. Teraz mają do kompletu moją kotkę, więc będą jeszcze bardziej idealni. Dzięki Bogu zapomniała o tym debilnym planie „Sam i Cammy chodzą w niedziele do kina”, który chciała realizować. W każdym razie wyrzuciłam repertuar kin, który ściągnęłam. Zresztą i tak nie mam ochoty oglądać jakiejś romantycznej komedii.

Samantha

*Błąd systemu. Brak możliwości połączenia z internetem.
Sprawdź łącze lokalne i skontaktuj się z administratorem.*

– Cammy! – wołam, stojąc u stóp schodów. – Caaammy!
Możesz przyjść tu na chwilę?

*Błąd systemu. Brak możliwości połączenia z internetem.
Sprawdź łącze lokalne i skontaktuj się z administratorem.*

Na górze panuje martwa cisza.

– Cammy!

– Coo?

Tak jak ja podniosła głos.

– Możesz zejść na dół?

Wracam do komputera, loguję się po zrestartowaniu, przez chwilę mam nadzieję, ale nie... Nadal nic z tego.

– Jezu, dlaczego się na mnie drzesz?

– Umiesz to naprawić? Próbuję już trzeci raz, ale nie mogę się połączyć.

– Komputer taty też się nie łączy. To pewnie przez modem. –

Wzrusza ramionami i wychodzi z kuchni.

– Czeka! Jak mam naprawić modem? Możesz to zrobić?

– Nie, nie mogę – odpowiada, jakby moje pytanie ją rozbawiło.

– Zmień ton – pouczam ją. – I wyjmij z ucha słuchawkę.

Niegrzecznie jest z tym chodzić, gdy ktoś mówi do ciebie.

– Przecież ci tylko odpowiadam. Zadzwoń do kablówki albo gdzieś tam. Nie wiem.

– Myślałam, że będziesz się o to najbardziej wściekać. Jak to możliwe, że brak łączności ci nie przeszkadza?

– Nie zależy mi. Mogę wysyłać SMS-y.

– A właśnie. Będziemy musiały porozmawiać o rachunkach za twoją komórkę.

– Może później? Mam do zrobienia mnóstwo rzeczy na jutro.

– I w sprawie lekcji wysyłasz te SMS-y? No, no... Dobrze, idź. Ale najpierw spróbuj to naprawić, może ci się uda.

Owszem, próbuje, choć niechętnie, ale bez efektu.

– Nic z tego nie będzie – mówi opryskliwie.

Od jakiegoś czasu jest to jej zwykły ton.

W poszukiwaniu numeru do kablówki muszę pogrzebać w pudełku po butach, gdzie trzymam rachunki.

– Dziękujemy, że zechciałeś zadzwonić do Horizon Cable, światowego lidera w komunikacji telefonicznej i kablowej. Na imię mam Princess, w czym mogę pomóc?

– No więc... Chwileczkę, wyłączę tylko głośnik – mówię, śpiesząc do telefonu w kuchni. – Przepraszam, ale długo czekałam na połączenie.

– Czy może pani podać cztery ostatnie cyfry swojego ubezpieczenia, żebym mogła sprawdzić pani rachunek?

– Oczywiście. Pięć, cztery, dwa, jeden. Dzwonię, bo nie mogę połączyć się z internetem, a córka mówi, że...

– Pani kod pocztowy to sześć-zero-sześć-dwa-sześć?

– Tak.

– Nasi technicy właśnie próbują naprawić usterkę. Wkrótce wszystko powinno działać. W państwa okolicy nastąpiły problemy z łącznością.

– Ile czasu to potrwa?

– Na razie nie potrafimy tego powiedzieć. Przepraszamy za utrudnienia. Czy mogę pani pomóc w czymś jeszcze? Może przedstawię pani naszą nową ofertę pakietu oszczędnościowego trzy w jednym? Jeśli zamówi go pani dzisiaj, przez miesiąc będzie pani mogła odbierać premiowe kanały za darmo.

– Nie, dziękuję.

– Życzę miłego dnia i dziękuję za połączenie z Horizon Cable. Wiem, że na pewno już do mnie napisał. Musiał zawieźć Lexi na przyjęcie urodzinowe, ale nie wiedział, czy rodzice mają tam zostać, czy tylko podrzucić dzieci.

O tej porze zwykle wymieniamy już dwa lub trzy mejle. Nigdy do siebie nie dzwoniemy. W zasadzie nie robimy nic podejrzanego, ale zawarliśmy cichą umowę, że będziemy kontaktować się pocztą elektroniczną. Chociaż myślałam, że może zadzwoni na komórkę. A teraz wygląda na to, że być może nie zobaczę go przez cały weekend.

To oczywiście psuje mi humor. Latam po całym domu z prędkością światła, wszystkim każe sprzątać w pokojach, a Boba wysyłam do supermarketu Costco. Każdy, kto choć raz był w Costco w sobotę, wie, jakie to piekło.

Wciąż próbuję się połączyć, restartuję komputer, krążę między komputerami swoim a Boba i nagle, zupełnie niespodziewanie, na ekranie pojawia się komunikat „sprawdzanie dostępu”, i w chwili gdy na podjazd wjeżdża samochód Boba wyładowany zgrzewkami wody, paczkami papieru toaletowego i musztardą w opakowaniach bardziej właściwych dla restauracji niż gospodarstwa domowego, widzę w skrzynce odbiorczej wiadomość

od Craiga. Akurat w momencie, gdy muszę zająć się domem. Bob powinien jeszcze wylądować zakupy, więc mam czas, żeby sprawdzić chociaż ten jeden list.

Widziałaś kiedyś „Podejrzanych”? Wczoraj wieczorem wypożyczyłem ten film. Jest tak dobry, że aż nie do wiary. Postanowiłem napisać, żeby powiedzieć ci cześć.

– Mamo! Skończyłem sprzątać pokój! – woła Andrew ze schodów. – Mogę iść do sąsiadów?

Drugi mejl... Muszę przeczytać tę drugą wiadomość.

Oby szybko. Bob wciąż rozpakowuje samochód.

– Mamo? Mogę?

– He? A, nie. Za kilka minut masz mecz!

Sekundę trwa, nim wiadomość się otworzy.

Cześć, co robisz? Chciałem tylko napisać, że o tobie myślę.

Wychodzimy do kolegi oglądać mecz. Mam nadzieję, że spędzasz miły dzień.

Spoglądam przez ramię, a ponieważ nadal jestem sama w kuchni, klikam na trzeci mejl. Nie mam za grosz silnej woli.

Dzięki Lexi nie musimy oglądać meczu futbolowego.

Evie uważa, że będzie chora, a moim zdaniem po prostu chciała wrócić do domu do kotka. A właśnie, nadaliśmy jej imię: Puszek. Piszę „my” w znaczeniu ogólnym, bo chyba nie wyglądam na faceta, który nazwałby kota w ten sposób. Z pewnością temu kotkowi miłości nie brakuje.

Myślę o tobie.

– Co robisz? – pyta Bob.

– Boże, ale mnie przestraszyłeś! Nie słyszałam, jak wszedłeś. –

Próbuję znaleźć „X”, żeby zamknąć pocztę. Nie mogę pokazać, że wpadłam w panikę. – Jak było w Costco? – Zdaję sobie sprawę, że za bardzo się staram, by zabrzmiało to naturalnie.

– Wydajesz się bardzo uszczęśliwiona – mówi Bob. – Co to za mejl, którego nie chciałaś mi pokazać?

– Co? A, nic takiego. Coś ze szkoły. Był duży tłok?

– Skoro ze szkoły, czemu tak gorączkowo próbowałaś zamknąć, kiedy wszedłem?

– Jezu, czy to przesłuchanie trzeciego stopnia? – Podnoszę się i sięgam do papierów i listów, które leżą obok komputera. –

Słuchaj, widziałeś ten liścik z podziękowaniem, który dostaliśmy od Margie O'Donnell? Przeczytaj, to będę mogła go wyrzucić.

Nastał decydujący moment. Patrzymy z Bobem na siebie, jak w tej zabawie, kto dłużej wytrzyma bez mrugnięcia powieką. Trzymam

w wyciągniętej ręce kartkę i zaraz okaże się, czy Bob odpuści, czy może zacznie przypalać mi pięty, aż wszystko wyznam i w dodatku wyprę się Craiga. Ale wiecie co? Zrobiłabym to bez wahania. Gdyby Bob dał mi choć odrobinę nadziei, z miejsca bym zapomniała o całej sprawie. No więc czekam, aż w dniu wielkich promocji i sprzątania mieszkań Margie O'Donnell zadecyduje o naszym losie. Jej list zawisł w powietrzu między nami, jakby dźwigał ciężar całej rodziny. Jeżeli Bob po niego sięgnie, będzie to milczące potwierdzenie, że wierzy w trwałość naszego związku, nawet jeśli jest niedoskonały. Natomiast odmowa przyjęcia listu wtrąci nas w otchłań, gdzie możemy zostać uzdrowieni lub zranieni na zawsze.

Bob bierze ode mnie list i opuszcza wzrok na staranne pismo Margie O'Donnell.

– Sympatyczny liścik. – Oddaje mi kartkę i woła do chłopców, żeby się pośpieszyli.

Aby pokazać, że nie wydarzyło się nic niezwykłego, w demonstracyjny sposób przeglądam stertę papierów wciśniętą między komputer a książki kucharskie. Dopiero teraz serce przestaje mi walić.

– Nie usłyszeli cię – mamrocę jak zawsze.

Podnoszę wzrok w chwili, gdy Bob odwraca się, żeby jeszcze raz zawołać chłopców. Dotykam myszy, żeby aktywować ekran i sprawdzić, czy na pewno się wylogowałam. Tak. W porządku.

Kryzys zażegnany.

– Boże, gdzie oni są? Chłopcy! Daję słowo, że... – Przechodzi przez salon i staje przy schodach.

– Czekaj, Bob...

– Tak? Chłopcy! Idziemy! Zbierajcie swoje rzeczy.

– Nawet nie spytałeś, co się stało z kotkiem.

– Co? Chłopcy! Liczę do trzech! – Odwraca się w stronę kuchni. – Co mówiłaś?

– Nie rozumiem, czemu nie spytałeś nawet, gdzie się podział kociak.

Grzebie w kieszeniach płaszcza, a potem spodni w poszukiwaniu kluczyków samochodowych.

– Gdzie podział się kociak – powtarza.

– Kotek, pamiętasz? Ten, na którego masz alergię. Ten, którego musieliśmy się pozbyć.

Wzrusza ramionami, a gdy patrzy na blat szafki, gdzie zostawił kluczyki, na jego twarzy pojawia się wyraz świadczący o tym, że wszystko sobie przypomniał.

– Możesz mi je rzucić? Dziękuję.

Rzucam kluczyki w jego stronę.

– Ach więc znalazłaś mu dom, tak? – Znow obmacuje kieszenie. – Widziałaś moje ciemne okulary?

– Leżą tam, na stole. Nie spytałeś nawet, kto ją wziął.

– A to ma jakieś znaczenie?

Chłopcy wpadają do kuchni. Obaj są ubrani, choć niezbyt starannie, w sportowe kostiumy.

– Wreszcie! – mówi Bob. – Dokończycie przygotowywać się w samochodzie. No już, już, bo się spóźnimy!

– Nie – odpowiadam. – Chyba nie ma żadnego znaczenia, kto ją wziął. – Tyle że mój głos ginie w tumultie okrzyków: „Czekajcie, zapomniałem...” i „dość tego, liczę do trzech”, stukocie korków na podłodze, gdy biegną do wyjścia i z powrotem do lodówki po butelki z wodą.

– Do zobaczenia, mamo! – woła Jamie w drodze do drzwi.

Nie wiem, czy czuję ulgę, że nie musiałam kłamać, czy jest mi smutno, że Boba nie obchodzi, co robię. Cóż, tak to z nami jest.

Wcale go nie obchodzę, a jeśli mam być szczerą... ja też nie dbam o niego.

Cammy

Wszyscy gadają przez komórki. Z kim oni rozmawiają? Wiem, że mam zasięg w każdym miejscu poza bulwarem Lake Shore Drive w okolicach Fullerton, ale już po minięciu North Avenue pokazują się wszystkie cztery kreski.

Dałam Willowi swój numer, ale pewnie go zgubił. Ricky do mnie dzwoni, ale on się nie liczy. Monica mogłaby do mnie dzwonić, gdybyśmy się nie pokłóciły, tyle że zgubiła swoją komórkę. Gubiła ją już tyle razy, że wykorzystwała wszystkie możliwości wymiany, na jakie zezwala jej plan taryfowy, więc teraz mówi, że będzie się zachowywać jak amisz i kupi sobie telefon, gdy zarobi pieniądze. Problem jednak w tym, że nie ma żadnej pracy.

Monica jest na mnie wkurzona z jakiegoś powodu, tyle że nie chce mi powiedzieć, o co chodzi. Kiedy poznała prawdę o mnie i o Willu, wściekła się, że wtedy, gdy mówiła, jaki jest seksowny, nic jej nie powiedziałam.

Ciągle tylko:

– Mogłaś coś powiedzieć!

A przecież my z sobą nie chodzimy ani nic w tym stylu.

Właściwie myślałam, że tak, ale potem go zobaczyłam z Paolą Desti. No jasne, ona jest piękna, ale nie to, żeby zwałała z nóg. Kiedy ich widziałam, chwycił ją w taki niedźwiedzi uścisk od tyłu, a ona niby z niechęcią wzniosła oczy do nieba, ale pozwoliła mu przejść z sobą w ten sposób kilka kroków. W końcu wysunęła się z jego objęć, lecz dopiero wówczas, gdy pocałował ją w policzek. W drodze na lekcję angielskiego spojrzałam mu prosto w oczy, a on zmrużył powieki i odwrócił wzrok. Zachowuje się, jakby udawał, że ja nie istnieję. Niewidzialna Cameron. Więc powiedziałam Monice, a ona na to, że powinien poszukać sobie dziewczyny bez kropki na czole. Tylko tyle. Chyba jest wkurzona i na mnie, i na Paolę.

Monica przekazała wiadomość Davidowi, który nosi dredy. Musiałby je ściąć, gdyby był biały, ale w tej nadętej szkole każdy boi się urazić czarnego ucznia, więc Davidowi wszystko uchodzi. Jest jednym z dwudziestu, jak na moje obliczenia wychodzi, czarnych dzieciaków w całej szkole. W każdym razie David dostał tę wiadomość na trygonometrii. Przeczytał ją i parsknął, patrząc na mnie, więc wszystko było jasne. Pan Stevens zabrał mu kartkę, ale dzięki Bogu podarł ją i wyrzucił, nie czytając na głos, jak to robią niektórzy pochrzanieni nauczyciele. Nie wiem czemu, ale to do mnie się przyczepił.

– Cammy, jeśli jeszcze bardziej zsuniesz się na swoim krześle, wkrótce będziesz leżała na podłodze, a to nie pora na drzemkę. Monica i David zaczęli się ze mnie śmiać i w tym momencie zrozumiałam, że moja przyjaźń z Monicą niedługo się skończy. Jestem wściekła, bo to moja jedyna przyjaciółka. Ale co tam. I tak nie chcę się z nikim kolegować, więc może się śmiać do woli. Ostatnio się mnie czepiała z powodu mojego wiersza, który został przyjęty przez magazyn literacki. A teraz za każdym razem, gdy wchodzę na jedną z trzech lekcji, które mamy razem, wydaje dźwięki, jakby coś ssała.

A to jest ten kawałek, który ukaże się w majowym numerze:
Kim jesteś

*Jesteś mój?
Mówisz, że ja jestem twoja?
Czy w ogóle pamiętasz moje imię?
Albo to, że istnieję?*

*Wiruję jak dziecko
Jak unoszony podmuchem wiatru płatek śniegu
Z ramionami wzniesionymi do góry
W powietrzu zapach zimy
Chociaż zimy nie ma. Jeszcze.*

*Obracam się i obracam w pobliżu nowej pory roku
Początku czegoś, czego nie potrafię nazwać.
Potrzebna mi dłoń, którą mogłabym trzymać.
Ktoś tylko mój.*

*Chcę cię mieć dla siebie.
Chcę, byś wiedział, że istnieję.
Nie jestem wspomnieniem
Ani myślą
Ani wyrzutem sumienia.*

*Chcę, żebyś się do mnie przyznał.
Chcę, by płatki śniegu tańczyły wokół nas obojga.
Będą roztopiać się na naszych językach
I na naszych czapkach. Będziemy się śmiać
A ty się do mnie odwrócisz i powiesz, że jestem twoja.*

Czekam na ciebie.

Samantha

Już co najmniej od tygodnia nie mogę spać, więc zamawiam wizytę u lekarza, żeby porozmawiać o tabletkach na sen. Lynn bierze lunestę, Sally przyjmuje ambien, a Kerry Kendricks mówiła kiedyś o ativanie. Nigdy nie musiałam się wspomagać, żeby dobrze spać, a teraz każdej nocy około trzeciej nad ranem jestem całkiem rozbudzona i układam listy rzeczy, które muszę zrobić. Czasami, jeśli staram się zbyt usilnie zasnąć ponownie, przewracam się na brzuch, a potem znów na plecy i zaczynam się zastanawiać, w jakiej pozycji śpi Craig. Pragnę, żeby też się obudził i myślał o mnie w tym samym momencie, w którym ja myślę o nim. Jedyne, czego mi brakuje, to przespać całą noc. W ciągu dnia bez przerwy ziewam. Ostatnio mam tak podpuchnięte oczy, że nawet Cammy zwróciła na to uwagę.

– Przekłułaś sobie górną część ucha? Wspaniale, Cam – mówię. Grzebie w lodówce, odsuwając na bok wędlinę i resztki pieczeni i mruczając pod nosem o tym, jakie to potworne mieszkać z mięsożercami. Znajduje w końcu marchewkę i kiedy chrupie ją głośno, mam ochotę powiedzieć:

– Rozumiem, jesteś zbuntowana. Wydaje ci się, że straszna z ciebie twardzielka, gdy jesz tę marchew.

Jednak pozwalam jej na tę demonstrację, a potem dodaję:

– I co teraz? Może taka ohydna plemienna dziura w płatku ucha? Jezu Chryste, co w ciebie wstąpiło?

– Wyglądasz potwornie – mówi Cammy. Przechyliła głowę na bok, jakby się rzeczywiście nad tym zastanawiała. – Masz jakieś dziwne oczy.

– Źle spałam i dzięki za zainteresowanie. Nie zmieniaj tematu.

– Jesteś strasznie sztywna. Połowa dziewczyn w klasie ma piercing. To jest tak normalne, że przestaje być zabawne. Czy ktoś mógłby wreszcie pamiętać o kupieniu tofu?

– Skoro to takie normalne, czemu decyduje się na to tylko połowa dziewczyn?

– Wiedziałam, że nie zrozumiesz. – Wzrusza ramionami, po czym wychodzi.

– Wiesz, że będziesz musiała to wyjąć – wołam za nią.

– Ale nie wyjmę. Poza tym facet w tym zakładzie powiedział, że nie można wyjmować kolczyka, bo wda się infekcja – odkrzykuje, wchodząc na górę.

– Diabła tam, nie wyjmiesz! – Teraz już wrzeszczę. – I może ktoś sam sobie kupi swoje tofu.

Zamyka drzwi bez szczególnego rozmachu, jak to się zdarza co drugi dzień. Trzaskanie drzwiami oznaczałoby rzuconą mi obelgę. To jednak jest znacznie gorsze: zupełnie jakbym stała się niewidzialna, nie była wystarczająco ważna, żeby z mojego powodu trzasnąć drzwiami.

Wlokę się po schodach i nawet do głowy mi nie przychodzi, żeby zapukać.

Cammy podnosi wzrok znak komórki, kciuki zatrzymują się w połowie pisanej wiadomości. Zanim zdążyła przybrać swoją typową minę naburmuszonej nastolatki, widzę dawną Cam, jak siedzi po turecku na łóżku. Cammy, która mogłaby się uśmiechnąć, przesunąć trochę, by zrobić dla mnie miejsce, podać mi słuchawkę, abym mogła posłuchać piosenki na jej iPodzie. Zauważam, że jej chude ręce i nogi zaczynają wypełniać się i wydłużać, ostro zarysowane kości policzkowe nabrały łagodniejszych kształtów. Mam wrażenie, że nastąpiło to w ciągu jednej nocy. W zeszłym tygodniu chyba jeszcze nie miała biustu. O jej skórze w czasopismach kobiecych by napisali, że jest świeża, tyle że ona pokrywa ją grubą warstwą make-upu. Długie rzęsy uginają się pod ciężarem zbitego w grudki tuszu, którego nigdy nie zmywa. Kiedyś miała kasztanowe włosy, teraz są smoliście czarne jak peruka czarownicy na Halloween. To pierwsze, co ludzie zauważają, gdy na nią patrzą: kruczoczarne włosy zasłaniające bladą twarz, długą grzywkę, która zwisa jak markiza niemal do nosa.

Wciąż mam nadzieję, że któregoś dnia usiądziemy nad rodzinnymi zdjęciami i będziemy się śmiać z tego absurdalnego etapu w jej życiu. Bo modlę się, żeby to był tylko przejściowy etap.

– Zdejmij słuchawki. – Macham rękami, żeby przyciągnąć jej uwagę.

– Jezu! Czemu mnie tak straszysz? Nie umiesz pukać?

– Dość tego. Wyjmij z uszu słuchawki. I odłóż telefon. Nie waż się więcej mówić do mnie tym tonem. Koniec z tym.

– Co ty robisz? – Wymachuje rękami, żeby powstrzymać mnie, gdy próbuję odebrać jej iPod. – Przestań! Zostaw to! Co się dzieje, do diabła?

– Mam powyżej uszu twojego iPod, komórki, SMS-ów. Mam dość twojego popieprzonego zachowania i... tak, powiedziałam popieprzonego, więc możesz już nie patrzeć tak na mnie, jakbyś się zastanawiała, co mi odpysknać.

– Co ty wyprawiasz? Opętało cię? – krzyczy Cammy. – O czym ty mówisz?

– Doskonale wiesz o czym. O tym. To musi się skończyć. Zachowujesz się, jakby spotykały cię same nieszczęścia. Te zamknięte drzwi, te sekrety, włosy, ciuchy, makijaż. Mam tego dość.

Coś w niej przeskoczyło i teraz wpatruje się we mnie pustym wzrokiem. Od ślepej furii do tego lodowatego spojrzenia. Potrafi być naprawdę przerażająca.

– Może wreszcie skończymy te gierki i wrócimy do rzeczywistości?

– Właściwie wcale jej nie pytam, tylko oznajmiam.

– Rzeczywistości? – prychna, odwracając wzrok. – A to świetne. Do rzeczywistości!

– Co to niby miało znaczyć? O co ci chodzi, Cammy?

– Nieważne.

– Dla mnie ważne. Rozmawiaj ze mną!

– Dlaczego na mnie wrzeszczysz?

– Bo nie mogę do ciebie dotrzeć i nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

– Więc wyjdź! Wyjdź z mojego pokoju!

– To jest mój pokój. – Tak jak ona zaczynam krzyczeć.

– Razem z ojcem jesteśmy właścicielami domu, więc to nasz pokój. Nie waż się tak odzywać!

Przełyka łzy i składa się wpół z jękiem, który tak bardzo przypomina wycie, że ogarnia mnie przerażenie.

Obejmując kolana, huśta się w tył i w przód przez jakieś dziesięć sekund, choć równie dobrze mogło to być dziesięć minut, tak okropnie to wygląda. Po czym nagle otrząsa się, zrywa na nogi i rzuca we mnie iPodem, który – gdybym nie uchyliła głowy – uderzyłby mnie prosto w usta, zamiast roztrzaskać się o ścianę.

– Nienawidzę cię. – Pochyla się, żeby nabrać powietrza w płuca.

– Bardzo oryginalnie – mówię.

– Ależ jesteś zabawna. – Walczy ze łzami. – Przykro mi, że nie jestem oryginalna.

Płacz zmienia się w gwałtowny szloch. Patrząc, jak Cammy bezwładnie opada na podłogę.

– Wyjdź. Proszę. Zostaw mnie w spokoju.

– Cammy...

– Naprawdę... Wyjdź. – Straciła siły, mówi teraz szeptem. Krzyk całkiem ją wyczerpał. – Możesz zabrać moją komórkę i komputer, nie obchodzi mnie. Weź je, tylko wyjdź.

– Kochanie...

– Mamo, proszę... – z mascarą płynącą jej po policzkach

wygląda jak Alice Cooper na plakacie – ...nie mogę teraz rozmawiać. Proszę. Porozmawiam z tobą później, obiecuję, ale... nie teraz...

Zamykam cicho drzwi i w pewnym sensie odczuwam ulgę, bo też jestem wykończona i nie mam już siły na Cam. Może nie powinnam zostawiać jej samej, ale gdy mnie prosiła, by zostawić ją w spokoju, wyglądała jak dawna Cammy. Więc spełnię jej prośbę. Ostatnio wydawała się taka zmęczona. Może to po prostu zmęczenie.

Piszę:

Doprowadza mnie do szatni. Oszaleję przez swoją córkę. Tylko uważaj. Kiedy Lexi będzie nastolatką, też będziesz chciał skoczyć z mostu. Myślałam, że uda nam się tego uniknąć, skoro byłyśmy sobie takie bliskie, ale nic z tego. Musiałam się wyładować. Muszę kończyć. Pozdrawiam, Sam.

Spotykamy się następnego dnia. Craig słucha mnie, opierając łokcie na stole. Obejmuje filizankę dłońmi. Nie mówi wiele, ale też po prawdzie wcale tego nie oczekuję. Kiedy wychodzę ze Starbucksa, czuję się lżejsza.

Zdaję sobie sprawę, że nie mówię mu wszystkiego. Gdybym wyznała, że mój mąż nic do mnie nie czuje, z pewnością patrzyłby na mnie inaczej. A mam wrażenie, że zadurzył się we mnie tak samo jak ja w nim.

Podczas następnego spotkania wreszcie odważam się poruszyć temat, który do tej pory starannie omijaliśmy.

Ale ostatecznie przyjaciele rozmawiają o swoich małżeństwach, nie?

– Wciąż nie rozumiem, czemu chcesz odejść ze swojego życia – zaczynam. – Omawiamy każdą sprawę pod słońcem poza naszym życiem małżeńskim. Wygląda na to, że udało ci się jakoś pozbiierać. To znaczy wiem, że nie wszystko jest w porządku, tego i owego ci brakuje, ale mówiąc między nami, dałeś sobie z tym radę, prawda?

– Tak to wygląda z zewnątrz – odpowiada Craig. – Jednak... w moim małżeństwie brakuje intymności. Nie chodzi mi o sprawy fizyczne. Mam na myśli zażyłość emocjonalną. Jezu, zdaje się, że mówię to jak jakaś dziewczyna... Mam na myśli, no wiesz... bliskość. To bardzo ważne. Oczywiście Lexi jest dla mnie wszystkim. To dzięki niej mogę funkcjonować.

Czuję się podekscytowana, że mi się zwierzył. Nie spodziewałam się, że zdobędzie się na taką szczerość. Nie wiedzieć czemu sprawia mi przyjemność świadomość, że między nim a żoną brakuje bliskości. To chyba oznacza, że nie jestem prawdziwą przyjaciółką, bo wówczas pragnęłabym, aby był szczęśliwy i spełniony. Chrzanić to. Oboje wiemy, o co tu chodzi. Jestem kompletnie zadurzona, ale oczywiście zachowuję spokój.

– Jak ci się udaje tak żyć? – pytam. – Przy tym, że jesteś taki... Sama nie wiem... Taki pełny energii. A tymczasem żyjesz zupełnie inaczej. Jak to możliwe? Bo mnie jest coraz trudniej wracać do domu po rozmowie z tobą. Jakbym wracała na ziemię z kosmosu. Ty też to czujesz? Jakbyś był dwiema różnymi osobami: inną, gdy jesteś ze mną, inną, gdy jesteś w domu?

– Tak, właśnie tak...

Bawimy się filiżankami z resztką kawy. Zastanawiam się, co powiedzieć. Czuję, że on ma podobny problem. W końcu to ja przerywam niezręczną ciszę.

– A jak się ma Puszek?

Craig podnosi wzrok. Najwyraźniej odczuł ulgę, gdy znalazł się na bezpiecznym gruncie.

– Puszek... ma się dobrze...

Słucham, jak opowiada o Lexi i kociaku. Wszystko wydaje się w porządku.

Cammy

Szanowni Państwo Friedman!

Otrzymaliśmy list od lekarza Państwa córki. Z przykrością dowiedzieliśmy się o stanie jej zdrowia. Ponieważ dostaliśmy wszystkie wymagane dokumenty, niniejszym przekazujemy informacje, które wydają się istotne z medycznego punktu widzenia.

Rodzona matka Cameron nie poinformowała nas o żadnej przechodzonej przez siebie lub występującej w rodzinie chorobie. Zapis w karcie przedporodowej sugeruje, że mogła nabyć chorobę przenoszoną drogą płciową, jednak badanie krwi nie potwierdza tej diagnozy, więc możemy tylko zakładać, że notatka ta powstała podczas wstępnego wywiadu. Wyniki badań krwi wskazują natomiast, że matka była narkomanką, odnotowano bowiem ślady metamfetaminy.

Lekarz przeprowadzający badanie odnotował, że matka Cameron potwierdziła zażywanie grzybów i kokainy, zanim dowiedziała się o ciąży, a z dalszego wywiadu wynika, że nie zarzuciła zażywania narkotyków w czasie pierwszego trymestru ciąży. Zalecano jej odstawienie alkoholu, jednak w karcie zapisano, że przynajmniej dwukrotnie w ciągu drugiego trymestru była pijana.

Z tego też powodu została zaliczona do grupy wysokiego ryzyka.

Od czasu urodzin i adopcji Cameron nastąpiły zasadnicze zmiany w prawie i znacznie złagodniały przepisy dotyczące poufnego charakteru danych rodzonej matki i rodziców adopcyjnych. W pilnych przypadkach, do jakich z pewnością należy sprawa Cameron, jesteśmy zmuszeni do ujawnienia danych personalnych matki, żeby ułatwić Państwu znalezienie odpowiedzi. Załączamy informacje, o jakie Państwo proszą. Przekazujemy nasze najserdeczniejsze pozdrowienia dla Cameron i całej Państwa rodziny. Prosimy dać znać, gdybyśmy mogli jeszcze w czymś pomóc.

Biologiczna matka: Geraldine Wilkes

Data urodzenia matki: 12 marca 19?? (matka nie podała daty; niechętna do współpracy)

Miejsce urodzenia dziecka: Chicago, Illinois

Rejestracja rodziców adopcyjnych: 29 maja 1994

Zezwolenie na adopcję: opinia pozytywna

Wynik badania lekarskiego dziecka: bez zastrzeżeń

Wiek dziecka w czasie adopcji: 2 lata

Dane kontaktowe z biologicznym rodzicem: brak danych.

– O kurde! – mówi Ricky, gdy pokazuję mu list. Ma na sobie durną elegancką koszulę, w której wygląda, jakby był członkiem szkolnej orkiestry. – Kurczę! Twoja mama musiała być zdrowo pojebana.

– Chrzań się. Odbiło ci? Nie wierzę, że właśnie to powiedziałeś.

– Przepraszam. Oj, przepraszam, nie płacz. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało, tylko... O Jezu, przestań płakać. Miałem na myśli, że pewnie masz to po niej.

Próbuję tego sposobu, co to trzeba przełknąć, zanim wyrwie się szloch. Podobno dzięki temu przestaje się natychmiast płakać, ale za to dostaję czkawki. Idę do łazienki, żeby wypić szklanekę wody do góry nogami. To znaczy nie pije się dosłownie do góry nogami, tylko trzeba się zgiąć i pić od drugiej strony z głową skierowaną do dołu. Działa za każdym razem. W mojej łazience panuje straszny bałagan. Nawet ja to zauważam.

Przewód od suszarki splątał się ze sznurem od żelazka, które chyba musiałam zostawić włączone, bo na podłodze wypaliło się duże „V”. Do diabła, myślałam, że płytki się nie palą. Rodzice i tak są już wkurzeni, bo rozlałam czarny lakier do paznokci na szafce i nawet zmywacz na to nie pomógł, więc musieli wezwać kogoś, kto to zdrapie, a ja mam zapłacić za tę pracę. To brzmi jak żart, bo mam zero kasy. Upuściłam czarny cień do powiek, który się połamał i zabrudził całą umywalkę i fragment podłogi.

Zapomniałam go zetrzeć i kiedy wdepnęłam w te resztki, wniosłam je na butach do pokoju i na dywan. Przykryłam te ślady jedną ze swoich długich spódnic, więc na razie nic nie widać.

Problem w tym, że od wieków nie prałam tej spódnicy, a miałam ją na sobie, kiedy wyrzygałam się za biblioteką. Spódnica sięga do ziemi, więc się wybrudziła i śmierdzi, więc pewnie teraz będzie też śmierdział dywan. No i dobrze. Może go wreszcie zmienią, o co od dawna proszę. Chcę przemalować pokój, żeby pozbyć się wreszcie tego niemowlęcego lawendowego koloru na ścianach. Chciałam pomalować ściany na ciemnoczerwono, ale tata mówi, że ten kolor przypomina krew, więc pewnie mój pomysł nie przejdzie.

– Co robisz? – Ricky puka do drzwi łazienki. – Cam? Wyjdź stamtąd. Co robisz?

Mówi głośno, ale woda, którą puściłam do umywalki, tłumi jego głos. Sięgam do starego pudełka na kosmetyki, które dała mi

Hannah, przyjaciółka z piątej klasy. Ciągłe zapominam je wyrzucić. Z tyłu pudełka leży pojemnik po filmie. Znalazłam go w szafce w salonie, gdzie leży stary sprzęt fotograficzny taty i kilka rolek filmów. Postanawiam, że zażyję, co mi wpadnie w rękę, i szczęśliwie trafiam na vicodin. Wytrząsam na dłoń drugą tabletkę, bo jedna na mnie nie działa.

– Cam, wyjdź – mówi Ricky.

– Jezu, masz jakiś problem? – pytam, idąc przez pokój w stronę łóżka, na którym leży pikowana narzuta w dwóch odcieniach różu. Chyba miałam osiem lat, kiedy ją sobie wybrałam.

– Myślałem, że chcesz sobie dać w żyłę albo coś takiego.

– Miły jesteś. Dzięki.

Cholerny vicodin jeszcze nie zaczął działać i dopiero w tym momencie przypominam sobie, że mogłabym przyśpieszyć działanie, gdybym coś zjadła. Tyle że nie jestem głodna. Muszę się uspokoić. Co się ze mną dzieje? Powinna coś zjeść. Może banana? A może powinnam od razu do niej zadzwonić. Mieć to za sobą. Najpierw jednak powinnam zaplanować, co mam powiedzieć. Ale to durne. Może jakiś jogurt? Przypominam sobie nagle, że mam jointa, którego Paul dał dla mnie Willowi, kiedy Will zawiózł mnie za śmietnik na tyłach wypożyczalni filmów, kilka przecznic od szkoły.

– Odbiło ci? – Ricky wpada w panikę. – Co będzie, jeśli rodzice coś poczują?

– Co ty, dziecko? Nawet przez myśl im to nie przejdzie. Powiem, że to świeczka, którą dostałam na święta. Kiedy ją zapalam, cuchnie w całym domu. Otwórz okno, co?

Rzucam ręcznik na podłogę pod drzwiami i ustawiam wentylator przed oknem, ale kieruję go na zewnątrz, żeby wyciągał powietrze z pokoju.

– Może po prostu sam spróbujesz? – Zatrzymuję dym, po czym wciągam go głębiej, zanim wypuszczę, jak to robi Paul.

Wydmuchuje dym, jakby palił papierosa, a nie jointa. Zawsze mówi o nim skręt. Kiedy podaje go osobie, która siedzi obok, pyta:

– Chcesz skręta? – i podaje go, jakby to była fajka pokoju.

Nikt mu nigdy nie odmawia. Paulowi w ogóle się nie odmawia.

– Nie – mówi Ricky. – Wentylator z powrotem wdmuchuje dym do środka, zdajesz sobie z tego sprawę? Powinnaś postawić go w drugą stronę.

– Kiedy skieruję go w stronę pokoju, będzie wdmuchiwał jeszcze bardziej. Kurczę, masz rację. Rzeczywiście wszystko wraca.

– Może to znak.

– Jak to?

– Może to znak, że będziesz taka sama jak ona.

– Spieprzaj stąd – słyszę swój głos. Nie jestem pewna, ale myślę, że rzeczywiście to powiedziałam. Chyba tak, bo widzę, że Ricky ma dziwną minę. – Nieważne – mówię, a przynajmniej tak mi się zdaje. – Chcesz coś zjeść?

– No, może być. Ale dziwnacznie wyglądasz. A co ty chcesz? Pójdę na dół i ci przyniosę.

– Masło orzechowe – odpowiadam. – Masło orzechowe i banana. Weź nóż, żebym mogła rozsmarować.

– Nie będzie głupio, jak zejść na dół i zacząć grzebać w waszej lodówce? A jeśli twoja mama spyta, czemu ty nie zesłaś?

– Idź i tyle. Masło orzechowe i banan – powtarzam. Czuję, że ogarnia mnie senność i radość, więc vicodin zaczął wreszcie działać. Łóżko wydaje się takie miękkie. Teraz już naprawdę umieram z głodu. Gdzie ten Ricky? Chwilę, co ja kazałam mu przynieść? Popcorn? Nie, na pewno nie popcorn...

– Obudź się, ćpunko – mówi, stając przy łóżku. – Trzymaj. Twoja mama siedziała przy komputerze. Nawet nie usłyszała, jak wszedłem.

– Ostatnio w ogóle nie wstaje od komputera. – Wydaje mi się, że to mówię, ale wcale nie jestem pewna. – Przynajmniej teraz nie muszę się martwić, że znajdzie w nim ten list.

– Naprawdę jesteś narąbana – odpowiada Ricky. – Nie może znaleźć listu w komputerze, ty kretynko. Przecież trzymasz go w ręce. No, idę.

– Czekaj, jeszcze nic nie wymyśliliśmy. Co ja teraz mam robić?

– Mówiłem ci. Zadzwoń do niej.

– Nie mam jej numeru, świrze.

– No to znajdź ją przez Google'a, debilko – odcina się. – Zajmie ci to jakieś pięć minut. A co, nie wiesz, jak to zrobić?

– Czego się na mnie wydzierasz?

– Wcale się nie wydzieram – warczy jak doberman. – Mam dość patrzenia, jak sobie pieprzysz życie.

– Kompania Wściekłych, hu, hu! – krzyczę z łóżka. Leżę na plecach. Kiedy unoszę pięść w niby-salucie, jak często robiliśmy w żartach, słyszę, że klnie pod nosem i wydaje mi się, że to przez ręcznik, który leży pod drzwiami. Pewnie o nim zapomniał, drzwi się na nim zablokowały i jest za mało miejsca, żeby przejść. Mnie się to zdarza za każdym razem. – Kompania Wściekłych... – szepczę. – Hu, hu...

Samantha

– Cześć – mówię, przesuwając się na kanapce pokrytej purpurowym welurem. Pamiętam, jaką nowością wydawały mi się te kanapki, gdy pojawiły się pierwsze lokale Starbucksa.
– No, no. – Craig zdejmuję marynarkę, składa ją na pół i układa tak, żeby się nie pogniotła. – Udało ci się zająć kanapę. Szczęśliwy dzień. Zaraz wracam.

Faktycznie wraca w mgnieniu oka i ustawiamy między nami talerzyk z orzechowym ciastkiem. Czytałam, że to ciastko zjedzone do herbaty z mlekiem dostarcza całodzienną dawkę kalorii.

– No i co nowego? Jak się udało wczorajsze spotkanie? – pytam między kęsami.

– Całkiem dobrze. Chodziło zresztą bardziej o gest niż cokolwiek innego. Grzeczność wobec kolegi. Nic ważnego. Znacznie bardziej wolałbym mówić o tobie. Jesteś moim ulubionym tematem. Jak tam Cammy?

– Och, nie wiem... – Wieje dziś bardzo i zabłąkany włos przykleił mi się do twarzy, łaskocze w nos. Nie mogę go znaleźć, ale gdybym spróbowała uwolnić się od niego, to wyglądałoby to tak, jakbym dłubała w nosie. Do toalety jest kolejka, a nie chcę tracić czasu na patrzenie w lustro, więc daję sobie spokój. Tyle że strasznie mi to przeszkadza.

– O, tu jest – mówi Craig. Wyciąga rękę, palcami chwyta włos i zdejmuje mi go z twarzy.

Nie jestem pewna, czy się nie zaczerwieniłam, więc spuszczam wzrok i bawię się wyciągniętą nitką w swetrze.

– Dzięki – bąkam.

– Wiesz co? – pyta Craig. – Właśnie kupiłem bilety do RPA.

Wycieczka połączona z degustacją win. Jadę z moim ojcem. Wiesz, jak dawno o tym marzyłem? Jestem taki podekscytowany.

Naprawdę. Próbuje namówić Evie, żeby podczas mojej nieobecności wybrała się gdzieś z koleżankami. Moja mama mogłaby zaopiekować się Lexi...

– To wspaniale. Nie wiedziałam, że planujesz coś takiego.

Naprawdę świetnie.

– Nie sądziłem, że nam się to uda. Mojego ojca strasznie trudno do czegoś namówić. Dlatego nawet o tym nie wspomniałem. –

Mówi to tak, jakby poczuł się winny, że nic mi nie zdradził.

– Przestań! Nie musisz mi wszystkiego mówić. – Czuję się odrzucona, co doskonale widać po mnie. – Znakomita wycieczka.

– Uśmiecham się z trudem. Szkoda, że ja także nie mogę

zaplanować jakiejś podróży. Może zresztą bym mogła, tyle że i tak nic z tego nie wyjdzie. Nie z Bobem.

– Ale to robię – odzywa się Craig.

– To znaczy co? – upewniam się.

– Mówię ci wszystko.

Strząsam niewidoczne okruszki z kolan.

– No cóż...

– To prawda. Sama tylko pomyśl, opowiadam ci o wszystkim.

Serce zaczyna mi bić szybciej, ale przestaję na to zwracać uwagę, gdy Craig zniemacka pochyła się w moją stronę.

– A gdybyśmy się pocałowali... nie bój się, nie tutaj. Muszę cię pocałować. Muszę. – Podnosi się i gestem zachęca mnie, żebym poszła za nim.

Zdrada to nasz własny wybór. Gdzieś to przeczytałam i teraz wreszcie rozumiałam sens tych słów. Wstaję i patrzę, jak Craig wskazuje na chodnik, dając mi do zrozumienia, że poczeka tam na mnie. Rozglądam się po zatłoczonym lokalu, ale nie wydaje się, by ktoś zauważył, że za chwilę ma nastąpić coś tak istotnego.

Mogę jeszcze zmienić bieg wydarzeń i postąpić właściwie. To ten moment, do którego będę wracać myślą jak do punktu zwrotnego w swoim życiu. Powinna ogarnąć mnie niepewność czy może strach, wątpliwości lub poczucie winy.

Powinnam się zawahać, rozważyć ucieczkę bocznym wyjściem.

Tymczasem wyrzucam kubek z kawą do kwadratowego otworu pojemnika na śmieci. Mam wrażenie, że przyglądam się sobie z góry. Zwyczajna kobieta zwykły dzień robi coś zwyczajnego.

Przyglądam się, jak dokonuję wyboru. Żadnych błyskawic ani boskiej interwencji.

– Wszystko w porządku? – pyta Craig.

– Muszę pozbyć się smaku kawy.

Biorę torebkę i szukam gumy do żucia lub miętowego cukierka. W końcu znajduję tic taca, ale muszę mocno postukać pudełkiem, bo jest tak stary, że się przykleił.

Czyżbym miała wyrzuty sumienia? Czyżbym zaczęła rozważać konsekwencje zwykłego pocałunku? Hej, co się dzieje?

Craig wyciąga do mnie rękę.

– Pozwól. – Przytrzymuje mi drzwi.

Wychodzę za nim i już przy drugim kroku, dokładnie naprzeciwko wystawionej w oknie krzykliwej reklamy kawy mrożonej frappuccino, włożę na gumę do żucia. But dosłownie przylepia mi się do chodnika, a ja wykonuję niezręczny ruch, jaki zwykle robimy, gdy chcemy uniknąć potknięcia się.

– Poczekaj, zatrzymaj się – wołam za Craigiem. Kawalek gumy jest wielki i aż trudno uwierzyć, że mógł się zmieścić komuś do ust. Ocieram but o płyty chodnika, ale zyskuję tyle, że lepkie pasma unoszą się i przylegają do buta, więc teraz już nie tylko podeszwę mam brudną, ale cały prawy pantofel. Połowa ulubionej pary czarnych szpilek, które kupiłam na wyprzedaży u Saksa, gdy poznałam Craiga i nagle poczułam się seksowna.

– Nie mogę się tego pozbyć!

– Słyszałem, że dobrze jest użyć wody z lodem – mówi. – Zaraz wracam.

Wchodzi ponownie do Starbucksa, a gdy zamykają się za nim szklane drzwi, podnoszę wzrok i widzę Lynn, która zmierza w moim kierunku i śmieje się z przedstawienia, które daję, próbując pozbyć się przylepionej do buta gumy.

– Ktoś chyba nie chciał, żebyś poszła tam, dokąd się wybierałaś – żartuje.

Zamieram i patrzę na nią badawczo. Czyżby zobaczyła mnie z Craigiem? O Boże, on tu za chwilę wróci. Może kiedy zobaczy, że rozmawiam z Lynn, będzie wiedział, że powinien się zatrzymać. A jeżeli będzie patrzył pod nogi albo popchnie drzwi plecami, próbując nie rozlać kawy i wody z lodem? Proszę, Boże, niech wyjdzie drugimi drzwiami.

– Co ci się, do diabła, stało? – dziwi się Lynn. – Wyglądasz, jakbyś wpadła w panikę.

– W panikę? No co ty? Jestem wkurzona, że mam gumę na bucie. Facet sprzedający gazetę redagowaną przez bezdomnych zaczyna wykrzykiwać:

– „Streetwise”, „Streetwise”! Jeden dolar!

Autobus trąbi na zdezelowaną toyotę camry, którą ktoś zaparkował na samym środku przystanku. Przed autobus wciska się wielki lśniący czarny samochód terenowy z opuszczonymi szybami. Mam wrażenie, że w brzuchu czuję niskie dźwięki hip-hopowej piosenki.

– Ładnie dzisiaj wyglądasz – mówi Lynn. – Dokąd się wybierasz?

– Muszę iść. – Uwalniam stopę, choć wiem, że to beznadziejne, bo przyklei się przy następnym kroku. – Mam z tysiąc spraw...

– Zadzwoń do mnie. – Przykłada kciuk i mały palec do twarzy. – Ale na komórkę, bo Mike ma wieczorem telekonferencję.

– To do usłyszenia!

Biegnę do samochodu. Gумы nadal się nie pozbyłam, ale już mnie to nie obchodzi. Na dnie torebki dzwoni komórka. Przewracam wszystko, żeby ją znaleźć, zanim włączy się poczta głosowa.

- Niewiele brakowało – mówi Craig.
- Gdzie jesteś?
- W samochodzie. Spójrz na drugą stronę ulicy. Jesteś gotowa? Dobrze, to jedź za mną.
- Dokąd? Na wypadek, gdybyśmy się rozdzielili.
- Do przystani Montrose. Na sam koniec, tam gdzie chodzą rybacy.
- No, no... Nie musiałeś się długo zastanawiać, żeby wymyślić miejsce.
- Wiem, co podejrzewasz, ale to nie tak. Po prostu jeżdżę tam, kiedy muszę spokojnie pomyśleć. To taka moja wyspa, o której nikt nie wie.

Minęliśmy supermarket Jewel, tuż obok jest otwarta przez całą dobę apteka. Po południowej stronie, przy zaniedbanym placu zabaw, jest KFC, przed którym demonstruje grupa obrońców praw zwierząt z transparentami nawołującymi do bojkotu sieci.

Składany stół, na którym leżą ulotki, jest oklejony plakatami przedstawiającymi dręczone na fermach kurczaki. Światła zmieniają się, ale nie mogę oderwać oczu od okaleczonego ptaka. Jak ludzie mogą być tak okrutni? Jak można w ten sposób traktować żywe stworzenie?

– Masz zielone – słyszę w komórce głos Craiga. – Wszystko w porządku? Czy może zmieniłaś zdanie?

– Dlaczego? A ty zmieniłeś?

– Nie, w żadnym razie.

Przyptyw endorfiny spycha problem kurczaka na dalszy plan.

– Ja też nie. Czy mam zaparkować obok ciebie?

– Tak.

Przez okno pokazuje mi, żebym przyszła do jego samochodu.

Sięgam po torbę, która leży na fotelu pasażera. Sprawdzam, czy ustawiłam dźwignię biegów na parkowanie. Jeszcze kluczyki.

Zabieram je, ale zaraz ponownie wkładam kluczyk do zapłonu.

Możliwe przecież, że jak Bonnie i Clyde będziemy musieli salwować się ucieczką. Podnoszę rękę, żeby przygładzić włosy. Na zewnątrz zrywa się wiatr, a ponieważ jesteśmy nad samym jeziorem, czuję wodny pył rozbijającej się fali.

Drzwi auta Craiga otwierają się z trudem, po czym zamykają się tak, jak to zwykle bywa w drogich niemieckich autach, odcinając nas od tego, co dzieje się na zewnątrz. Grube szyby odgradzają nas od szumu fal, ale nie od dalekiego wycia alarmu samochodowego.

– No chodź – mówi Craig, pochylając się w moją stronę.

Wrzucam klucze do miski na stoliku w holu i spoglądam do lustra. Wsuwam włosy za uszy, wygładzam bluzkę i palcem dotykam kącików ust, ścierając rozmazaną szminkę. Weź się w garść, Sam.

– Mamo! Cammy wymiotuje!

– Już idę. – Patrzę sobie w oczy. Dasz radę, myślę.

Upewniam się, że starłam rozmazany tusz, i wchodzę po schodach. Wracam do swojego życia.

– Andrew, przynieś mi myjkę z suszarki, dobrze? A skoro już tam jesteś, wyjmij całe pranie i je poskładaj.

– Dlaczego mam składać? To kolej Cammy...

– Uważasz, że Cammy będzie mogła składać pranie?

– Mamo... – Cammy trzyma głowę nisko nad miską klozetową, więc jej głos brzmi głucho. I dziecinnie.

Przychodzi mi do głowy, że torsje mają właściwości uspokajające. Trudno pyskować, gdy się wymiotuje.

– Jestem tu – mówię. – Zjadłaś coś nieświeżego? Ostatnio często ci się to zdarza... Wezwę lekarza.

– Nie! Nie potrzebuję lekarza. Nie dzwoń, proszę.

– Obawiam się, że nie ma innego wyjścia, kochanie. Myślisz, że możesz iść do łóżka i położyć się na chwilę? Może wtedy poczujesz się trochę lepiej, skarbie.

– Mamo, przepraszam. – Głowę wciąż trzyma nisko pochyloną, więc jej głos wydaje się bardzo daleki. – Moje plecy... Tak strasznie mnie swędzą. Możesz podrapać? Boże, niech to przestanie swędzieć. – Słowa odbijają się od porcelany.

– Wszystkim zdarza się chorować i nie ma za co przepraszać, kochanie. Pośrodku? Gdzie cię swędzi? Niech no spojrzę, może masz wysypkę. Jezu! Co to za czerwone ślady? O mój Boże...

– Oj... – Zaczyna wymiotować. – Musiałam się podrapać. Musiałam.

– To jest całe rozkrwawione, Cam! Czym to drapałaś?

– Tym – odpowiada za siostrę Andrew, podnosząc duży widelec do makaronu.

– Mój Boże. No już, już, spokojnie. Pomasuję cię, o tak. Kiedy się to zaczęło?

– Co się dzieje z toaletą? – krzyczy z głową nad wodą. – Co to za wiry? Co tu się dzieje? Ta woda do mnie mówi!

– Uspokój się! Co ty pleciesz, Cammy? Nic się nie dzieje, nawet nie spuściłam wody.

Nie słucha mnie, tylko jękliwie powtarza:

– Przepraszam, przepraszam...

Po czym niespodziewanie przestaje jęczeć i wybucha śmiechem.

– Co cię tak rozbawiło? I za co przepraszasz? Jezu, co w tym śmiesznego? Przerażasz mnie, Cammy.

– O Boże... Woda właśnie mi powiedziała, że podłoga jest piękna. Nigdy na to nie zwróciłam uwagi. A podłoga faktycznie jest niesamowita. Sama popatrz. – I znów zaczyna mamrotać: – Przepraszam, przepraszam...

– Jesteś chora, skarbie. Nie musisz za to przepraszać...

– Ona nie za to przeprasza – mówi Andrew, stając w drzwiach.

– Andrew, wynoś się stąd!

Kiedy Cammy tak wrzeszczy, wcale nie wydaje się chora, ale zaraz łapią ją suche torsje.

– Idź skończyć składanie rzeczy. – Odwracam się do Cammy. – O czym on mówi, Cam? Za co przepraszasz?

– Tylko się nie złość, dobrze? Będziesz zła. Nie wściekaj się. O Boże, jak to cholernie swędzi! Nie złość się, proszę.

Chyba nie ma rodzica, który nie zawarłby takiego paktu z diabłem. Chcesz poznać prawdę, więc zgadzasz się na niemożliwe rzeczy, bo zdajesz sobie sprawę, że to, co zaraz usłyszysz, jest tak samo ważne, co irytujące. Wszyscy rodzice wpadają w tę pułapkę. Jeśli powiem, że nie mogę ci tego obiecać, dziecko zamknie się w sobie i nigdy nie dowiem się prawdy.

– Nie będę się złościć.

– Słowo? – Znowu wstrząsają nią torsje.

A ja oczywiście mówię:

– Słowo, Cammy, przysięgam.

– Od brokułów robimy się zieloni. Woda mi to zdradziła w sekrecie.

– Powiedz mi, Cam. – To musi być delirium. Tylko to przychodzi mi do głowy.

– Spróbowałam tylko ten jeden raz.

– O czym ty mówisz?

Unosi głowę.

– Widzisz? Wiedziałałam, że będziesz wściekła. A obiecałaś, że nie będziesz. Ta podłoga jest przekomiczna. Nigdy wcześniej nie zauważyłam. Płytki wskazują czas. I są tak idealnie ułożone. W każdym trójkącie dziesięć kwadracików. Czy taki był zamiar? Pięknie.

– Jezu, Cammy, powiedz wreszcie, co się dzieje. Czego tylko raz spróbowałaś?

– Skończyłam – mówi Andrew od drzwi.

– Idź stąd! – krzyczymy jednocześnie.

– Woda znowu wiruje. Zatrzymaj ją! Nie spuszcza! Wciągnie mi włosy!

– Cammy, naprawdę mnie przerażasz. Nie spuściłam wody. Jedziemy na pogotowie. Andrew, przyprowadź brata.

– Grzyby! – krzyczy Cammy.

Dźwięk dociera do mnie, ale nadal nic nie pojmuję. Milczę, próbując zrozumieć sens tego, co usłyszałam. Niby rozumiem słowa, ale nic więcej...

– Wzięłam grzyby.

Puszczam jej głowę i opieram się o chłodną ścianę.

Patrzy na mnie przez wiszące w strąkach włosy. Dopiero teraz zauważam, jakie są brudne, niemyte od kilku co najmniej dni. A takie włosy trzeba myć codziennie. Przez czarną farbę prześwituje biała skóra głowy. Kiedy przyglądam się uważniej, widzę łyse placki. Przerzedziły jej się włosy. Wyciągam rękę i ze zdumieniem stwierdzam, że choć wydają się takie kruche, w dotyku nadal są jedwabiste.

– Jedziemy do szpitala – mówię. – Andrew, zadzwoń do pani Shapiro i poproś, żeby przysłała.

– Chodzi o opiekę nad nami? – pyta Andrew. – A nie może przyjść Melissa? Chcemy Melisę. Nie znosimy pani Shapiro.

Ostatnio chłopcy występują jako jedność. My nie lubimy brukselki. My chcemy iść do Tommy'ego.

– Zrób, o co proszę! – Odwracam się do Cammy. – No, musimy przetransportować cię do samochodu. Możesz wstać?

– Nie! Nie ruszaj mnie! Nie chcę jechać do szpitala. Nie muszę tam jechać, mam. Pozwól mi tu zostać, proszę. Wodzie będzie smutno, poczuje się samotna.

– Muszę zadzwonić. Zaraz wracam.

Pędzę na dół do lodówki, gdzie wisi lista telefonów alarmowych przyczepiona do drzwi magnesem z Mount Rushmore. Przesuwam palcem, aż trafiam na telefon pani Shapiro, starszej sąsiadki, do której dzwonię w sytuacjach, gdy naprawdę nie mam innego wyjścia. Jest skwaszoną plotkara, która do spódnicy nosi sięgające kolan legginsy, ale można na niej polegać, a zresztą nie mam wyboru.

Po kilku minutach pani Shapiro bez pukania otwiera drzwi.

– Samantha? – Kuśtykając, wchodzi do środka. – Co się dzieje?

Zapomniałam, że przechodziła operację biodra. Stoję przy telefonie i czekam na zgłoszenie się rejestratorki w pogotowiu. W słuchawce leci „Niedziela, krwawa niedziela”. Ciekawe czy U2 wiedzą, jak psuje się ich piosenkę? Mam wyrzuty sumienia, że

zmusiłam panią Shapiro do pośpiechu, bo przecież nie powinna wykonywać żadnych czynności w takim tempie.

Unoszę palec, gdy do telefonu podchodzi dyżurna pielęgniarka. Jej głos, w przeciwieństwie do mojego, tchnie spokojem. Dla niej jestem jeszcze jedną niecierpliwą hipochondryczką.

– Proszę opisać objawy – żąda.

Szybko osłaniam dłonią usta, żeby pani Shapiro nie mogła słyszeć, co syczę w słuchawkę.

– Moja córka zażyła grzyby.

– Można z nią nawiązać kontakt?

– Tak, można. Mówi, ale ma halucynacje. I cały czas wymiotuje. Nie, nie widać krwi. Chwileczkę... Andrew, idź na górę i spytaj Cammy, czy wymiotowała krwią.

– Fúj, ohyda.

– Idź! – krzyczę. – Przepraszam. Jest tam pani? O, dobrze. Czy powinnam z nią przyjechać na dyżur?

Pani Shapiro siedzi w kuchni. Ręce złożyła na kolanach, jakby ją posadzono przy zarośniętym brudem stole. Spojrzeniem lustruje szafki i blaty, szukając okruchów. Minę ma taką, jakby nie podobało jej się to, co widzi. Cóż, mnie również się nie podoba.

– Tak, jestem – mówię do słuchawki. – Aha, aha... Jest pewien? Dziękuję bardzo. Oczywiście, dziękuję. Do widzenia.

– Mówi, że nie wymiotowała krwią. – Andrew bez tchu wpada do kuchni. – Ale cały czas rzyga.

Pani Shapiro podnosi się. Widzę, że znów ma na sobie podkolanówki. Ta na lewej nodze zsunęła się. Wygląda tak biednie.

– Zjadła coś nieświeżego? – pyta.

– Nie jestem pewna. Przepraszam, że panią wezwałam tak niespodziewanie, pani Shapiro. Dziękuję, że zechciała pani przyjść, ale zdaje się, że to fałszywy alarm. Lepiej wróć na górę. Może chłopcy odprowadzą panią do domu.

– Dam sobie radę. Woda sodowa i krakersy zwykle na to pomagają. Zostanę, jeśli pani chce. Pomogę pani z wielką przyjemnością.

Nic nie sprawia jej większej przyjemności niż tragedia w sąsiedztwie. Jeszcze tylko tego nam trzeba, aby wszyscy wokół dowiedzieli się, że Cammy zażywa twarde narkotyki.

– Nie, dziękuję. – Zostawiam ją i idę w kierunku schodów, a po chwili mówię do Cammy, która siedzi w łazience skulona na podłodze i obejmuje miskę klozetową:

– Masz szczęście. Okazuje się, że nie musisz jechać do szpitala.

– Jest dwadzieścia jeden kwadracików w każdym trzech rombów. Tyle że to nie ma sensu. Jak się zastanowić, to wydaje się cholernie śmieszne. Dwadzieścia jeden. Rozumiesz? – Głos ma schrypnięty, jest wyczerpana i osłabiona.

– Nie, nie rozumiem – mówię z wysiłkiem. – Powiedz mi, jak?

– Co jak?

– Jak to się stało? I kiedy?

– Mówiłaś, że nie będziesz zła. Moje plecy. Proszę... Tak strasznie mnie swędzą. – Odsunęła się od toalety, żeby sięgnąć po widelec.

– Jak mam nie być zła, kiedy moja szesnastoletnia córka zażywa grzyby? Jezu Chryste, Cammy. Jezu Chryste. Podnieś się i idź do łóżka. Zaraz do ciebie wrócę. Musisz wiedzieć, że torsje to nic w porównaniu z tym, co się zacznie.

– Powiesz o tym tacie? – Zaczyna się śmiać histerycznie. Błyskawicznie przechodzi od przygnębienia w stan ekstazy.

– Oczywiście, że powiem. Zdajesz sobie sprawę, w jakie kłopoty się wpakowałaś? Skąd wzięłaś narkotyki? Co? Z kim je brałaś?

– Mamo, proszę. Tak źle się czuję.

– Nie obchodzi mnie. Możesz nawet wypluć sobie płuca. Powiedz, skąd wzięłaś narkotyki.

– Nie możemy pomówić o tym później? Proszę, mamo. Jaka jest twoja ulubiona piosenka? O Boże, nawet nie znam twojej ulubionej piosenki. Daj mi się zastanowić. James Taylor? Któraś z jego piosenek? Ale zabawne. – Śmieje się jak szalona. – Chciałabym wiedzieć, którą piosenkę najbardziej lubisz, mamo. Samantha. Czy kim tam jesteś. Pogadamy później, dobra?

– Już jest później. Lepiej się nie poczujesz, więc równie dobrze możesz powiedzieć mi teraz, zanim będzie jeszcze gorzej. Kto dał ci narkotyki, Cameron?

– Paul. Nie znasz go.

– Gdzie on mieszka? Czy jego rodzice byli w domu?

– Nie wiem, gdzie mieszka. Spotykamy się tylko na parkingu.

– Na parkingu?

– Przy bibliotece. Oj, znowu będę wymiotować. Ale boli mnie brzuch.

– Więc za każdym razem, gdy prosiłaś, żeby cię podrzucić do biblioteki, brałaś narkotyki z tym Paulem? A w zeszłym tygodniu, kiedy wymiotowałaś... O Boże, Cammy, ile czasu to trwa? Opiera policzek o sedes i przez ułamek sekundy jest mi jej żal, ale szybko mi mija.

– Wcześniej to nie były grzyby – mówi. – Boże, chciałabym już wszystko zwymiotować i mieć to za sobą.

- Połóż się do łóżka. Nieważne, że możesz zabrudzić pościel. Idź już do tego cholernego łóżka. Zaraz wrócę i się tym zajmę.
- Mówiłem ci, że będzie zła – odzywa się Andrew, który najwyraźniej przez cały czas stał za nami.
- A ty zawołaj brata. Zejdźcie na dół i zastanówcie się, jak możecie pomóc przy obiedzie. Na przykład nakryjcie do stołu.
- Dlaczego musimy to robić? Dlaczego my jesteśmy ukarani za coś, co zrobiła Cammy? To niesprawiedliwe.
- Zamówcie pizzę, jeśli chcecie. Wszystko jedno. Pieniądze są w moim portfelu. Zajmij się tym, Andrew. Numer jest wpisany w pamięci telefonu.
- Super. – Po chwili słyszę go, jak dzwoni. – Mamo! – woła. – Jaka mam zamówić?
- Średnią.
- Jesteśmy głodni, możemy wziąć dużą? – krzyczy Jamie.
- Przyjmij do wiadomości, że od tej pory twoje życie się zmieni. Koniec i kropka! – mówię do Cammy.
- Wlecze się do łóżka i próbuje wsunąć się pod kołdrę. Muszę się powstrzymać, żeby jej nie pomóc. Litość jej nie pomoże, wywoła tylko stan frustracji.
- Ten facet mówi, że średnia ma tylko osiem kawałków – krzyczy Andrew. – Możemy wziąć dużą? Umieramy z głodu!
- Dobrze, zamów dużą. I poproś o sałatkę.
- Z jakim sosem?
- Winegret!
- Wiem, że mnie nienawidzisz – mówi Cammy. – Kurde, ale mnie swędzi!
- Rozglądam się i przez krótką chwilę widzę się tak, jakbym patrzyła na siebie z boku. Jak ja się tu znalazłam? Siedzę po turecku na podłodze w łazience, mam należąca do subkultury gotów naćpaną córkę, niezdarzącego sobie z niczego sprawy męża, niecierpliwie bliźniaki. Gdzie, do diabła, popełniłam błąd? Co się do cholery stało?
- Ja pieprzę. Czuję się, jakbym pływała.
- Język, Cammy.
- Przecież nie przeklinam. A może tak? Boże, nie wiem, czy to jawa, czy sen? Naprawdę tu jesteś czy to jakiś gówniany Matrix? Zdaję sobie sprawę, że nie dotrze do niej nic z tego, co mówię, ale mimo to próbuję:
- Nie nienawidzę cię. Nie wiem nawet, od czego zacząć. Kiedy to się zaczęło? Kiedy stałam się dla ciebie wrogiem?

– Nie jesteś wrogiem. To ściany są wrogiem. Ty tego nie widzisz, ale tylko czekają, aż wyjdiesz, żeby mnie zmiażdżyć. O, już do mnie mrugają. O Boże, mam, nie wychodź. Ty jesteś sprzymierzeńcem, a nie wrogiem...

– Ach tak? Bo wiesz, zwróciłam uwagę na dzwonek, który przypisałaś do mojego numeru. Marsz żałobny. Wszyscy inni mają jakiś rap, piosenkę, ale nie ja. A kiedyś miałam Avril. I mówiłaś mi o wszystkim.

Przecież to śmieszne, by tłumaczyć coś komuś, kto postradał zmysły, więc co ja wyprawiam?

– Nie muszę ci ciągle wszystkiego opowiadać. Nie jestem już dzieckiem. A poza tym... nieważne.

– Co? Co poza tym?

– Poza tym nie jesteś moją prawdziwą mamą, jasne? Ale nie przejmuj się. Chociaż dla ciebie to i tak nie ma znaczenia. – Rzuca tym, jakby to był mały kamyczek, a ja mam wrażenie, że spuściła mi na stopy wielki głaz. Sięga za głowę, żeby poprawić poduszkę, i dodaje: – Gdzieś tam jest moja rodzona matka. Nigdy nie chcieliście, żebym ją znalazła.

– Czy właśnie o to w tym wszystkim chodzi? Chcesz znaleźć biologiczną mamę i myślisz, że my z ojcem nie zgodzimy się na to?

– Nie wiem. No tak, chyba. Nie wiem... – Zaczyna jęczeć. – Będę rzygać.

– Wezmę kosz na śmieci. Proszę. Przechyl się poza brzeg łóżka... Już dobrze.

Wymiotuje żółcią. Pielęgniarka mówiła, że w ten sposób organizm próbuje pozbyć się narkotyku.

– Cammy, tylko raz mówiłaś o szukaniu biologicznej mamy. To było wtedy, gdy dowiedziałaś się, że cię adoptowaliśmy. Uciekłaś do Andersonów i powiedziałaś, że nie wrócisz, dopóki ci nie powiemy, gdzie ona jest. Ale jeżeli chcesz jej poszukać, możemy o tym porozmawiać.

– Akurat! Niby co, mam uwierzyć, że naprawdę chcecie, bym się dowiedziała? A gdybym już ją odnalazła?

Patrzę na nią uważnie. Czy możliwe, że faktycznie ją odszukała? Ale niby jakim cudem? Przecież te dane miały być całkowicie tajne. Z pewnością blefuje.

– Kochanie, w ten sposób nie da się tego załatwić – mówię.

– Co to niby ma znaczyć?

O, to jest już zwykła Cammy. Ze swoim zwykłym zachowaniem. Ten ton oznacza początek kłótni. Najlepiej uspokoić Cam, dać jej do zrozumienia, że nie pozwolę się sprowokować.

– Zajmijmy się sprawą narkotyków.

– Wydaje mi się, że zniknęłaś.

Zaczyna płakać, więc uspokajająco głaszczę ją po włosach.

– Nie wciskaj mi kitu, Cammy. Wiele dzieci czuje się czasem samotnie, wiele adoptowanych dzieci chce odnaleźć biologicznych rodziców, ale to nie znaczy, że łykają pigułki lub zażywają grzyby. Idę teraz na dół, ale zaraz tu wrócę.

Po chwili dzwonię do Boba.

– Właśnie jadę do domu – mówi. – Chcesz, żebym coś kupił po drodze?

– Może piwo imbirowe i słone krakersy.

– Oho! Ktoś jest chory?

– To coś więcej... Opowiem ci, kiedy przyjedziesz. Długo to potrwa?

– Dziesięć minut.

Czterdzieści minut później wjeżdża na podjazd. Czekam na niego w progu.

– W Białej Kurze były tylko te cienkie pszeniczne, więc musiałem pojechać do Jewel – wyjaśnia, z trudem łapiąc oddech. – Co się dzieje?

– Porozmawiajmy tutaj. Nie chcę, żeby słyszeli.

– Jezu Chryste, co się stało?

– Cammy zażyła grzyby.

Bob siada ciężko na schodkach, a ja do niego dołączam.

– To znaczy halucynogenne? Jak te na Woodstock?

– Tak, jak te na Woodstock. Mówi, że to pierwszy raz, ale wcześniej musiała przyjmować jakieś pigułki. – Zaczynam płakać. Kiedy powiedziałam to na głos, stało się strasznie realne.

– Nie mogę w to uwierzyć – mówi Bob. – Może trzeba zrobić płukanie żołądka? Nie powinna być w szpitalu?

– Dzwoniłam do przychodni i pielęgniarka powiedziała, że skoro Cammy mówi i jest z nią kontakt, nic jej nie będzie. – Wycieram nos w rękaw.

– Nie mogę uwierzyć – powtarza Bob, trzymając się za głowę. – Co my teraz zrobimy?

– Nie wiem. – Mam wrażenie, że moja głowa stała się za ciężka, by szyja mogła ją utrzymać. – Jeszcze nie zdążyłam ci powiedzieć reszty.

– To jest jeszcze jakaś reszta? Co, na Boga? Wstrzykuje sobie heroinę?

– Oznajmiła, że chce znaleźć prawdziwą matkę. Myśli, że jesteśmy temu przeciwni. Poddaję się. Nie wiem, co z tym zrobić.

– Cholera jasna...

Odwracam się do Boba, opierając plecy o niski ceglany murek, który okala schodki prowadzące z podjazdu do frontowych drzwi. Rękę mam opartą o zgięte kolano i nagle uświadamiam sobie, że wyglądamy jak para, która spędza wieczór na miłej rozmowie. Na trawnik wbiega wiewiórka. Waha się na nasz widok, po czym powoli zbliża się do pozornie przypadkowej kępki trawy i zaczyna kopać. Po każdym ruchu zatrzymuje się, a w końcu pochyła łeppek do dołka i wyciąga coś, co wygląda jak łupina włoskiego orzecha. Wskakuje na pień i biegnie do góry, co pewien czas przytulając się płasko do kory. Łup cały czas trzyma w pyszczku.

Z drugiej strony ulicy machają do nas państwo Rowlandowie. Pobrali się ponad czterdzieści lat temu i nadal każdego wieczoru chodzą pod rękę na spacer, jeśli tylko pozwala na to pogoda. Macham do nich z uśmiechem i myślę sobie, jakie to wszystko dziwne. Moja córka leży załamana na górze, moi synowie prawdopodobnie bawią się w domu zapałkami lub nożami, ja wdałam się w jakiś trudny do określenia związek z innym mężczyzną, a Rowlandowie idą na wieczorny spacer, sądząc, że spędzamy miły wieczór.

– Przejdzie jej, jak się wyśpi. – Bob podnosi się i otrzepuje z kurzu siedzenie.

– Wiesz, że będziemy musieli coś z tym zrobić.

– Jasne, wiem.

– No więc? Co zrobimy?

– Mam tyle... tyle... – Głos mu się załamuje. W ogóle mówi tak dziwnie. Zaniepokojona wstaje.

– Co się stało? Źle się czujesz?

– Nie mogę... Ja... nie mogę... Nie wiem, co się ze mną dzieje, Sam. – Głowa mu opada.

– O co chodzi? Kochanie? – Nie pamiętam, kiedy ostatnio zwracaliśmy się tak do siebie, ale teraz przychodzi to automatycznie. Z braku lepszego pomysłu głaszczę go po plecach.

– Coś mi się stało – mówi.

– Masz napad paniki – mówię, kierując się do drzwi. – Zostały ci jeszcze te tabletki?

– Nie wiem, co się dzieje... Nie wiem, może. Nie mogę oddychać.

– Idę ich poszukać. Usiądź tu. Zaraz wracam.

Minęło już wiele lat od ostatniego ataku. A miał ich kilka. Właśnie wróciliśmy z chłopcami ze szpitala. Dwa lub trzy tygodnie później zaczęło mu brakować oddechu i z salonu zobaczyłam, jak chwytą się blatu w kuchni. Chwilę wcześniej wypisał godziny karmienia

na wykresie, który ułożyłam, żeby pilnować, który z bliźniaków już jadł. Fakt, było to dość skomplikowane. Pamiętam, jak się zezłościłam, że dramatyzuje, gdy tymczasem to ja służę za mleczną krowę. Jednak kiedy padł tak bezwładnie i ledwie dyszał, myślałam, że to atak serca. Podniosłam się z Jamiem wiszącym mi u piersi i dowlokłam się do telefonu, żeby zadzwonić na pogotowie. Jamie wyczuł mój strach i zaczął płakać. Po chwili do brata dołączył Andrew. Przekrzykując wrzaski dzieci i mój płacz, dyspozytorka powiedziała, żebym włożyła Bobowi aspirynę pod język. To jednak nie pomogło, więc przysłali karetkę. Bob wrócił do domu po pięciu godzinach. Okazało się, że przeszedł napad paniki. Żył w zbyt wielkim napięciu.

Pamiętam, jak mruczałam do siebie:

– Zbyt wielkie napięcie? Ty? A co ja mam niby powiedzieć?

Miałam do niego straszny żal. W głębi duszy podejrzewałam, że symulował, by się wykręcić od pomocy przy dzieciach. Jednak od tamtej pory zawsze mamy w domu tabletki. Na wypadek gdyby atak miał się znów powtórzyć.

Ale wróćmy do chwili obecnej. Przeszukuję dolną szufladę w szafce pod umywalką po jego stronie i znajduję tabletki, o których zawsze myślę, że to jakieś placebo. Fiolka wciśnięta między lek na żołądek a pudełko plastrów. Biegnę do kuchni po wodę i z powrotem do Boba.

– Proszę – podaję mu dwie tabletki i szklanekę.

Siedzi na górnym stopniu, jakby bał się, że zaraz spadnie. Łyka tabletki, a ja siadam obok.

Nie wiem, ile czasu tak siedzimy. Piętnaście minut? Pół godziny?

Powinnam głaskać go po plecach, uspokajać, mruczeć, żeby się nie martwił, bo wszystko będzie dobrze, ale nie robię tego.

Siedzimy w milczeniu.

Craig z pewnością wiedziałby, co w tym momencie należy zrobić. Założę się, że on nigdy nie miał napadu paniki. To podłe z mojej strony, bo jestem pewna, że Bob nie udaje. Wolałabym tylko, żeby przez te ataki wszystkie obowiązki nie spadały na mnie. Nie mogę przestać ich porównywać. Craig na pewno nie powłókłby się do domu, jak to właśnie zrobił Bob, tylko został ze mną na ganku i razem zastanawialibyśmy się, jak wybrnąć z beznadziejnej sytuacji. Albo od razu wszedłby na górę do pokoju Cammy, a nie odwieszał kurtkę i ostrożnie zdejmował buty, jak to robi Bob w holu. A może nawet kazałby córce zejść na dół.

– Dość tego – powiedziałyby. – Koniec tej zabawy.

I zamiast jak Bob wkładać te wstretne sandały, w których wygląda jak niemiecki turysta, poinformowałby ją, że my tu rządzymy i my będziemy teraz o wszystkim decydować.

Cammy

Nie wiem, czemu tak świrują. Zupełnie jakby nie wiedzieli, że to nastąpi. Na miłość boską, przecież byłam cholernym uzależnionym płodowo bachorem. Urodziłam się z tym szajsem we krwi. Więc to była tylko kwestia czasu. „Jaka matka, taka córka”. Nie wiem, kto to napisał na mojej szafce, natomiast wiem, że już nigdy nie zaufam Ricky’emu. Zarzeka się, że nikomu nie powiedział o liście, ale jest jedyną osobą, która poznała prawdę o mojej matce. Naprawdę uważa, że jestem taka głupia? Zerwałam się z biologii, żeby to zmyć. Nie wiem, czym to zostało napisane, ale wyczyszczenie szafki zajęło mi całe pół godziny. Wciąż można zobaczyć ślady wyrazów. Nie sądzę, żeby dało się je usunąć, ale postaram się pamiętać, że mam przynieść z domu płyn do czyszczenia.

Dziś rano po tym, jak zobaczyłam szafkę, minęłam Ricky’ego bez słowa. Wyglądał, jakby czuł się winny. Doskonale wiedział, czemu się nie odezwałam. Ruszył obok mnie biegiem.

– Wiem, co myślisz, ale przysięgam, że nic nie powiedziałem.

Nie zatrzymałam się. Ale z niego załgany gnój!

– To pewnie dlatego, że masz już piersi, a twoja mama jest bardzo seksowna.

– Moja mama nie jest seksowna, to po pierwsze. A po drugie, odpieprz się ode mnie.

– Niejeden chciałby twoją mamę przelecieć i przysięgam na Boga, że nikomu nic nie mówiłem, więc to musi o to chodzić. Na pewno. Nie zamierzałam popchnąć go tak mocno, ale kiedy walnął w szafki, podbiegła pani Scutter i powiedziała:

– Właśnie zapracowałaś na zostanie po lekcjach, moja panno.

Jednym słowem nie ma mowy o popołudniowym wyjściu do parku na papierosa. Cholerny Ricky.

Moja mama, to znaczy Samantha... Boże! Jest ładna, ale w życiu bym nie powiedziała, że seksowna. I czy nikt nie zauważył, że w ogóle nie jestem do niej podobna? Idioci.

Siedzenie po lekcjach przypomina sceny z filmu „Klub winowajców”. Siedzi się w bibliotece przy długich stołach i pisze wypracowanie o tym, dlaczego zrobiło się to, za co cię ukarali. Ricky czeka na mnie przed biblioteką.

– Nie wściekaj się na mnie – mówi, jakby to miało mu pomóc.

– Nie chcę już nigdy z tobą gadać. Jesteś podły.

Idzie obok mnie, jakby nie słyszał, co powiedziałam.

– Dowiedziałem się, kto to zrobił. To był Will. Missy mi powiedziała, że pożyczył od niej szminkę, żeby to napisać.

– Ach, więc teraz mam wierzyć Missy Delaney? Niby po co Will miałby pisać coś takiego? On nawet nie zna mojej mamy. To wszystko kłamstwo. Idź do diabła.

Przeszukuję torbę i znajduję je na samym dnie. No tak.

Mam ostatnie dwa vicodiny. Smakują jak kreda, nawet gdy je szybko połykam, więc zaczynam od witaminizowanej wody o smaku winogron. Kiedy docieram do domu, w głowie już mi szumi.

A więc robiła to, gdy była w ciąży. Naćpana nosiła mnie w środku, martwiła się tylko o swoją swędzącą skórę. Nie chciała mieć dziecka, nie chciała nawet o nim myśleć, więc się odurzała grzybami, jak pisali w tym liście. Ciekawe, czy dalej brała, kiedy już mnie urodziła. Pewnie sprzedała mnie do ośrodka adopcyjnego, żeby kupić cracka. Była związana ze mną przez dwa lata, a potem zrezygnowała ze mnie, żeby zarobić. Chcę ją spytać, jak mogła zrobić coś podobnego, do cholery! Jak mogła pozbyć się dwuletniej córeczki za kilka dawek. Słabo mi się robi, gdy o tym myślę.

Przypominam sobie, że mówiłam o tym Willowi.

Pamiętam, jak odparł zadumany:

– Byłaś adoptowana? Nic dziwnego...

– Co chciałeś przez to powiedzieć? – spytałam. – Dlaczego nic dziwnego?

– Widziałem twoją mamę w supermarkecie i też jest seksowna, ale wygląda inaczej, więc pomyślałem, że jesteś podobna do ojca. Patrzyłam, jak odchyła się do tyłu z rękami założonymi za głowę, jakby był we własnym łóżku. A więc wie, kto jest moją mamą! Myślał o mnie i o tym, do kogo jestem podobna! I uważa, że jestem seksowna.

Staralam się zachowywać możliwie naturalnie, ale kiedy położyłam się obok niego, natychmiast zapytał:

– Chcesz się czymś zająć?

I już po chwili poczułam jego dłoń na głowie. Kiedy to robię, powtarza czasem moje imię i wiem, że mogę go wtedy prosić, o co tylko zechcę. Usłyszałam, jak szepce:

– O Boże... – Przerywam więc i proszę o prochy, o których mówił Paul, a Will zaczyna błagać: – Nie przerywaj, Jezu, nie przerywaj! Chwyta moją głowę, ale wiem, że nie zdoła wepchnąć mi go do ust, więc powtarzam prośbę:

– Podziel się ze mną, to zacznę znowu.

– Czym mam się podzielić? – Przed momentem miał zamknięte oczy, ale teraz patrzy na mnie.

– Oxycontinem. Od Paula. Daj mi te proszki, a będę ci robiła
laskę, ile razy zechcesz.

– Jesteś szalona, wiesz o tym? – Patrzy na mnie, jakby się mnie
przestraszył. – Szalona suka.

– Dasz mi je czy nie?

– Kurde! Paul mówił, że jesteś całkiem rąbnięta.

– No dobra, skoro nie chcesz...

– No już, w porzo, chrzań się. Nie mam ich tak dużo, ale możesz
dostać połowę. No, rób swoje, to ci je dam...

– Teraz. Daj mi je teraz, bo potem zawsze się śpieszysz. Sięga do
kieszeni džinsów i nawet w mroku przy słabym świetle księżyca
widzę, jak szuka tabletek. Głowę wciąż trzymam w tym samym
miejscu, jego sztywny fiut niemal stuka mnie w policzek, ale już
do tego przywykłam.

– Masz. – Rzuca je na podłogę jak jakieś śmieci. – No, a teraz bierz
się do roboty.

Kiedy kończę, zapina spodnie, nawet się nie wycierając, i bez
słowa wychodzi przez okno. Czekam, aż zniknie, i dopiero wtedy
po omacku zgarniam tabletki. Znalazłam sześć i wiem, że to nie
jest połowa tego, co dostał, ale niech tam.

Chcę tylko przestać myśleć.

Samantha

Kiedy pojechałam na zakupy, zostawiłam komórkę w samochodzie i przegapiłam dwa połączenia, oba od Cammy. Próbuję do niej zadzwonić, ale jej telefon natychmiast przełącza się na pocztę głosową. Cammy nigdy nie zostawia żadnych wiadomości, co jest potwornie denerwujące. Łamię przepisy, przejeżdżając skrzyżowania na czerwonym świetle, i w końcu zatrzymuję się pod domem.

– Cześć, dzieciaki. Już jestem! – wołam. – Hej, gdzie jesteście?

– Tutaj – mówi Andrew.

– Cześć, mamó – woła Jamie.

– Gdzie wasza siostra?

– Nie wiem. Pewnie w pokoju.

Skoro mam kuchnię dla siebie, postanawiam poświęcić sekundę i wysłać mejla do Craiga:

Cześć, tu nic nowego. Co u ciebie? Piszę tylko, żeby się przywitać. Aha, słyszałam tę piosenkę, o której mówiłeś...

Świetna. Miałaś rację.

Bob wchodzi do domu od frontu. Z jakiegoś powodu ostatnio często parkuje na ulicy. Klucze uderzają o miskę na stoliku w holu.

Szybko zamykam pocztę i udaję, że szukam książki kucharskiej.

– Cześć – mówi z uśmiechem, a do mnie dociera, że już od dawna nie widziałam go uśmiechniętego. – Mam świetne wieści dotyczące Cammy – dodaje.

– Co takiego? – Podrywam się zza biurka. To może być coś bardzo ważnego. – Rozmawiała z tobą na temat biologicznej matki?

– Lepiej.

– O Boże... Zgodziła się iść do terapeuty? Jak ci się to udało?

Jesteś genialny!

– To również nie to.

– No dobra... – Ogarnia mnie podejrzenie, że to, co Bob uważa za świetne wieści, nie musi być takie świetne w moim rozumieniu. – Co to jest w takim razie?

– Rozmawiałem z trenerem i zgodził się ją wziąć do drużyny piłkarskiej, mimo że są już w połowie sezonu. Dasz wiarę? Udało się! – Otwiera ramiona, jakby się spodziewał, że się w nie rzucę. – Będzie musiała się napracować, żeby nie siedzieć na ławce rezerwowych, ale postanowił dać jej szansę. – Gdy milczę, rzuca po chwili: – No i co? Powiedz coś.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, co powiedzieć.

– Nie uważasz, że to wspaniale? Kiedy ostatnio ćwiczyła? Powinna wyjść z własnego kręgu i wejść do czegoś większego, stać się jego częścią. Drużyna to najlepszy sposób, żeby oderwać się od własnych myśli. Przyniosłem jej buty treningowe i korki. Numer buta ma osiem i pół, prawda? Wziąłem dziewiątki, gdyby miała grube skarpety. Myślę też, że doda jej to pewności siebie.

– Problemem Cammy nie jest brak pewności siebie. Jej problemem są narkotyki. – Staram się zachować spokój. Bob źle znosi wybuchy wszelkich emocji. – A także to, że prowadzi wewnętrzną walkę, czy szukać biologicznej matki. Włóczenie się z młodocianymi łobuzami... to jest jej problem.

– Będzie tak zajęta treningami i meczami, że nie starczy jej czasu na włóczęgi. I to właśnie jest w tym najwspanialsze.

– Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? To ci powiem. – Podchodzę bliżej, żeby nie podnosić głosu. – Moim zdaniem tak dalece nie masz pojęcia o problemie, że byłoby to śmieszne, gdyby nie dotyczyło naszej córki. Wiesz, tej ubranej na czarno. Tej gotki, która jak zwykle siedzi zamknięta w swoim pokoju. Jesteś bardziej przejęty piłką nożną niż tym, przez co ona przechodzi. Czy chociaż raz słyszałeś, jak płacze, kiedy myśli, że wszyscy już śpią? Czy tego również nie jesteś świadomy?

– A ty, Sam? Nie zauważyłem, żebyś cokolwiek zaproponowała. Do diabła, sama nalegałaś, żebym się tym zajął! – krzyczy nieomal. – „Poddaję się. Nie wiem, co z tym zrobić”. Pamiętasz, jak to powiedziałaś tamtego wieczoru na schodkach? Prosiłaś, żebym się tym zajął, więc to robię. Jeżeli nie podoba ci się, jak to załatwiam, proszę bardzo, możesz to zrobić sama. Jednak jeśli nadal chcesz, żebym się tym zajmował, przestań się czepiać wszystkiego, co robię. Czego ty właściwie chcesz, Sam? Powiedz mi, czego chcesz.

Nie mówię tego na głos. Oczywiście, że nie mówię na głos. Ale powtarzam to w myślach.

Chcę Craiga. Chcę, żeby był tu Craig.

– Chcę zobaczyć twoją minę, kiedy trener poinformuje cię, że nie przyszła na trening – mówię. – Oboje wiemy, że nie pójdzie.

– Świetnie. Po prostu świetnie. Najwyraźniej masz nadzieję, że się nie uda i będziesz mogła oznajmić z satysfakcją: „A nie mówiłam?”. Bardzo miło z twojej strony, Sam. Naprawdę. – Podnosi ręce. – Poddaję się. Rób, co uważasz za stosowne. Ja się wycofuję.

– Zauważyłam.

Patrzymy na siebie wrogo. W końcu Bob pochyła się w moją stronę i mówi cicho:

– A na wypadek gdybyś to przeoczyła, ty też się już wycofałaś. Tylko nie chcesz się do tego przyznać.

Cammy

Cholera jasna, co za beznadziejne życie. Koszmarne. Ale jestem załatwiona! Właśnie wróciłam z zakupów. Byliśmy w sklepie sportowym na Clark Street po jakieś durne piłkarskie stroje. Samantha i Bob postanowili mnie ukarać. Mam grać w pieprzoną piłkę nożną!

Ale po kolei. Wracam ze szkoły w oznaczonej porze, bo odkąd zostałam więźniem, jestem wożona ze wszystkimi dziećmi. W vanie pani O'Donnell panuje martwa cisza, bo maluchy zajmują się odrabianiem lekcji, żeby po powrocie do domu mieć czas na oglądanie telewizji albo rozmowy przez komputer. Nie odbieram tego jako największy koszmar tylko dlatego, że pani O'Donnell nie jest taka zła. Nie rozmawia ze mną, jakby miała do czynienia z przedszkolakiem. Kiedy pyta, czy mam chłopca, zaprzeczam i odwracam się do okna, bo czuję, że się czerwienię. Jej to jednak najwyraźniej nie przeszkadza. Zadaje po prostu następne pytanie, jakby uważała, że zachowałam się uprzejmie. Nie wiem, dlaczego taka jestem. Wcale nie chcę być niegrzeczna, ale mam wrażenie, że wszyscy patrzą na mnie ze wstrętem albo chcą mnie ocenić. Wszyscy poza panią O'Donnell.

Widuję ją wyłącznie we wtorki i czwartki, kiedy przypada jej kolej na rozwożenie dzieci. Zawsze sprawia wrażenie, jakby się cieszyła, że mnie widzi. Dzisiaj pyta mnie, jaką muzykę lubię, a o tym łatwo się rozmawia. Moi rodzice nigdy nie spytali mnie o muzykę, a przecież wiedzą, ile słucham. Nie mogłabym żyć bez muzyki. Poważnie. Gdyby zabrakło muzyki, pewnie już bym była martwa. – Wiesz, któregoś dnia widziałam cię w bibliotece – mówi pani O'Donnell.

O kurde...

– Tak?

Chyba za mocno oparłam się o drzwi, bo spojrzała w moją stronę i wcisnęła blokadę. Wolę nie patrzeć na deskę rozdzielczą, żeby sprawdzić, z jaką prędkością jedziemy, bo mogłaby pomyśleć, że za szybko prowadzi, a wcale tak nie uważam. Prawdę mówiąc, tylko trochę przekracza dozwoloną szybkość. W każdym razie gdyby drzwi się otworzyły, wypadłabym i pewnie skończyłabym na wózku, a potem musiałabym siusiać do takiego worka, który wieszają z boku.

– Siedziałaś w boksie w pobliżu stanowiska bibliotekarki – ciągnie pani O'Donnell. – Śpieszyłam się, więc nie mogłam podejść, żeby się przywitać.

Jeśli jeszcze trochę przyspieszy, chyba umrę. Gdyby teraz otworzyły się drzwi, nie pomógłby nawet pas bezpieczeństwa, bo wyssałby mnie pęd powietrza, jak na tych filmach o katastrofach lotniczych. Głową uderzyłabym o ziemię, a pani O'Donnell byłaby w takim szoku, że wciśnięcie hamulca zajęłoby jej jedną lub dwie sekundy. Zresztą i tak na nic by się to nie zdało, bo szyję tak by mi szarpnęło do tyłu, że głowa trzymałaby się na krwawych strzępach.

– Wyglądałaś na zatopioną w myślach – mówi pani O'Donnell.

– He?

– W bibliotece. Pisałaś jakąś pracę?

W zeszłym tygodniu, zanim zabronili mi wychodzić z domu, zebrałam się w końcu na odwagę, żeby wejść do środka. Ricky mnie nagabywał, żeby tam pójść i wszystko sprawdzić.

– Tyle trudu sobie zadaliśmy, żeby odszukać twoją matkę, a teraz tchórz cię obleciał? Zobacz przynajmniej, jak wygląda.

Zdziwiło mnie, że w bibliotece jest tak ładnie. Wysokie sufity, duże fotele zwrócone do okna. Większość z nich zajęta jest przez starsze osoby, które czytają gazety przymocowane do bambusowych prętów. Przy kilku długich stołach ludzie siedzą nad podręcznikami, a niektórzy z nich piszą tak szybko, jakby brali udział w teście na czas.

Pozostali okupują dział komputerowy, gdzie albo korzystają z komputerów, albo czekają, aż będą mogli przy nich usiąść.

Wyobrażałam ją sobie, jak siedzi na krześle przy biurku na froncie sali z okularami zawieszonymi na sznurku i pisze jednym z tych małych ołówków, które nie mają gumki i których nie da się zatemperować. Tyle że tu są setki bibliotekarek i wszystkie są zabiegane, jakby pracowały na targu. Usiadłam na krańcu jednego z tych długich drewnianych stołów i wyjęłam pracę domową z biologii, jakbym zamierzała ją odrabiać. Przyglądałam się przez chwilę, ale żadna z tych kobiet, które chodzą w jedną i drugą stronę, pchając dwupoziomowe wózki na książki, nie była podobna do mnie. Ani jedna. Dałam sobie spokój, kiedy nadeszła pora na obiad, bo dziś ma być pizza, a ja zapomniałam powiedzieć Samancie, żeby dla mnie zamówiła wegetariańską na grubym cieście bez cebuli. Pewnie znów weźmie serową na cienkim cieście, chłopcy ją pochłoną i dla mnie zostaną tylko dwa kawałki.

– Lada moment będą egzaminy semestralne, co? – Pani O'Donnell włączyła kierunkowskaz, żeby skrócić w lewo.

Mam wrażenie, że miarowe tykanie jest trochę za głośne, jakby mierzyła mi czas odpowiedzi.

– Ee... nie. Semestr jeszcze się nie kończy.

Podjeżdżamy pod nasz dom i jak zwykle chłopcy nie mogą otworzyć przesuwanych drzwi, ponieważ pani O'Donnell zapomina je odblokować. Tak im się śpieszy do domu, że to aż śmieszne. Dziewięć razy na dziesięć próbują wpaść do środka jednocześnie, a ponieważ mają plecaki i kurtki, utykają w drzwiach, dopóki ich nie przepchnę.

I znów wchodzę do tego piekła. Bob z jakiegoś powodu przyjechał wcześniej z pracy. W wyciągniętych rękach trzyma pudełko od butów i patrzy na mnie, jakby chciał powiedzieć:

– Ho, ho, właśnie wygrałaś główną nagrodę!

Zrzucam z ramienia torbę i ruszam do kuchni, gdy mówi:

– Nie chcesz zobaczyć, co jest w tych pudełkach?

– Pewnie buty, nie?

Jak się spodziewałam, sam je otwiera i z miną, jakby czekał, aż rozlegną się chóry anielskie, wyciąga... piłkarskie korki.

– Wydają się trochę za duże dla chłopców. – Próbuję przejść obok niego do kuchni, ale on się uśmiecha głupkowato, odsłaniając poźółkłe zęby. – Tato, przesun się. Umieram z głodu.

I wtedy eksploduje ta bomba:

– One są dla ciebie! Przyjęli cię do drużyny piłki nożnej!

– Co? – udaje mi się wykrztusić.

– Rozmawiałem z trenerem i powiedział, że możesz zacząć jutro.

Trening zaczyna się zaraz po lekcjach. Spotykacie się przed salą gimnastyczną, skąd idziecie na boisko nad jeziorem. Zajęcia trwają półtorej godziny.

– Tak, jasne. Nigdzie nie pójde.

– Owszem, pójdziesz.

Z kuchni wychodzi Samantha. Stała przy drzwiach, przysłuchując się rozmowie.

– Przecież ja nie gram w piłkę nożną.

– Ale będziesz grała – mówi Samantha. – Od jutra. I niech ci nie przychodzi do głowy, żeby się urywać. Trener będzie do nas dzwonił każdego dnia po zajęciach, żeby zdać nam relację.

Z jakiegoś powodu Bob patrzy na nią, jakby powiedziała coś, czego się po niej nie spodziewał. Zresztą nieważne. Już dawno przestałam ich rozumieć.

– Może od razu skujcie mnie i wyślijcie z więźniami na autostradę do zbierania śmieci! – piekle się.

– Braliśmy to pod uwagę – mówi Bob. Najwyraźniej wydaje mu się, że jest dowcipny, ale nawet Samantha się nie śmieje, więc dodaje:

– No, to ja skończyłem. – Wykonuje gest, jakby mył ręce, a kiedy

rusza na górę do swojego cholernego komputera, słyszę, że wzdycha, jakby chciał powiedzieć: „O ja nieszczęsny, moja córka jest beznadziejna”.

Samantha też odprowadza go wzrokiem.

– Mamo, proszę, nie każ mi grać w piłkę – odzywam się po chwili.

– To już ustalone.

Nie cierpię płakać z wściekłości.

– Mamo, daj spokój. Przecież oni mnie tam zabijają. To straszni twardziele. A ja... Zgodzę się na wszystko, tylko nie na sport.

Mogę zmywać przez cały rok. Co weekend będę sprzątać w całym domu, przysięgam.

– Nie.

– Przecież i tak nie pójde.

– Owszem, Cammy, pójdziesz.

Ona przynajmniej może wejść na górę i odsunąć się od tego bagna. A ja w nie wdepnęłam i coraz bardziej się pograżam.

Nienawidzę swojego życia.

I na pewno nie pójde na żadną piłkę. Nawet mowy nie ma.

Samantha

– Andrew! Chodź tu do mnie, żebym mogła przykleić ci plaster.
– Mamo, nie potrzebuję plastra – odkrzykuje, schodząc z boiska.
Rodzice, którzy kręcą się tu podczas przerwy, przyprawiają mnie o dreszcze. Pozwólcie tym dzieciakom tworzyć drużynę, mam ochotę zawołać. Pozwólcie im się zżyć, porozmawiać o pierwszej połowie, robić cokolwiek. Nie muszą być ciągle tłamszone przez ludzi, których widzą w każdym innym momencie swojego życia.

Jednakże tym razem ja też wołam syna.

– Chodź tu na chwileczkę. – Grzebię w torbie między paczkami chusteczek, tamponami, szminkami, aparatem, kalendarzem i komórką, aż wreszcie trafiam na plaster.

– Daj mi rękę.

– Muszę iść. Zaraz będzie gwizdek.

– Dwie sekundy. No już. Idź.

Z dała ktoś woła:

– Przepraszam!

I mała piłka przelatuje kilka centymetrów ode mnie.

– Nic nie szkodzi – odpowiadam. Wspaniała brunetka idzie w moją stronę i zabiera piłkę. Słońce oświetla ją od tyłu. Kiedy odrzuca na plecy błyszczące włosy, wygląda, jakby wyszła z reklamy szamponu. Albo wynurzyła się z oceanu w którymś z filmów o Jamesie Bondzie. Torba, która zwisa w zgięciu łokcia, wygląda bardzo kosztownie, a balerinki jakimś trafem nie ubrudziły się błotem, które otacza boisko.

– Jeszcze nie opanowałyśmy podań. – Uśmiecha się, ruchem głowy wskazując córkę. – Dzięki.

– Też to przechodziłam. – Również się uśmiecham, patrząc na śliczną dziewczynkę, która odziedziczyła klasyczne rysy po matce.

– Proszę bardzo. Ile masz lat, skarbie?

– Pięć. – Przygląda mi się podejrzliwie, po czym chowa się za szczupłymi nogami mamy.

– Mam synów, którzy są trochę od ciebie starsi. Jesteś w dziewczęcej drużynie pięciolatek? Tak? Wspaniale! Moi synowie, Jamie i Andrew, są w ośmiolatek. – Wyciągam rękę do mamy tej małej piękności. – Sam Friedman.

– Miło mi. – Mocno ściska moją dłoń. – Ja jestem Evie Riggs. A to jest Lexi. Musimy iść, kochanie. Miło było panią poznać. Z pewnością jeszcze się tu spotkamy.

O... mój... Boże... O Boże, o Boże!

Przełykam z trudem ślinę. Odprowadzam ją wzrokiem. Nie czuję nic poza piekącą zazdrością. Jak w transie wstaję, żeby nie stracić

jej z oczu. Żeby lepiej widzieć, przechodzę na koniec boiska w pobliże bramki. Obserwuję z daleka, jak się porusza, jak swobodnie rozmawia z innymi rodzicami, jak odrzuca głowę do tyłu, gdy się śmieje z tego, co ktoś powiedział. Terry, matka Sophie, coś do mnie mówi, ale nic nie słyszę. Dzięki Bogu, że nie ma tu Craiga, bo nie wiem, jak bym sobie poradziła. Jezu Chryste! Nawet nie chcę o tym myśleć. Evie wiwatuje i oklaskuje drużynę Lexi. Boże, ależ jest piękna. Nie do wiary, że nigdy o tym nie wspomniał. Choć z drugiej strony, jak miał to powiedzieć? – Och, a tak przy okazji... Moja żona jest piękna jak marzenie. To jasne, że o tym nie mówił.

Spuszczam wzrok na spodnie od dresu i zabłocone buty do biegania. Włosy mam brudne, więc byle jak związałam je w koński ogon. A gdybym tak podeszła do niej i powiedziała:

– Wiem wszystko o twoim mężu. I o tobie. Wiem, po której stronie łóżka sypiasz. Wiem, że nie przepadasz za podróżami, nie gotujesz, wolisz herbatę od kawy i próbowałaś zachęcić Craiga, żeby też zaczął ją pić, ale on nie znosi herbaty. Twoja przyjaciółka martwi się o ciebie. Nawet wspomniała twojemu mężowi, że być może masz depresję. Lubisz telewizję faktu. „Odyseję” przeczytałaś w dwa tygodnie. Tobie podoba się muzyka klasyczna, a nie popularne przeboje z listy Top 40, które lubi Craig. On jest moim przyjacielem, ja jestem jego przyjaciółką. Nie masz pojęcia o tym fragmencie jego życia. Sądzę, że jesteśmy w sobie zadurzeni.

No więc domyślałam się, jak by na to zareagowała.

Roześmiałyby się. Głośno.

Chodzi mi o to, że wystarczy popatrzeć na mnie, a potem na nią. Jest doskonała. Wykwintna. A ja? A ja jestem... No dobra, jestem atrakcyjna, potrafię doprowadzić się do porządku, ale daleko mi do Evie Riggs. Bardzo daleko.

– Ziemia do mamy! – Jamie szarpie mnie za rękę.

– Możemy już jechać?

– Jesteśmy głodni – dodaje Andrew.

– Nie jesteś ciekawa, kto wygrał? – pyta Jamie.

– Och, przepraszam, kochanie... Oglądałam mecz. Przecież wiem, kto wygrał, głuptasku. Obaj jesteście świetni. Znakomita robota! Tak szybko poruszacie się po boisku. Szczególnie w ostatniej części, Jamie. Naprawdę jesteście dobrzy!

Andrew przez całą drogę do samochodu kopie piłkę. Nie wiem, jak udaje mi się iść, ale jakoś docieramy do auta. Jamie ciągnie za klamkę.

– Nie grałem w drugiej połowie – mruczy pod nosem.
Chłopcy wdrapali się już do vana, więc wciskam guzik, który automatycznie zamyka przesuwane drzwi. W chwili gdy się zatrząskują, wydaję krótki, zduszony krzyk. Nie mogę się załamać. Nie mam na to czasu. Weź się w garść, Samantha. Tyle że nie mogę się uspokoić. Nigdy jeszcze nie czułam nic takiego w stosunku do jakiejś osoby. Nigdy...
Chcę... Pragnę...
Chcę być nią. Chcę być Evie Riggs.
Wybieram dłuższą drogę znad jeziora, żeby przejechać obok ich domu. Ostatnio czasami jeździłam tamtędy, ale nigdy z dziećmi. Choć prawdę mówiąc, to nie ma żadnego znaczenia. Craig również jeździł obok naszego domu.
Przyznał się do tego kilka tygodni temu.
– Możemy pojechać do McDonalda? – woła Andrew.
– Jamie, przestań! Mamo, niech Jamie przestanie mnie szturchać. Jamie, przestań. Mamo!
– Au! Przestań. – Kolej na Jamiego. – Mamo, Andrew mnie uderzył.
– Chłopcy, uspokójcie się – mówię beznamiętnie.
– Gdzie my jesteśmy? – pyta Jamie. – Możemy pojechać do McDonalda?
– Tak, za chwilę. – Zwalniam do piętnastu kilometrów na godzinę.
– Jedną chwilę.
– Możemy! – upewnia się Andrew. – Taak!
– Nigdy nie pozwalasz nam jeść w McDonalddie – mówi Jamie.
– Zamknij się – ucisza go brat. – Jeszcze zmieni zdanie.
Mieszkają w pięknie odrestaurowanym wiktoriańskim domu z biegnącą wokół werandą, na której stoją stylowe wiklinowe fotele. Żywopłot wokół domu jest idealnie przycięty. To musiał robić profesjonalista. Pewnie zamawiają specjalną ekipę, która raz w tygodniu zajmuje się tym, czego my sami nigdy nie robimy: grabieniem, pieleniem, porządkowaniem kory rozsypanej na kwiatowych rabatkach.
– Mamo – marudzą chłopcy jednym głosem.
– Już dobrze, dobrze. – Odwracam wzrok na drogę.
W barze samochodowym pochylają się do przodu i wykrzykują do mnie swoje prośby:
– Hamburger bez pikli.
– Kawalki kurczaka w sosie miodowym.
– Możemy wziąć dwie porcje frytek, żeby się nie dzielić?
– Cola.

– Sprite.

– Czekaj, mają transformersów... Możemy wziąć zestawy specjalne?

Jakoś udaje mi się złożyć właściwe zamówienie i kiedy podaję im torbę, zapada cisza. Samochód jak koń wydaje się znać drogę na pamięć, więc pozwalam, żeby prowadził nas do domu. Wreszcie mogę pomyśleć o tym, co się wydarzyło.

Tyle że nie wiem, o czym właściwie mam myśleć.

Czuję się winna. Nie, moment. Wcale nie. Nie zrobiliśmy nic, co miałyby istotne znaczenie. Chociaż ten pocałunek... A w ogóle gdybyśmy nie robili tego wszystkiego potajemnie, najzwyczajniej bym się jej przedstawiła. Tymczasem zachowywałam się, jakbym jej nie знаła. A więc jednak coś kombinujemy. No nie, przecież to jasne, że coś kombinujemy.

Dociera to do mnie na skrzyżowaniu Broadway z Catalapa.

Nie obchodzi mnie nic poza Craigiem. Bob. Rodzina. Nic. Pewnie dlatego nie czuję się winna. Mogłabym dodać, że nie obchodzi mnie Evie, ale to nieprawda. Obchodzi mnie, a w każdym razie w tym sensie, że chciałabym żyć jej życiem. Muszę wziąć się w garść. Nie znoszę być zazdrosna, a teraz mam wrażenie, że zazdrość mnie oślepia. Szkoda, że nie wiedziałam, kim jest, kiedy do mnie podchodziła. Mogłabym wtedy zapamiętać więcej szczegółów. Czuję się koszmarnie. Może złapałam jakieś przeziębienie. Albo przez to, że wyglądałam tak strasznie, a ona... ona jest Evie Riggs. Jest żoną wspaniałego faceta i w ogóle tego nie docenia.

Mam znakomitą pamięć do numerów telefonicznych.

Bob wpisał do aparatu wszystkie numery, jakie kiedykolwiek mogłyby nam się przydać, ale ja z tego nie korzystam, a już z pewnością nie korzystam z wpisanego do szybkiego wybierania numeru umieszczonego pod nazwą „mama – komórka”. Dzieci używają go tak często, że cyfra jeden prawie się wytarła. Dla mnie to nadal wygląda jak telefon do mojej mamy. Patrząc na ten opis, palcem dotykam kwadratowego przycisku, ścieram brud z plastikowego wyświetlacza. Głowa tak mi ciąży, że z trudem ją trzymam podniesioną. Co powie Craig, kiedy opowiem mu o dzisiejszym dniu? A jeśli ocknie się nagle i uświadomi sobie, że może stracić żonę i córkę, gdyby Evie dowiedziała się o naszym pocałunku... Może też przyjdzie mu do głowy, że w przypiływie zazdrości mogę jej wszystko wygadać. Nie będziemy już

przyjaciółmi. I nie powiem mu, że przy niej czuję się mała i bezbronna. Nieistotna. Przejściowy trudny etap w życiu Craiga. Dotykam klawisza z wytartą jedyką i wyobrażam sobie, co bym powiedziała, gdybym usłyszała głos mamy.

– Cześć, to ja. Mamo, mam problem. Błagam, poradź mi coś. Całkiem zabałamotałam sobie życie. Co powinnam zrobić? Od ponad roku nie kochaliśmy się z Bobem. Prawie z sobą nie rozmawiamy, a kiedy już zaczynamy coś mówić, natychmiast dochodzi do kłótni. Cammy wpadła w kłopoty i już nie wiem, co robić.

Zapytałaby, co o tym sądzi Bob, a ja powiedziałabym jej prawdę. Że tego wieczoru, gdy mówiłam mu o Cammy, narkotykach, poszukiwaniu biologicznej matki, on poszedł do swojego komputera. Że gdy już się wyplakałam samotnie na schodkach, weszłam do środka i zajrzałam mu przez ramię, sądząc, że szuka informacji o grzybach halucynogennych lub narkomanii wśród nastolatków, a tymczasem on czytał o refinansowaniu hipoteki. Kiedy to zobaczyłam, coś we mnie umarło. Nie wiem, kim jest ten człowiek, ale to na pewno nie jest mężczyzna, którego żoną chcę być. Wyszłam z pokoju i poszłam spać, a on siedział przy komputerze do pierwszej lub drugiej w nocy, szukając wykazów nieruchomości. Kiedy kładzie się w końcu spać, leżymy w łóżku jak drewniane lalki, na plecach, z rękami po bokach, żeby się tylko nie dotknąć. Gdybym była w łóżku z Craigem, wtulilibyśmy się w siebie i gdyby patrzył na nas z góry jakiś ptaszek, wyglądalibyśmy jak para na niewidzialnym motorze.

Patrzenie na domy uspokaja Boba. Każdego dnia wraca z pracy, przez chwilę rozmawia z dziećmi, po czym zasiada przed komputerem i przegląda strony agencji nieruchomości, tak jak niektórzy mężczyźni oglądają strony pornograficzne. Najgorsze jest to, że my przecież nie szukamy domu.

Więc bym spytała:

– Powiedz, mamo, czy ty kochałaś tatę? Zastanawiałaś się kiedyś, czy nie popełniłaś błędu? Czy kiedykolwiek chciałaś uciec od swojego życia? Czy kiedykolwiek spotkałaś żonę swojego kochanka i żałowałaś, że nie jesteś nią?

To właśnie powiedziałabym, gdybym wcisnęła klawisz z cyfrą jeden.

Zamiast tego wypuszczam powietrze z płuc i wołam Cammy na dół. Chłopcy, jak sądzę, siedzą w dużym pokoju i odrabiają lekcje. Siadam ciężko na kanapie w salonie. Poza samochodem jeszcze nie miałam dziś czasu usiąść. Jestem wykończona. Mam nadzieję,

że zdołam utrzymać powieki. A może Cammy mnie nie usłyszała i uda mi się przez chwilę zdrzemnąć. Pięć minut z zamkniętymi oczami to byłaby rozkosz. Zaczyna mnie kusić, żeby się wyciągnąć na kanapie, więc przenoszę się na duży fotel po drugiej stronie pokoju. Miękki bursztynowy ręcznie tkany tybetański dywan, który leży na podłodze, jest prezentem od rodziców Boba. Podarowali go nam, gdy kupiliśmy dom. Jest śliczny i wygląda bardzo bogato, ale nie przesadnie. Idealnie pasuje do tego pokoju. Kolory są jakby dobrane do portretu mojej mamy, który wisi nad półką. Przechodzę obok tego obrazu setki razy dziennie i prawie go nie zauważam, ale teraz, gdy czekam na córkę, żeby przewrócić jej świat do góry nogami, przyglądam mu się uważnie. Malarz uchwycił wszystkie fałdy na sukni z zielonej tafty, którą mama miała na sobie na balu debiutanckim, kiedy była jeszcze nastolatką.

Opowiadała mi, jak niecierpliwiła się, pozując godzinami do tego portretu, jak fiszby gorsetu, dzięki którym biust wyglądał jak na obrazach z epoki elżbietańskiej, wpijały się w ciało i zostawiały ślady na brzuchu. Tego wszystkiego nie widać, gdy się patrzy na obraz, ale ciekawi mnie, czy artysta musiał sam dorobić ten półuśmiech, który błąka się jej na ustach. W tle widać pokój w starym domu dziadków. Wnętrze ma królewski wygląd i takie właśnie wrażenie zrobił na mnie ten dom, gdy pojechaliśmy tam z wizytą. Nad głową mamy wisi kryształowy żyrandol, który teraz mamy u nas w holu.

Cammy wreszcie schodzi i z ostentacyjnie znudzoną miną opada na kanapę, jakby chciała powiedzieć:

– No więc jestem, czego chcesz?

Pochyliam się do przodu, łokcie opieram na kolanach, dłonie składam w trójkąt jak do modlitwy.

– Po pierwsze czarne włosy, które jakoś tolerujemy, bo wiemy, że to ci minie. Ubrania. Tapeta na twarzy. Kolczyk w nosie. Przekłuta chrząstka. Wiem, że przechodzisz trudny okres...

– To nie jest żaden trudny okres. Jezu, nie cierpię, gdy tak mówisz – denerwuje się Cammy. – Taka jestem. To po prostu ja. Cameron.

– Och, a więc teraz jesteś Cameron? Od kiedy?

– Ty nic nie rozumiesz. W ogóle mnie nie widzisz. Zupełnie jakbym wciąż była małą dziewczynką. A ja już nie jestem dzieckiem.

Przypatrz mi się uważnie. – Obskubuje czarny lakier z paznokci.

– Wiem, że nie jesteś pięciolatką, Cammy. Ale masz szesnaście lat, na miłość boską... i jesteś naszą córką, mieszkasz pod naszym dachem i... pewnie mówię ci to samo, co moi rodzice mówili mnie,

ale tak to właśnie wygląda. Dopóki nie skończysz osiemnastu lat, musisz być w zgodzie z naszymi zasadami. Masz szczęście, że przynajmniej masz matkę, która może ci to powiedzieć. Czy wyobrażasz sobie, jak wyglądałoby twoje życie, gdybym umarła teraz, kiedy masz szesnaście lat, tak jak to było w moim przypadku? Masz pojęcie, co by wtedy było?

– Przecież to zwykłe pieprzenie.

– Coś ty powiedziała? Cammy, nie waż się tak do mnie odzywać. Jeśli zaraz nie zmienisz swojego zachowania, to...

– To co? Postawisz mnie do kąta? Jezu, jakbym była dzieckiem... – Urywa, po czym zapada się ciężko w poduchach kanapy i zaczyna ogryzać skórki przy paznokciach.

Wyjątkowo apetyczny widok. Ciagle coś przy sobie robi, ale jak na ironię nigdy nie wygląda na zadbaną. Raczej na osobę, której przydałby się porządny prysznic. Teraz ogląda rozdwijające się końce włosów.

– Wiem, że nie poszłaś na trening.

Nawet nie podnosi wzroku. Wzrusza tylko ramionami i przez zasłonę z brudnych włosów mruczy:

– Naprawdę myśleliście, że pójde?

Parska śmiechem zupełnie jak Bob, ale niech Bóg broni, żebym wspomniała o tym podobieństwie. Cammy chyba odgryzłaby mi głowę.

– Trener dzwonił dziś rano i poinformował nas, że nie byłaś na żadnych zajęciach w tym tygodniu. – Oczywiście nie dodaję, że się tego spodziewałam i uczciwie mówiąc, guzik mnie obchodzi, czy będzie chodzić na treningi. Wspólny front, powtarzam sobie. Wspólny front... – Twój ojciec przebije ze złości sufit, gdy się o tym dowie.

Podnosi wzrok i wpatruje się we mnie tak przenikliwie, że wstrząsa mną dreszcz.

– On nie jest moim ojcem. – Mówi to powoli, jakby angielski był dla mnie obcym językiem.

Odwracam wzrok. I co teraz? Postąpiła słusznie, zmieniając temat i poruszając poważniejszy problem. Ma rację. Nie chodzi o ufarbowane włosy, piercing ani piłkę nożną.

Może w ogóle ma rację. Może to faktycznie nie jest sprawa trudnego etapu w życiu. Osoba, która tak zimno na mnie patrzy, jest kompletnie obca. To nie jest moja szesnastoletnia córka.

– Mamo, mogę już iść? – Z szyderczym uśmiechem podnosi się z kanapy.

Jednakże... dziewczyna, która próbowała zabić mnie wzrokiem, po prostu wymaszerowałaby z pokoju, nie prosiłaby o pozwolenie choćby i tym drwiącym tonem.

Nie... To znowu jest Cammy, która czeka na mój kolejny ruch. No więc oddycham głęboko i atakuję:

– Chcę wiedzieć, kto przychodzi na ten parking. To po pierwsze.

Porada ze strony internetowej dla rodziców nastolatków: nigdy nie okazuj słabości.

Zdaję sobie sprawę, że tym pytaniem próbuję zyskać na czasie, ale to zaledwie część większej całości. Muszę pokonać Cammy, złamać jej ducha, a potem wszystko odbudować. Jak w wojsku.

– Nie wiem, kto tam przychodzi – mówi. – Normalnie... Wszyscy. Różni ludzie. I tak ich nie znasz, więc co cię obchodzi?

– Obchodzi mnie, bo jesteś moją córką i chcę się dowiedzieć, jak długo to wszystko trwa. Czym wypychasz plecak? Co tam wkładasz, żeby wyglądało, jakbyś szła się uczyć? Pytanie numer dwa także ma dać mi chwilę na zastanowienie się nad planem ataku.

– Co wkładam? Jezu, nie wiem. Książki i różne rzeczy. Make-up. I takie tam. Jakie to ma znaczenie?

Węszy, szukając jakiejś rysy w mojej postawie, sprawdzając, czy też dostrzegam głupotę tego pytania. W tym momencie pobieram nową lekcję: zadawaj następne pytania tak, żeby sprawiały wrażenie coraz istotniejszych. W ten sposób możesz zmylić trop. Między ważne sprawy wstawiaj pytania o rzeczy bez znaczenia. Cam przywyknie do udzielania odpowiedzi na durne, jej zdaniem, pytania, a kiedy przejdziesz do spraw najważniejszych, jej opryskliwość tak ją wyciszy, że nagle trach! i już masz odpowiedź, której w ogóle nie oczekiwałaś.

– Ma znaczenie – mówię. – W tej sprawie wszystko ma znaczenie, Cammy. O przepraszam, Cameron.

– Widzisz? Właśnie o tym mówię. Wymawiasz moje imię, jakby to był jakiś żart. Sami tak mnie nazwaliście, więc czemu nie możesz uszanować, że wolę inną formę swojego imienia... – Milknie, intensywnie dumając o czymś przez chwilę. – To wy nadaliście mi imię, nie? O Boże, wcale nie. Dlaczego nie powiedzieliście mi tego?!

– Zwolnij trochę – mówię uspokajająco. – Tak bardzo o tobie marzyliśmy. Mówiliśmy ci to. Gdy zobaczyłam cię po raz pierwszy, wiedziałam, że jesteś moją córką. Nie miałam pojęcia, że to tak się odbędzie. Wydawało mi się, że najpierw będzie jakiś okres przywykania do siebie. Ale kiedy cię zobaczyliśmy, twój ojciec...

nie rób takiej miny, on jest twoim ojcem... twój ojciec powiedział: „Zabierzmy ją do domu”. Podobało nam się twoje imię. Jest piękne i pasuje do ciebie jak żadne inne. Adoptowaliśmy cię i jako nasza córka dostałaś nasze nazwisko.

– Nie obchodzi mnie nazwisko. Pieprzę je...

– Przestań! A wracając do naszej rozmowy... Czyli jesteś teraz ćpunką? Ćpunką i gotką z kruczoczarnymi włosami? Więc bierzesz narkotyki, tak? Masz pojęcie, jakie to niebezpieczne? Zdajesz sobie sprawę z tego, co właściwie robisz?

Obrzuca mnie pogardliwym spojrzeniem. O tak, doskonale to widzę, ale w moich oczach jest tyle gniewu, że Cammy wzdraga się, napotkawszy mój wzrok. Jeszcze chwila i będę ją miała w garści.

– Odpowiedz mi! – żądam twardo. – Czy myślałaś o konsekwencjach, gdy postanowiłaś brać środki halucynogenne? – Znów zapada cisza, ale ta jest aż gęsta od wiszącej w powietrzu groźby ostatecznego starcia matki z córką. – Odpowiedz, do jasnej cholery. – Kolejna wskazówka z internetowego minikursu dla rodziców nastolatków: łzy zawsze działają rozpraszająco. Niestety nastolatki też to czytały. – Proszę, masz tu chusteczkę – mówię. Szloch.

– Nawet... – szloch – nie wiem... – szloch – dlaczego płacę. Mięknię. Pamiętam to uczucie, niespodziewany przyływ emocji, zażenowanie z powodu łez, nad którymi nie sposób zapanować, i to w chwili, gdy pragniesz być tylko wściekła.

– Chcę się dowiedzieć, kto to jest Paul.

Łzy kończą się z mety.

– Co? Nikt. Po prostu chłopak, czyjś znajomy.

– Czyj?

– Nie wiem! Mogę już iść? Muszę odrobić lekcje i w ogóle mam mnóstwo rzeczy na jutro.

Wskazówka dla rodziców: trzeba wiedzieć, kiedy się wycofać, ale tylko na krótką chwilę.

– To jeszcze nie koniec, Cammy. Cameron. Daleko do tego. Idź odrabiać lekcje. Porozmawiamy później.

– Nie mogę się doczekać, Samantha.

– Uważaj...

– Oj tam.

Wskazówka dla rodziców na zaliczenie kursu: nie zdradz się, że podejmujesz działania detektywistyczne.

Niestety nie ma tu Craiga. Mógłby mi pomóc. Mam niewiele czasu, bo Cammy znajdzie jakiś sposób i ostrzeże kolegów, żeby zwiali z parkingu przy bibliotece.

Zabraliśmy jej komórkę i odcięliśmy od komputera, ale z pewnością uda jej się przekazać wiadomość. Nawet w więzieniu typu supermax, gdzie zamknęli Unabombera i gdzie stosują wszystkie środki kontroli, więźniowie znajdują sposoby, żeby się porozumiewać z sobą i przekazywać informacje na zewnątrz.

Czekam, aż Bob wróci z pracy. Kiedy widzę, że podjeżdża, zarzucam torbę na ramię i wybiegam z domu.

– Miło, że poświęciłeś rodzinie trochę czasu – rzucam, mijając go na ścieżce. – Dzięki, że się w końcu pojawiłeś.

– Odchrzań się, Sam.

– Ale jesteś przyjemny. Naprawdę.

– Gdzie idziesz?

– Chłopcy, jak sądzę, siedzą w dużym pokoju, Cammy robi lekcje, a gdyby ktoś pytał, jadę po mleko.

– Jezu, o co znowu chodzi?

– Jadę po mleko – powtarzam szeptem i dodaję: – Gdybyś naprawdę chciał wiedzieć, wróciłbyś wcześniej.

Kilku skateboardzistów ćwiczy skoki w żółtawym blasku latarni, ale poza nimi na parkingu pod biblioteką jest pusto. Okolica wygląda jak plan filmowy: żadnych śmieci, wymalowane na biało miejsca postojowe, których liczba z całą pewnością znacznie przewyższa zapotrzebowanie. Na tyłach parkingu dla pracowników stoi pikap. To jedyny samochód. To są właśnie takie okoliczności, które omawiają instruktorzy judo, gdy uczą, jak odeprzeć potencjalny atak. Staram się pamiętać, że to są dzieciaki w wieku Cammy.

– Hej ty! – wołam do chłopca z kolczykiem w dolnej wardze. – Zna któryś z was Paula? Kręci się tu często – mówię zdecydowanym tonem.

– A kto pyta? – odzywa się najniższy spośród całej czwórki. Ma na sobie zbyt obszerne džinsy i bluzę z kapturem, który naciągnął na głowę i zawiązał tak, że widać tylko oczy i usta. Biały dzieciak, który chce zgrywać twardziela z murzyńskiego getta. Ubranie jest czyste, co widać nawet w półmroku. Niemal czuję zapach proszku, jakiego używa jego mama.

– Ja – odpowiadam pewnym głosem. – Ty jesteś Paul? Parskają śmiechem, co mi uświadamia, że nie tylko nie jest Paulem, ale nawet to porównanie brzmi komicznie.

– Czego pani chce od Paula? – pyta drugi chłopak.

Wygląda jak potężniejsza wersja mojego rozmówcy.

– Czy ja cię przypadkiem nie znam? Czekaj, ty jesteś Lee Wilcox. – To całkiem zbija go z pantafelku, widzę, jak znika jego pewność siebie. – Znam twoją mamę. Kiedy byłeś mały, przychodziłeś bawić się w moim domu. Chyba nadal gdzieś w szafce trzymam twój kubeczek niekapek.

I w taki oto prosty sposób mały Lee Wilcox zmienia się z anonimowego oprycha w normalne dziecko. O Boże, chyba właśnie użyłam słowa „oprych”. Nie ma wątpliwości: starzeję się. Ale i tak cieszę się, że moje słowa robią piorunujące wrażenie. W dodatku ze sposobu, w jaki koledzy przenoszą spojrzenie z niego na mnie i z powrotem na niego, mogę się domyślać, jak będą sobie na nim używać, gdy się oddalę. Upokorzony Lee Wilcox odsuwa się w cień, a jego miejsce zajmuje inny chłopak.

– Powiedzcie mu, że jeżeli jeszcze kiedyś zbliży się do mojej córki, Cameron Friedman, zostanie aresztowany, zanim zdąży się połapać. Zawiadomiłam policję i od teraz będą mieli ten parking na oku. Jeżeli trafią na któregoś z was, zgarną was na przesłuchanie. – Wyglądają, jakbym mówiła do nich po czesku. – Czy wyraziłam się jasno?

To wszystko wydaje się jakieś nierealne. Kiedy jednak zamierzam odejść, zabawa się kończy.

– Jasne, nie ma sprawy. – Z cienia przy budynku biblioteki wynurza się jeszcze jeden chłopak, dość niski, ale czuje się, że silny. Chociaż jest zimno, ma na sobie tylko koszulkę z krótkim rękawem. W żółtym świetle latarni widzę, że jego jasne jak u albinosa włosy są mocno przerzedzone, a kosmyki, które jeszcze pozostały, wyglądają tak delikatnie, jakby zaraz miały ulecieć z wiatrem.

– Ty jesteś Paul? – pytam, choć nie jest to konieczne.

Pozostali chłopcy cofnęli się, niektórzy znów jeżdżą na deskach, inni, sądząc, że to im dodaje powagi, wyjmują papierosy lub sięgają po puszki z piwem. Gdzieś w oddali słychać startujący motocykl, co mi uświadamia, że nie jestem daleko od Ashland. W razie czego mogę pobiec w stronę ulicy i wezwać pomoc.

– Należy zacząć od tego, że to Cameron nas tu ściągnęła – mówi Paul.

Głos ma zaskakująco głęboki i trochę bez sensu myślę, że byłby z niego niezły didżej.

– Co to znaczy, że was tu ściągnęła?

– Właśnie to, co mówię. Woleliśmy miejsce pod supermarketem 7-Eleven, ale z jakiegoś powodu zdecydowała, że powinniśmy

przenieść się tutaj. A mnie tam było wszystko jedno. Mogę nawet pójść do tej pieprzonej biblioteki, jeśli ci na tym zależy.

– A ty kim właściwie jesteś? Dilerem czy kimś w tym stylu? – Unoszę wyzywająco brodę.

– Ktoś musi podtrzymywać Cameron przy życiu. – Przystawia stopy i wpycha dłonie do kieszeni na brzuchu. To próba, żeby sprawdzić, czy uda się zburzyć mój spokój. – Nie mówię, że ja to robię. – Na te słowa ktoś w ciemnościach parska śmiechem. – Chcę tylko powiedzieć, że pani córka jest dobrą klientką. Wiem, co mówię. – Żeby jeszcze bardziej spotęgować napięcie, bezszelestnie znika w cieniu.

– Pamiętaj, co mówiłam! – wołam za nim. – Nigdy tu nie wracaj. I nie waż się zbliżyć do mojej córki. Zrozumiałeś, Paul? Nie spodziewam się odpowiedzi. I oczywiście jej nie dostaję.

Następnego dnia po wyjściu dzieci do szkoły rozpoczynam przeszukanie.

Przywykłam już do oglądania bałaganu w pokoju Cammy, jednak dziś to nie tylko typowa sypialnia nastolatki, ale pole minowe. Albo miejsce przestępstwa, które należy starannie przeszukać, lecz pozostawić w nienaruszonym stanie.

Pod łóżkiem nie ma nic poza zapomnianymi butami i starymi zestawami do makijażu. Teraz szuflady. Kilka par stringów, które widzę po raz pierwszy, ale poza tym żadnych niespodzianek. Podchodzę do szafy i mam wrażenie, że zaraz na coś trafię. Na półkach bluzy i swetry leżą w zasięgu ręki. Wszystkie ubrania są czarne.

Przynajmniej te, które wciąż na nią pasują. O Boże, zakupy! Nowe, jaśniejsze i bardziej kolorowe rzeczy do szkoły, które obiecałam jej kupić. Nie do wiary, że mi to wyleciało z pamięci. Znajduję siedem czarnych lub brązowych bluz z kapturem. Są zwinięte w kłębek, więc nie będzie znać, że je ruszałam. Za nimi nic nie leży. Pudełka po butach, które stoją na samej górze, wyglądają obiecująco. Przeglądam jedno po drugim, ale na nic nie trafiam. Stare pamiętniki zaczynające się od napisanych dziecinnym charakterem zdań w stylu:

Dziś muszę posprzątać w pokoju... Brianna jest najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam...

Korespondencja z koleżankami, niestety wszystko z dawnych lat. Gdzie ja bym próbowała coś schować? Cammy tak bardzo chce być dorosła, więc może trzeba raczej spytać: gdzie dorosła osoba ukryłaby coś, czego nie chce nikomu pokazać?

Macam kieszenie wszystkich wiszących ubrań, dżinsów, kilku bluz, które nie leżą zmiętoszone. Nic poza kilkoma monetami i gumkami do włosów. W ostatniej parze, która wisi na samym końcu wieszaka, coś szeleści.

Jakaś kartka. Wyciągam ją i widzę, że to pisany na komputerze, złożony na trzy części list:

Szanowni Państwo Friedman!

Otrzymaliśmy list od lekarza Państwa córki. Z przykrością dowiedzieliśmy się o stanie jej zdrowia. Ponieważ dostaliśmy wszystkie wymagane dokumenty, niniejszym przekazujemy informacje, które wydają się istotne z medycznego punktu widzenia.

Co to jest, do diabła? Odwracam list, przyglądam się kopercie i nadal nie bardzo rozumiem, co czytam. List jest autentyczny.

Przebiegam go wzrokiem, ale słowa skaczą mi przed oczami.

Wyniki badań krwi wskazują natomiast, że matka była narkomanką, odnotowano bowiem ślady metamfetaminy.

O Jezus. Ona wie...

Siedzę po turecku na podłodze i nogi całkiem mi zdrewniały.

Odchylam się do tyłu, żeby je rozciągnąć, i patrzę na naklejki z gwiazdami na ciemnym niebie, które Cammy nakleiła na suficie, gdy skończyła siedem lat.

Dociera do mnie, że właściwie w ogóle jej nie znam. Stała się obcą dziewczyną. Bluzy, długie czarne spódnice, plecione sandały, które Bob nazywa kapciami Jezusa. Czarne glany. Plakat zespołu Evanescence nad łóżkiem. Nad biurkiem zdjęcie Jimiego Hendriksa, który robi znak pokoju. Jest też wizerunek Marilyną Mansona. Na podłodze niedaleko mnie czarny cień do powiek plami dywan. Pusta butelka po witaminizowanej wodzie o smaku winogronowym. Zmięte wypracowanie na temat „Przemiany” Kafki, za które dostała piątkę. Widzę krople do oczu visine. I walcowaty pojemnik po odświeżaczu do ust. Zbieram siły, żeby się podnieść. Do przodu. Zamach.

Opieram się na rękach i kolanach i zaczynam wstawać jak starsza pani na zajęciach ruchowych. Ciemno tu. Pochylam się, żeby podnieść poduszkę – jedyna rzecz, którą mogę poprawić, bo wiem, że tego nie zauważy. Przytrzymuję ją przez chwilę przed odrzuceniem na łóżko.

Z jednej strony jest mokra. Nie bardzo, ale pośrodku białej poszewki z rozmazanym tuszem do rzęs jest plama, która zaczyna wysychać. Bez zastanowienia podnoszę poduszkę

do nosa i wacham plamę. Znam ten zapach. Stoję jak wmurowana. Stopy tkwią na podłodze jak wówczas, gdy pierwszy raz jako dziecko wdrapałam się na trampolinę na basenie w pobliżu domu. Tyle że teraz nie mogę się odwrócić i zejść po drabince na dół.

Czy to sperma Ricky'ego? Paula? Jak mogli się tu dostać? Podchodzę do okna i już znam odpowiedź. Kimkolwiek on jest, musiał wdrapać się po drzewie, które rośnie za oknem. Jezu Chryste. Robi mi się niedobrze. Biegnę do łazienki i pochylam się nad toaletą. Gdzie ja byłam? Kim jestem, że w ogóle nie znam własnej córki? Dawniej wiedziałam zawsze, gdy miała okres. Wiedziałam, że nie znosi brukselki. Trzeba jej było pomagać wiązać sznurowadła, choć rówieśnicy dawali już sobie radę sami. Nudności mi przeszły. Wyprostowałam się i papierem toaletowym wytarłam skórę pod oczami.

Seks. Moja córka uprawia seks. A ja nie mam pojęcia, z kim to robi. W dodatku ma poważny problem z narkotykami i należy do subkultury gotów. Gdzie ja, do diabła, byłam?

Fałszywe dokumenty, które dostarczyła agencji adopcyjnej, zostały wydrukowane pod naszym nosem. Nie pojmuję, jak jej się udało podrobić zaświadczenia lekarskie, ale przecież jest uczennicą, która na zajęciach informatycznych zbiera same piątki, a poza tym oni wszyscy znają komputery na wylot, więc z pewnością bez trudu znalazła dostęp do stron, gdzie zdobyła informacje potrzebne do stworzenia listu od lekarza.

Dzwonię do Boba, łączę się z jego sekretarką.

– Cześć, Grace. Mówi Sam. Jest gdzieś w pobliżu?

– O, cześć, Sam. Chcesz, żebym go obudziła?

– To on śpi?

– No tak. Właściwie trochę na to za wcześnie. Zazwyczaj wyłącza telefon, ale mogę do niego zapukać, jeśli chcesz.

– O której zwykle śpi? – pytam. – Przypomnij, zapomniałam – kłamię, bo nie mam innego wyjścia. Mój mąż najwyraźniej upadł niżej, niż mi się zdawało.

– Och, bo ja wiem. Czasami o drugiej, a czasem o drugiej trzydzieści.

– Tak, rzeczywiście. Nie budź go. Później z nim pogadam. Dzięki, Grace.

Mocno łapię się za głowę. Czuję się tak, jakbym stanęła na skraju ruchomych piasków. Boba już wessały. Mogłabym podać mu rękę, ale wówczas mnie też wciągną, a co wtedy poczną dzieci?

Sądziłam, że po oddaniu Cammy Geraldine Wilkes wyjechała z miasta. Zbyt wiele osób pytałoby, co się stało z dwuletnią córeczką. Ja na pewno pojechałabym gdzieś, żeby zacząć wszystko od nowa. Ale może jednak została, wpadła w narkotykową rozpacz, a potem z tego wyszła i doprowadziła się do porządku. Wpisuję nazwisko w wyszukiwarce i wyskakują trzy osoby. Jedna jest nauczycielką w dzielnicy South Side. Druga jest garncarką, która wystawia swoje prace na różnych targach rzemiosła. Klikam na jej stronę internetową i widzę, że jest za stara na matkę Cammy. Przy ostatniej przenika mnie dreszcz. Geraldine Wilkes, bibliotekarka, filia Biblioteki Publicznej miasta Chicago w dzielnicy Lincoln Park. Biblioteka.

„To Cameron nas tu ściągnęła. Z jakiegoś powodu zdecydowała, że powinniśmy przenieść się tutaj”.

Nie wiem, jak udało mi się przeżyć resztę dnia, ale jakoś jednak przeżyłam. Skleciłam nawet obiad. Chyba to był klops.

Po mniej więcej trzech godzinach niespokojnego snu doczekałam się wreszcie nadejścia ranka i w końcu mogę zacząć nowy dzień. Wstaję bardzo wcześnie. Czekają mnie ciężkie godziny. Już teraz myślę o nich z niepokojem jak o walce, którą trzeba podjąć. Żeby czas szybciej płynął, wyjątkowo przygotowuję śniadanie, mieszam ciasto na naleśniki, pobrzękuję patelniami, aż wreszcie chłopcy schodzą na dół. Ze zdumieniem przecierają zaspane oczy, gdy widzą mnie w zwykły roboczy dzień przy śniadaniu, które robię tylko w weekendy. Jest siódma rano, a ja jestem tak wyczerpana, jakby już było południe.

– O rety, trzeba to zapisać w kominie – mówi Bob, wchodząc do kuchni. Na świeżo ogolonej twarzy ma przyklepione skrawki chusteczki higienicznej. – Naleśniki w zwykły dzień. – Jego ton nie jest przyjemny. Podnosi naleśnik, składa go na pół i wsuwa do ust.

– Nie możesz usiąść jak cywilizowany człowiek i zjeść razem z dziećmi? – mówię.

W każdej chwili może do kuchni wpaść Cammy. Wepchnie naleśnika do buzi w drodze do samochodu Margie O'Donnell. Zrobi mi to na złość, świadoma, że usłyszy ode mnie to samo, co powiedziałam jej ojcu.

Wybiegnie z domu, nie mając pojęcia, że jestem na jej tropie. Gra skończona.

– Andrew, zawołaj siostrę. Powiedz jej, że śniadanie gotowe.

– Cammy! Śniadanie gotowe! – drze się z krzesła przy kuchennym stole.

– Muszę lecieć – mówi Bob. Jest już w połowie drogi do drzwi. – Do zobaczenia wieczorem. Sam, chcesz, żebym dziś kogoś odebrał? Mam wolne popołudnie.

Patrzę na niego przez ramię, jednocześnie wrzucając paczuski z marchewkami do torby na lunch. Nie doceniam jego starań. Po tak długim czasie, po wszystkich moich prośbach, wydaje mi się to sztuczne. Zbyt mało tego starania i zbyt późno nadeszło.

– Nie. – Idę w jego stronę, żeby znaleźć się poza zasięgiem uszu chłopców. – Muszę porozmawiać z tobą o Cammy.

– Nie możemy porozmawiać wieczorem?

– Wydawało mi się, że wspominałeś coś o wolnym popołudniu.

– Nie mam czasu, żeby znów to zaczynać. Porozmawiajmy później.

– Czyli zaproponowałeś, że odbierzesz dzieci, bo wiedziałeś, co odpowiem? Tylko udawałeś?

– Muszę iść. Cześć, dzieciaki!

– O czym rozmawiacie? – dopytuje Andrew. – Klóćcie się?

– Nie – odpowiadamy natychmiast jednym głosem. – Nie mów z pełnymi ustami. Jamie, starczy już syropu.

A potem każę Andrew iść po siostrę, co daje mi kilka sekund.

Pochylam się do Boba, który podnosi teczkę.

– Słuchaj, musimy zastanowić się nad jakimś planem działania.

– O co chodzi z tymi naleśnikami? – Do kuchni wchodzi Cammy. Pytanie kieruje do chłopców, a oni wzruszają ramionami między jednym a drugim kęsem. Ich miny mówią: „Nas też to dziwi, ale daj sobie spokój i nie psuj nam nastroju”.

– Muszę bieć, do zobaczenia – mówi Bob i już go nie ma.

– Jedzcie szybko – mówię do dzieci. – Nie chcę, żeby pani O'Donnell musiała na was czekać. Buty, plecaki. Weźcie kurtki, ma się ochłodzić.

– Nie potrzebuję kurtki – protestuje Andrew.

– Mimo wszystko weź. Jamie, zapomniałeś zabrać lunch. Nie, włóż od razu do plecaka, bo znów zostawisz w samochodzie pani O'Donnell, jak to było ostatnim razem. Andrew, kurtka! Dobrze, możesz włożyć polar.

Unikamy z Cammy kontaktu wzrokowego. Wychodzi z domu bez słowa, a ja biegnę do komputera sprawdzić pocztę.

Proszę, niech będzie tam mejl od niego.

Cammy

Czasami mam ochotę wrzasnąć:

– Jest tam ktoś?

Czuje się tak, jakbym znalazła się w równoległym wszechświecie i stała się niewidzialna. Na jakiejś planecie, gdzie wylądowałam, żeby prowadzić obserwacje form życia, ale nie znam ich języka. Nikt mnie nie słyszy. Jak w koszmarze sennym, kiedy otwierasz usta, żeby wzywać pomocy, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Tak jak u ojca Ricky'ego. Ma dziurę w gardle i mówi za pomocą jakiejś maszyny, przez co brzmi jak robot. To naprawdę popieprzone. Ricky nigdy o nim nie opowiada. Przypuszczam, że się wstydzi. Raz jego tata przyszedł na dni otwarte. Zdaje się, że byliśmy wtedy w siódmej klasie. Ricky udawał, że wcale nie jest jego synem, ale potem w holu głównym, gdzie rodzice oglądali wystawę naszych prac z fizyki, jego tata podniósł to urządzenie do szyi i powiedział: „To. Jest. Świetne. Richardzie”. Wszyscy zaczęli się na niego gapić, nie złośliwie, tylko po prostu nigdy czegoś takiego nie słyszeli. To był ostatni raz, kiedy jego tata przyszedł do szkoły. Myślę sobie o tym, co Ricky musiał mu powiedzieć, żeby go zniechęcić do kolejnych wizyt, i chce mi się płakać, sama nie wiem czemu. Kiedy czasem pytam o niego, Ricky patrzy na mnie, jakby nie usłyszał pytania i mówi:

– No dobra...

I kończy się na tym, że rozmawiamy o czymś innym.

Nie spaliłam jeszcze tego pamiętnika, bo dzięki niemu mogę sobie przypomnieć, co mam robić. Ostatnio zaczęłam wszystko zapominać. Nawet najprostsze rzeczy.

No więc postanowiłam ułożyć plan. Staram się nie brać niebieskiej tabletki przed czwartą po południu. Jeśli wezmę wcześniej, koło szóstej przeżywam odjazd, który zaraz potem przechodzi. A palenie po tym, gdy przestaje działać tabletką, nie jest już takie przyjemne jak kiedyś. Przedtem wystarczyły dwa sztachy i byłam gotowa. Rozluźniona, jak mówi Paul. Teraz potrzebuję dwóch skrętów. Tyle że nie mogę zapamiętać, co mówiłam, a czego nie. Albo co robiłam. Na przykład dostałam dziś wiadomość od Moniki:

– Przestań mnie prześladować, kretynko.

Spojrzałam do rejestru rozmów i okazuje się, że dziewięć razy próbowałam się z nią połączyć, a zupełnie nie pamiętam, że tego było aż tyle.

Albo to. Kilka dni temu przekazałam Samancie informację

od pani Tippet, że nie potrzebuję już korepetycji z matmy, bo w końcu załapałam analizę matematyczną. Samantha spojrzała na Boba ponad miską ze spaghetti, oboje popatrzyli na mnie, i w końcu ona się odzywa:

– Mówiłaś to po przyjściu ze szkoły.

– No tak, wiem... – Ale prawda jest taka, że kompletnie zapomniałam.

Samantha patrzyła na Boba, jakby chciała powiedzieć: „Znowu jej odbija”, ale sytuacja poprawiła się, gdy Bob powiedział:

– Jesteśmy z ciebie dumni, Cam.

Może nie było lepiej, ale mniej niezręcznie. Mało brakowało, a wszystko bym zawałiła.

– Możemy porozmawiać? – Samantha zwróciła się do Boba. Nie było w tym nic niezwykłego, bo i tak wszyscy skończyliśmy jeść. Chłopcy spytali, czy mogą już iść, a Samantha na to: – Tak, ale najpierw wstawcie talerze do zlewu. Cammy, sprzątnij podkładki. I wynieś śmieci, dobrze?

Byłam w kuchni i składałam durne plastikowe podkładki, które Bob przywiózł z wyjazdu do Waszyngtonu, te, na których w małych owalnych ramkach są twarze prezydentów. Kiedy byłam mała, nauczycielka kazała nam zapamiętać pierwszych dziesięciu i teraz próbowałam ich sobie przypomnieć, ale kiedy doszłam do Madisona, usłyszałam, jak Samantha najeżdża na Boba, więc przesunęłam się do kąta przy drzwiach do salonu, żeby lepiej słyszeć.

– Stale to robisz – mówi. – Zawsze ty jesteś dobrym gliną, a ja złym.

– W jaki sposób byłem teraz dobrym?

– Jesteśmy z ciebie dumni, Cam – przedrzeźnia go. – Jezu... Czy ty nie widzisz, co się dzieje?

– Co takiego? Co się dzieje? Dlaczego ciągle mam uczucie, jakbym przechodził egzamin ze znajomości dzieci? Zupełnie jakbym ich nie znał.

– Bo zawsze próbujesz wszystko załagodzić, żeby uniknąć konfliktów. Żeby w twoim świecie złudzeń nie było żadnych zakłóceń.

– W moim świecie złudzeń? Co to, do diabła, ma znaczyć? Dlaczego po prostu nie powiesz, o co ci chodzi, na miłość boską?!

– Nieważne – mówi Samantha. – Chodzi o to, że z Cammy dzieje się coś złego...

– Z Cammy ciągle dzieje się coś złego – przerywa jej Bob. – Sama powiedz, kiedy ostatnio było z nią wszystko w porządku?

Słyszę, jak Samantha ucisza go. Podłoga zaskrzypiała, gdy szła w stronę drzwi do kuchni, żeby zobaczyć, czy nie słucham. Miałam ochotę pozwolić jej zobaczyć, że wszystko słyszałam, ale przede wszystkim marzyłam o tym, żeby wejść na górę do swojego pokoju i odlecieć. Nastrój zaczął mi się pogarszać, więc prawdopodobnie zbliżała się szóstka.

A więc tak to jest. Z Cammy ciągle dzieje się coś złego. Znakomicie.

Samantha

Zeszłej nocy nie mogłam spać. Około trzeciej nad ranem poddałam się. Wstałam i wysłałam mejla do Craiga z pytaniem, czy możemy spotkać się w Starbucksie. Potem jakoś udało mi się zasnąć, bo obudziłam się, dopiero gdy zadzwonił budzik Boba.

Jest taka chwila po przebudzeniu, gdy nie pamiętasz, co cię dręczy. Przeżyłam to właśnie kilka sekund temu. A potem wszystko sobie przypomniałam. Sprawdziłam pocztę, kiedy Bob brał prysznic, i teraz ze zdenerwowania boli mnie żołądek, bo za kilka godzin będę opowiadać Craigowi, że poznałam Evie. Po lunchu. O pierwszej. Oczywiście, że mu powiem o spotkaniu Evie. Muszę mu to powiedzieć.

Pytanie tylko jak.

Przez tę ostatnią godzinę cztery razy brałam krople na żołądek, dwa razy się przebrałam. Nie wiem, jak powinnam wyglądać: swobodnie, jakby to było kolejne wydarzenie, o którym mu opowiadam (a więc dżinsy i sweterek), czy raczej wytwornie w stylu: „Słuchaj, jestem dorosła; w żadnym razie cię nie zdradzę, a przy tym ja też mogę wyglądać atrakcyjnie”(wąska spódnica, czarne botki, biała bluzka). W końcu włożyłam czarne dżinsy, niskie botki i rzeczywiście białą bluzkę, tyle że nie wsunęłam jej do spodni. Więc wybrałam tak pół na pół.

I tak się zresztą czuję.

Spoglądam do dużego lustra. Jest dopiero dziesiąta, więc mam jeszcze trzy godziny czekania. Mogę zabić ten czas na tysiąc sposobów, ale nie robię tego. Siedzę na kanapie z rękami złożonymi na kolanach, jakbym czekała na wezwanie do gabinetu szefa. Dość tego. Przecież to głupota. Idę do komputera i postanawiam przekopać się przez pocztę. To powinno mnie zająć. Od koleżanki z college'u dostałam ostrzeżenie na temat dezodorantów i raka piersi. Inna koleżanka przesyła wiadomość typu łańcuszek szczęścia: jeśli wyślesz ten list do dziesięciu osób, w tym tej, od której go dostałaś, los się do ciebie uśmiechnie. Jeszcze ktoś inny przysłał rozwlekłą historię umierającej na raka dziewczynki, której jedynym marzeniem jest dostawać dużo listów. Dziewczynka umiera już od kilku lat, bo pamiętam, że już kiedyś dostałam tę samą prośbę. A może to listy trzymają ją przy życiu. Aha, akurat.

Mejl od Ginny, która przypomina nam, że w przyszłym tygodniu jest spotkanie klubu czytelniczego i prosi o informację, ile nas przyjdzie. Piszę, że ja będę, ale nie ma nic więcej, na co

musiałabym odpowiedzieć. Załatwiam telefonicznie kilka zaległych spraw, zapisuję chłopców do ortodonta i umawiam wizytę Cammy na badania.

No i zrobiło się południe. Skubię zimne spaghetti prosto z naczynia do zapiekania i w tym momencie otwierają się frontowe drzwi. Zamieram przed otwartą lodówką.

– Halo? Sam?

To Bob.

– Boże, śmiertelnie mnie przestraszyłeś. – Podchodzę do drzwi kuchni i widzę, jak rzuca klucze na stolik. – Stało się coś?

– Dlaczego miało się coś stać?

– Cóż, nigdy nie przychodzisz do domu w środku dnia. Coś się wydarzyło? W pracy wszystko w porządku?

– Pomyślałem, że przyjadę na lunch.

Oboje patrzymy na naczynie, które trzymam w rękach.

Drzwi lodówki nadal są otwarte. Nie wiedzieć czemu, czuję się winna, że jem prosto z garnka.

– Chcesz trochę spaghetti? – Sięgam do szafki po talerz. –

Właściwie nie ma nic innego.

Spoglądam na zegarek. Jest dwunasta dwadzieścia.

Z domu powinnam wyjść za dziesięć pierwsza. Musi więc jeść szybko, żebym się nie spóźniła.

– Wygląda nieźle. – Przerzuca krawat przez ramię i odsuwa stołek. Dociera do mnie, że oczekuje, bym go obsłużyła. Jak zawsze. Dziś jednak nie mam nic przeciwko temu, bo mogę zrobić to szybciej.

– Co chcesz do picia?

– Wystarczy woda.

Nawet jednego ruchu nie zrobił, żeby sobie ją wziąć.

– Ale poważnie, co się dzieje? – Zsuwam spaghetti na talerz.

– Musiałem wyjść z biura. Doprowadzają mnie do szafu.

– I dlatego jesteś tutaj?

Zegar na kuchence wskazuje dwunastą czterdzieści. Jeszcze dziesięć minut.

– Dlaczego spaghetti lepiej smakuje następnego dnia? – zastanawia się Bob. – Zauważyłaś?

Pośpiesz się! Jedz szybciej, na miłość boską! Muszę już wychodzić. Że też akurat dzisiaj musiałeś przyjechać do domu.

– Po prostu chciałem się urwać na kilka minut – mówi Bob. – Wcale nie jestem aż tak głodny. W biurze panuje ciśnienie jak w szybkowarze. Nie uwierzyłyabyś.

– Mogę się domyślać. – Chrząkam. – Prawdę mówiąc, muszę wyjść.

– Dobra, wyjdę z tobą.

– Przecież dopiero przyjechałeś – powstrzymuję go.

Powinnam czuć wyrzuty sumienia, że go popędzam.

Powinnam być szczęśliwa, że zdobył się na wysiłek, żeby

ze mną porozmawiać, nawet jeśli chodzi o prozaiczne sprawy.

Powinnam przysunąć krzesło i go wysłuchać. Możliwe, że potem

otworzyłby się bardziej. Przecież na takiej właśnie rozmowie mi

zależało. Powinnam się cieszyć, a przynajmniej poczuć się winna.

Jednakże nie mam żadnych podobnych odczuć. Chcę tylko, żeby

wyszedł. Nie mogę ryzykować, że pojedzie za mną, nawet

przypadkiem. Starbucks jest na trasie do jego biura, więc mógłby zobaczyć, jak tam parkuję.

– Może zostań i zjedz jeszcze trochę.

– Nie, już starczy. Chciałem mieć pretekst, żeby się urwać. Co będziesz robić po południu? – woła z łazienki obok kuchni.

Dwunasta czterdzieści osiem. Szybciej, szybciej! Ile czasu zajmuje pójście do toalety? Pośpiesz się!

– Nic specjalnego, to, tamto. Różne rzeczy.

Wraca do kuchni, zapinając po drodze spodnie. Mam wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie, staram się jednak zachowywać swobodnie, chociaż serce tłucze mi się w piersi.

Kiedy schodzimy po schodkach, widzimy Ginny, która idzie ze swoim psem, Harrym.

– Ależ z was wspaniała para! – woła. – Wyglądacie jak z reklamy.

Przez ułamek sekundy patrzę na nas jej oczami. Rzeczywiście wyglądamy na idealną parę. Dla innych.

– Jesteś bardzo miła. – Przechodzę szybko obok niej, wciskając przycisk pilota. Przez ramię widzę, jak Bob wsiada do samochodu i włącza silnik.

Jakimś cudem spóźniam się tylko pięć minut.

Parkuję i biegnę chodnikiem. Podchodzę do drzwi i osłaniam oczy, żeby poszukać Craiga przez szybę. Uwielbiam to robić. Lubię na niego popatrzeć, gdy nie zdaje sobie z tego sprawy. Siedzi przy naszym stoliku i grzeje dłonie na kubku z kawą. Widocznie poczuł moje spojrzenie, bo podnosi wzrok, uśmiecha się i przywołuje mnie gestem do środka.

Żałuję, że nie mogę go pocałować. Ze wszystkich tych zwyczajnych rzeczy, które miałabym ochotę z nim robić – chodzenie do kina, spacer w parku w ciągu dnia – najbardziej chciałabym móc go całować na powitanie.

Podnosi się i czeka, aż usiądę.

– Wszystko w porządku? – pyta. – Twój mejl mnie zaniepokoił. Nie jest dobrze przeczytać, że „musimy porozmawiać”. Co ci wziąć? To samo co zwykle? Siedź, siedź, ja przyniosę.

Przez tych kilka sekund znów ogarnia mnie niepokój. Nie wyjmując lusterka, na pamięć poprawiam szminkę.

Nie wiem czemu, ale mam wrażenie, że to jest decydujący moment.

– Proszę – mówi Craig, wsuwając się na swoje krzesło. – No więc? Co się dzieje?

Uwaga, zaczyna się. Uświadamiam sobie, że tak właśnie pomyślałam. Uwaga, zaczyna się. Stwierdzam, że najlepiej powiedzieć wszystko prosto z mostu. Niech się dzieje, co chce.

– Poznałam Evie.

Przewiercam go wzrokiem, szukając jakiegoś skrzywienia się czy wzdrygnięcia, lecz nic nie widzę. Chyba nie dotarło do niego.

– Słyszałaś, co przed chwilą powiedziałam? Poznałam Evie. I Lexi. Zrozumiał, dopiero gdy usłyszał imię córki.

– Jak to? Co chcesz powiedzieć przez to, że je poznałaś?

– Na piłce nożnej w zeszły weekend. Oczywiście nie wiedziała, kim jestem.

– Ale jak to? To znaczy... – Widzę, że nie wie, jak zadać właściwe pytanie.

– Skąd wiedziałam, że to ona? Piłka Lexi potoczyła się w moją stronę. Przyglądałam się grze chłopców, a jej boisko było obok. Patrzy na kubek nieobecny wzrokiem. Widzę, że intensywnie myśli, co z tym zrobić. Dociera do mnie, że jest o nią zazdrosny. Możliwe, że trochę przesadził, opowiadając o braku bliskości.

– Przedstawiła siebie i Lexi – ciągnę. – Są piękne. A właściwie zachwycające. Aż mi dech zaparło. – Kiedy to mówię, podnosi na mnie wzrok. – To znaczy nie wiem, czego się spodziewałam, ale Jezu, Evie jest cudna. Dziwnie się czułam, bo tyle o niej wiedziałam. Przez ułamek sekundy chciałam spytać, czy skończyły się te migreny. – Kilka tygodni temu powiedział, że strasznie cierpi. – Pamiętasz, mówiłeś mi, że ma takie straszne migreny. Czemu tak dziwnie na mnie patrzysz? Nie powiedziałam tego. Oczywiście, że nic nie powiedziałam. – Uśmiecham się, by ukryć zażenowanie. – To zabawne, ale kiedy ją zobaczyłam, zaczęłam zastanawiać się, dlaczego mnie pocałowałeś, skoro w domu masz ją. Zabawne, nie? To była pierwsza moja myśl. – Cholera, odezwij się. Jak możesz pozwolić, żebym się tak wiała.

Bądź mężczyzną i powiedz, co myślisz! Oczywiście nie mówię tego na głos. – Wiesz, co jest dziwne? Poznałam twoją żonę i twoją córkę, a w ogóle nie mam poczucia winy. Ty pewnie w tej chwili czujesz się winny, ale ja nie. Wiem, że przez to jestem mniej atrakcyjna, lecz taka jest prawda. Zresztą jesteśmy po prostu przyjaciółmi. – Nadal nic. – Teraz powinieneś wpaść mi w słowo i coś powiedzieć.

Może teraz właśnie zakończy naszą znajomość. Przystaniemy rozmawiać. Pisać do siebie. Pewnie myśli, że to zbyt ryzykowne, bo nasze życia mogą się całkiem nieoczekiwanie zająć. W tym momencie dociera do mnie, że serce mi pęknie, jeśli nie będę miała w nim przyjaciela.

Potrzebuję go i koniec. Chociaż może tak będzie lepiej. Powinnam skoncentrować się na rodzinie... Na Cammy. Tak, rzeczywiście. Tak będzie lepiej. Całą energię, którą poświęcam jemu, wykorzystam z pożytkiem dla rodziny. Kiedyś będę wdzięczna Craigowi, że nie zabrakło mu siły. I zaraz znowu pojawia się myśl: Boże, rozstaniemy się i będę musiała wrócić do mojej rodziny. Craig, proszę, nie rób tego. Proszę, nie odsyłaj mnie.

Pochylam się w jego stronę, jakbym czekała na odczytanie werdyktu i zaraz prostuję plecy.

– Lepiej już pójdę. – Oczywiście mam nadzieję, że mnie zatrzyma i przynajmniej wyjaśni swoje milczenie. – Powinnam się zbierać. – Poczekaj.

Z uczuciem ulgi opadam z powrotem na krzesło.

Próbuję pokonać uczucie, że zrobiłam coś złego, poznając żonę Craiga. Ale to ona do mnie podeszła. Z pewnością nic nie zawiniłam. Nie wiedziałam, kim ona jest, bo niby skąd miałam wiedzieć? W życiu bym sobie jej tak nie wyobrażała.

– Nie wiem, co mam myśleć – odzywa się Craig. – Nie zamierzam cię dręczyć, ale zwyczajnie nie wiem. Prawdę mówiąc, aż się dziwię, że to nie zdarzyło się wcześniej. Przecież nie mieszkamy zbyt daleko od siebie. Gdybyśmy dobrze poszperali, pewnie okazałoby się, że mamy wspólnych znajomych. Ale ta sytuacja wprawiała mnie w zakłopotanie. Nie zrozum mnie źle, ale czuję się za nie odpowiedzialny.

– Za Evie i Lexi.

– Tak.

Najwyraźniej nie chce przy mnie wymawiać ich imion.

– W porządku. – Staram się zachowywać swobodnie, jakby w ogóle nie zabolowało mnie, że zaczął mnie traktować jak obcą osobę. Czuje się winny. Czuje się winny i to je wybrał.

– Słuchaj, naprawdę muszę już iść – kłamię. – Czułabym się źle, ukrywając to przed tobą. Wiedziałam, że muszę ci to powiedzieć. Ale...

Urywam, bo nie wiem, co mam jeszcze dodać. Mam nadzieję, że wpadnie mi w słowo i powie, że postąpiłam właściwie. Że mnie poprosi, bym jeszcze trochę została. Chcę, żeby porozmawiał ze mną o tym, co czuje i myśli.

– Jasne – mówi. – Porozmawiamy innym razem.

Jest zatopiony w myślach i prawie nie zauważa, że wkładam żakiet i wychodzę.

Idę chodnikiem w stronę samochodu. Zostawiłam go trzy przecznice dalej, na parkingu sklepu sportowego, bo tylko tam było miejsce.

Dlaczego nie mogę wreszcie podjąć jakiejś decyzji? Za każdym razem, gdy rozstaję się z Craigiem, postanawiam, że już więcej się nie zobaczymy. Myślę, że tym razem faktycznie tak będzie.

Uwolnię się i wrócę na łono rodziny. Do Boba, który nie może uporać się z przygnębieniem. Do problemów Cammy, które nie rozwiążą się same. Wcześniej też o tym oczywiście wiedziałam, ale byłam bezsilna. Teraz mam mnóstwo energii i mogę się tym zająć. Tyle że równie szybko czuję się wyczerpana. Na miłość boską, niech mi ktoś pomoże.

Wchodzę na cuchnącą klatkę schodową, którą idę na trzeci poziom parkingu. W każdym kącie leżą niedopałki papierosów. Na pierwszym podejściu coś, co wygląda jak rozlana coca-cola. Także uryna. Jestem w stanie zawieszenia. Nie należę do żadnego z tych światów. Ani do świata Boba, ani do świata Craiga. Znalazłam się w otchłani, jak te dusze zmarłych, które krążą, dopóki nie pójda do nieba lub do piekła.

Chcę się uwolnić i podjąć jakąś decyzję. Muszę to zrobić. Może właśnie nadszedł na to czas.

Cammy

W drodze do samochodu pani O'Donnell Jamie krzyczy, że dzisiaj on siada obok kierowcy. Tak, jasne. Naprawdę wydaje mu się, że na to pozwolę? Będzie tak jak zawsze: on chwyta za klamkę i próbuje wsiąść, a ja go wyciągam. Jest taki mały, że robię to jedną ręką.

Pani O'Donnell mogę powiedzieć właściwie wszystko. Czy raczej prawie wszystko. No bo gdyby wiedziała, co się naprawdę dzieje, na pewno powiedziała by o tym Samancie, więc nie zagłębam się za bardzo w szczegóły.

Dziś ni stąd, ni zowąd mówi:

– Czy dużo kolegów z twojej klasy bierze?

W pierwszej chwili paranoicznie przestraszyłam się, że wie o mnie i zastawia pułapkę. Ale zaraz dodaje:

– Nie chciałam, żebyś poczuła się niezręcznie. Po prostu jestem ciekawa.

– W porządku. To znaczy może pani pytać. Hm, pewnie niektórzy ćpają. Nie wiem. Bo właściwie nie jestem z nikim zbyt blisko. Ale tak, biorą narkotyki.

– Tak? – Wygląda na to, że faktycznie jest po prostu ciekawa. – A jakie to narkotyki?

– Nie wiem. Pewnie trawę. A niektórzy kokę lub eskę.

– Eskę? Masz na myśli ecstazy?

– Tak. No i grzyby. – Serce zaczyna mi walić mocno.

Patrzę na nią ukradkiem, żeby zobaczyć, jakie to na niej zrobiło wrażenie, ale nie wydaje się zszokowana. A przynajmniej tak mi się zdaje.

– No, no. Nie miałam pojęcia... To znaczy domyślałam się, że mogą palić trawkę, ale te inne rzeczy nie przyszły mi do głowy. A ty próbowałaś?

Nie sprawia mi przyjemności okłamywanie jej, ale przecież muszę. Mówię, że nigdy nie brałam. Wydaje się, że uwierzyła, chociaż szybko zmieniła temat, więc może nie chciała mnie zmuszać do dalszych kłamstw. Prawdopodobnie uważa, że ktoś, kto wygląda tak jak ja, musi coś brać. Wszyscy tak na mnie patrzą.

– Dużo czasu zajmuje ci zrobienie takiego makijażu? – pyta.

No właśnie... Samantha nigdy nie zadałaby mi takiego pytania.

Ona nie cierpi mojego makijażu i moich ciuchów.

A pani O'Donnell nie próbuje mnie krytykować.

– No, trochę – mówię. – Z początku dostawałam wysypki od tego białego podkładu, ale potem skóra się przyzwyczaiła. Najdłużej trwa malowanie oczu.

– Nie dziwię się. Jak się nauczyłaś to robić? Czy to, co narysowałaś, to czarne łyzy?

– Tak.

– Ale dlaczego łyzy?

Prawie na mnie nie patrzy. Dzięki temu łatwiej mi z nią rozmawiać.

– Bo wie pani, nie chcę nic udawać. Nienawidzę fałszywych ludzi.

– A więc rzeczywiście Cammy płacze?

Kurczę, dobra jest. Samantha i Bob nigdy mnie o to nie pytają. Im tylko zależy na tym, żeby to przerwać, a nie żeby zrozumieć.

Patrzę przez okno na kobietę, która spaceruje z grubym psem.

Zatrzymuje się za każdym razem, gdy pies obwąchuje coś na chodniku. Chyba wyczuła, że się na nią gapię, gdy stoimy na światłach, bo odwraca do mnie głowę. Wydaje się smutna, ale nagle – to było całkiem niezrozumiałe – podnosi rękę. Właściwie nie pomachała mi. Tylko uniosła dłoń. A jeszcze dziwniejsze jest to, że ja też podniosłam swoją. Nigdy wcześniej nie spotkałam tej kobiety. Całkiem obca osoba, która mnie zauważyła.

Pani O'Donnell nic nie widziała. Popija kawę z fast foodu.

– A więc ten makijaż... – mówi, przypominając mi, o czym rozmawialiśmy.

– A tak... No więc część zespołów, których słucham, maluje się w ten sposób. Właściwie to coś więcej niż makijaż. To raczej maska, którą zakładamy. Inni ludzie są sztuczni i udają różne rzeczy, tak że w rezultacie trudno zgadnąć, jacy naprawdę są. My przynajmniej jesteśmy uczciwi.

– Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam... Poczekaj. Chłopcy, macie ochotę na paczka? Mamy trochę czasu, więc możemy przejechać przez bar samochodowy.

– Taak! – mówią z tyłu.

Pani O'Donnell jeździ chevroletem suburbanem, więc z tyłu siedzi z pięćdziesiąt osób i hałas jest niemożliwy, ale dzięki temu możemy rozmawiać, bo nikt nas nie słyszy.

– Czy mogę dostać z czekoladową polewą?

– A ja chcę z posypką!

– Zwykły!

– Kupię dla wszystkich zwykłe – odkrzykuje pani O'Donnell.

– O rety... Dlaczego nie może być połowa z czekoladą, a połowa zwykłych?

– Albo zwykłe, albo wcale. Zdecydujcie teraz, bo inaczej jedziemy dalej.

– Zwykłe!

Zamawia czternaście, więc każdy dostaje dwa. Wie, że ja nie będę jadła. Staram się jeść zdrowo. Podaje pudełko do tyłu, a chłopcy rzucają się na nie jak wilki.

– Na czym skończyliśmy? – Odwraca się do mnie jeszcze przed powrotem na drogę. – A właśnie! Miałam cię zapytać, czy przekłucie nosa bolało?

– Tak, ale po paru dniach przestaje, a teraz w ogóle nic nie czuję.

– Czy rodzice wściekli się na ciebie? – dopytuje. – Bez obrazy, ale ja bym swoje dzieci zabiła.

Wyrzalam przez okno i z jakiegoś niezrozumiałego powodu nagle poczułam chęć, żeby opowiedzieć jej o wszystkim. Zobaczyłam jakąś kobietę z dziecięcym wózkiem. Składała budkę, żeby zajrzeć do dziecka i zrobiła tę uśmiechnięto-gruchającą minę, co z jakiegoś powodu mnie wkurzyło. Oboje wydawali się tacy szczęśliwi i promienni. Z pewnością są do siebie podobni. No i powiedziałam.

– Oni nie są moimi prawdziwymi rodzicami.

Sięgnęła ponad uchwyty na napoje i poklepała mnie po ręce.

Spuściłam wzrok na nasze dłonie. Trzymała swoją rękę na mojej aż do światła. Nie odezwała się ani słowem i bardzo dobrze.

Zresztą co miała powiedzieć? Odwróciłam głowę do okna, więc nie widzi ły. Tym razem prawdziwej.

Moja rodzona matka zrobiłaby coś podobnego. Wiedziałyby, że jej dotknięcie to wszystko, czego mi trzeba. Nie czułaby się zraniona ani zła. Nie zmuszałaby mnie do mówienia, jakby tego chciała Samantha. Moja rodzona mama wiedziałyby, że chcę od niej właśnie tego. I trochę zacznam żałować, że pani O'Donnell nie jest moją rodzoną mamą.

Samantha

Cieszę się, że Sally Flanders nie bierze udziału w rozwoju dzieci. Któregoś dnia Lynn powiedziała, że czuła od niej alkohol, gdy wpadły na siebie w sklepie ze zdrową żywnością. Dzisiaj jest kolej Lynn. Dziękuję jej, machając z okna. W ten sposób daję do zrozumienia, że nie mam czasu, by ją zaprosić na kawę. Zwykle wychodzę przed drzwi i gestem zapraszam ją do środka. Dlatego właśnie moje dzieci odwozi na samym końcu. Dziś chłopcy wpadają w podskokach, a Cammy wlecze się z tyłu. Widzę, że im bardziej zbliża się do domu, tym więcej trudu sprawia jej każdy krok.

– Cześć, jak było w szkole? – pytam chłopców.

– Dobrze. Mamo, mogę...

Bombardują mnie pytaniami i właściwie ich nie słysząc, odpowiadam na wszystko tak. Czekam, aż będę mogła porozmawiać z córką.

– Cammy, chodź, usiądź tutaj – proszę.

Z obojętną miną rzuca plecak i powłócząc nogami, podchodzi do stołu.

– O Boże... – Jest zmęczona i zde gustowana, ale na pewno nie sprawia wrażenia przestraszonej.

– Chcę to wszystko zrozumieć. Czekałam z tą rozmową, bo wtedy czułaś się źle, a chciałam, żebyś myślała trzeźwo.

Krzyżuje ręce na swojej prawie wklęsłej piersi i obsuwa się niżej na krześle. Szczęki ma zaciśnięte, włosy tworzą mur wokół jej twarzy.

– Nie zamierzam z tobą walczyć – mówię. – Chcę tylko, żebyś mi powiedziała, co się, do diabła, dzieje.

– Nic się nie dzieje. Przeholowałam. No i co wielkiego się stało? Jestem chyba ostatnią osobą wśród moich kolegów, która spróbowała narkotyków. Coś jeszcze?

– Kiedy to się skończy? Te twoje „co jeszcze”, „co mi tam”, „gadaj sobie zdrowo”? Nie mogę ci pomóc, jeśli nie będziesz nic mówić. Chcesz się wyzwolić od piłki nożnej, to rozmawiaj ze mną. – Nic, tylko ponure spojrzenie z tą jedną wyrysowaną łzą. – Świetnie. Miłej zabawy na treningu.

– Nie wiem, co chcesz, żebym powiedziała. Co chcesz, żebym mówiła?

– Cokolwiek. Po prostu cokolwiek.

Przez chwileczkę znowu wygląda jak mała dziewczynka. Oczy ma szeroko otwarte, w jej spojrzeniu nie ma drwiny. Mała

dziewczynka, która dawniej przybiegała do mnie po skoku z trampoliny na basenie:

– Mamo, widziałaś? Patrzyłaś?

Dziewczynka, która lubiła, gdy plotłam jej warkocze.

Wstrzymałam oddech, pragnąc, by porzuciła tę swoją pozę i znów stała się tamtą dziewczynką, która razem ze mną w samochodzie wtórowała Beatlesom.

– Nadal mam areszt domowy?

– Chyba sobie żartujesz? Zawsze będziesz go miała. Przyjmij do wiadomości, że masz stały szlaban, dopóki nie odzyskasz naszego zaufania, nie zmienisz zachowania, nie wyjdiesz na prostą. Będziesz chodzić do szkoły i z powrotem i to wszystko, dopóki nie zmienimy zdania.

– No i dobrze – mamrocze, wychodząc z kuchni.

– I to już? To wszystko, co masz do powiedzenia?

– Tak – rzuca przez ramię. – Żal mi ciebie.

– Gadaj sobie zdrowo.

Geraldine Wilkes. To nazwisko wzniosło wielką barierę między nami. Niestety nie mam pojęcia, co powinnam zrobić z tą sprawą.

– A tak przy okazji... – Cammy cofnęła się, stoi teraz w drzwiach do kuchni. – Wiem, że wczoraj wieczorem rozmawiałaś z moimi kolegami. Zniszczyłaś mi życie, chyba masz tego świadomość.

– Po pierwsze, to ty niszczysz swoje życie, nie ja. Po drugie wydawało mi się, że te dzieciaki z parkingu przy bibliotece to nie są twoi koledzy. Mówiłaś o nich różni ludzie, jakiś chłopak, czyjś znajomy. A więc to kolejne kłamstwo. Czy to również koledzy Moniki?

– Nie wiem. My już się nie przyjaźnimy.

– Nie przyjaźnisz się już z Monicą? Od kiedy? A wydawało mi się, że jesteście jak papużki nierozłączki. – Oj!

Wsadziłam kij w mrowisko, więc przygotowuję się na to, co zaraz musi nadejść.

W pierwszej chwili Cammy zachowuje się dość powściągliwie.

Brwi unoszą się, włosy odrzucone z twarzy, sylwetka prostuje się triumfalnie.

– Papużki nierozłączki... Słodkie. I takie typowe.

Czekam na dalszy ciąg.

– Wydaje ci się, że wszystko o mnie wiesz, ale w rzeczywistości głównie wiesz – wypaliła to, jakby zdradzała tajemnicę.

Czy mam jej na to odpowiedzieć? Mam wykrzyknąć, że znalazłam list? Że też poszukałam jej biologicznej matki? I wiem, że jest pięć minut drogi stąd? Chyba lepiej nie.

Jeszcze nie teraz.

– A swoją drogą, czemu akurat na parkingu biblioteki? – pytam, przybierając niewinny wyraz twarzy.

– A jaka to różnica?

– Jestem ciekawa, dlaczego ze wszystkich miejsc, gdzie można się włóczyć, wybraliście akurat bibliotekę?

– Bo wieczorem jest tam pusto.

– Tak jak w tysiącach innych miejsc. Na przykład przy poczcie...

– To teren federalny.

– Szpital...

– Ostry dyżur działa całą noc, zapomniałaś?

Właściwie po każdej ripocie mogłaby wydawać triumfalny okrzyk radości.

– Liceum.

– Żartujesz? W pobliżu szkoły?

– No dobra, mądralo. Może przejdźmy do rzeczy i po prostu odpowiesz na pytanie: dlaczego biblioteka?

– Dlatego.

– Dlatego że... co?

– Tylko dlatego – mówi Cammy.

Punkt dziewiąta loguje się w komputerze i pojawia się imię Craig.

Przepraszam za wcześniej. Musiałem pomyśleć. Mam nadzieję, że spędzasz miły wieczór. I wiesz... tęsknię za tobą. Okropnie. Myślę o tobie.

Wreszcie mogę odetchnąć. Piszę odpowiedź:

Ja też.

Cammy

Sprawy nie układają się dobrze. Wydaje mi się, że jestem chora. To znaczy umysłowo. Nienawidzę swojej rodziny. Poza chłopcami. Nienawidzę szkoły. Nienawidzę swoich przyjaciół, jeśli w ogóle można tak ich nazwać. Ricky ma mnie gdzieś. Dbał o mnie jak jakiś cholerny rodzic przez tyle czasu, aż w końcu mu się znudziło. Zresztą zmienił się tak bardzo, że go nie poznaję. Zaczął nawet mówić, że każe sobie laserem usunąć tatuaż. Tak przynajmniej któregoś dnia na parkingu mówił Johnnie. Nazwał Ricky'ego moim chłopakiem, a wtedy Will parsknął i przybił z Paulem piątkę. To było jakieś dziwne. Powiedziałam, że Ricky wcale nie jest moim chłopakiem i mam gdzieś, co robi, na co Johnnie mruknął:

– Nic mi do tego – i przytknął zapalniczkę do jabłka, z którego zrobił bongo, fajkę do palenia ziola.

Nienawidzę Willa, Paula, Johnniego i Moniki, i tej cudacznej laski Jess, która jest biała, ale nosi dredy do tyłka. Nie goli sobie nóg, a jednego wieczoru, gdy była potwornie naćpana i zaczęła tańczyć boso na parkingu, podnosząc ręce, nawet po ciemku widziałam gąszcz pod jej pachami. Ohyda. W życiu powiedziałam do niej najwyżej trzy słowa, na pewno nie więcej.

Nie mogę spać. Zasypiam dopiero koło piątej nad ranem, ale tylko na dwie godziny. Nie czuję głodu. Mam wrażenie, że co jakieś pięć minut serce na chwilę przestaje bić i zaczyna brakować mi oddechu. Wczoraj w nocy Will wspiał się do okna, a ja udawałam, że nie słyszę, jak puka. Miałam zamknięte oczy i po jakichś pięciu minutach usłyszałam, jak mówi, nawet nie zniżając głosu:

– Pieprzona cipa.

I zsunął się z drzewa.

Paul bez przerwy powtarza „kurde”. I nigdy się nie śmieje.

Johnnie twierdzi, że Paul w ogóle nie sypia.

– Nikt go nie widział z zamkniętymi oczami – mówi.

– Jest jak Yoda z „Gwiezdnych wojen”.

– A skąd wiesz, że Yoda nie spał? – pyta Will.

– To taki mały gnom, a tacy nigdy nie sypiają – odpowiada Johnnie.

Widzę, że Paul mnie obserwuje, gdy zamykają bibliotekę i pracownicy idą do samochodów. Obraca głowę tak samo jak ja i patrzy w tym samym kierunku. Nigdy o to nie spytał, ale na pewno domyśla się, że kogoś szukam. Jestem o tym przekonana. W zasadzie nic mnie to nie obchodzi.

Jestem cicho, ale czuję się tak, jakbym zaraz miała wybuchnąć i zacząć wrzeszczeć. Kiedy Samantha pyta, o czym myślę, mam ochotę rozedrzeć się:

– Przecież mam to wypisane na twarzy! Nie widzisz mnie czy co?!

Albo inne wersje:

– Kręcę się w jakimś piekielnym wirze!

– Nienawidzę, nienawidzę i jeszcze raz nienawidzę!

– Nie prosiłam się na świat!

– Żałuję, że się w ogóle urodziłam!

– Jakaś ćpunka zrobiła sobie dziecko i teraz ja muszę się męczyć na tym popieprzonym świecie!

Zamiast tego mówię:

– O niczym. – Ona na to, że wygląda, jakby coś mnie nurtowało, ale wzruszam ramionami, więc przestaje się czepiać. I dzięki Bogu.

Wszyscy są promienni i radośni, a ja jestem jak czarna chmura. Ciężka deszczem, który nigdy nie spada. Krople wody uczipione kurczowo monstualnych chmur, utkanych z kłaczek waty cukrowej, które na siebie wpadają. To fragment wiersza, który chciałam napisać. Kafka pisał poezję, ale prawie wszystko spalił. Chcę, żeby to również ktoś spalił, gdy ja już odejdę.

Szkoda, że nie mogę po prostu zniknąć. Szkoda, że nie mogę umrzeć.

Samantha

– Pośpiesz się, bo inaczej się spóźnisz – mówię do Boba.

– Co ci tak zależy, żeby się mnie pozbyć? – pyta. – Masz jakiegoś chłopaka czy co? – Dmucha na kawę, znad której na mnie patrzy. Zastanawiam się, czy ludzie dręczeni poczuciem winy mają rentgena w oczach i potrafią zobaczyć tych, którzy też mają jakieś grzechy na sumieniu.

– Masz chłopaka, mammo?

– A to nie tata jest twoim chłopakiem?

– Mama ma chłopaka!

– Bardzo zabawne, bardzo – mówię, ale serce wali mi jak młot.

Mam świadomość, że powinnam zachowywać się, jakby sam pomysł był absurdalny. – Jasne, chłopak, a ja na niego czekam w dresie.

Bob podnosi wzrok znad miski z płatkami, a do mnie dociera, że nie powinnam dodawać tej uwagi. Gdybym nie czuła się winna, roześmiałabym się lekceważąco i tyle.

– Cam! Mama ma chłopaka! – oznajmia Andrew, gdy Cammy, powłócząc nogami, wchodzi do kuchni. Nadal ma na sobie spodnie od piżamy i porozdzieraną koszulkę.

– Tak, jasne – mówi tym swoim tonem.

Tylko w stosunku do chłopców nie zachowuje się jak wiedźma. Przynajmniej tyle. Zawsze dobrze się z nimi dogadywała. Pewnie ma tu znaczenie różnica wieku. Nigdy między nimi nie było żadnej rywalizacji. Nigdy też nie narzekała, że musi się braćmi zaopiekować.

– Chłopcy, zbierzcie swoje rzeczy i szykujcie się – poganiam ich. Spakowałam już kanapki i marchewki na lunch. Skończyły mi się soczki, więc dorzucam małe butelki z wodą, choć wiem, że wrócą nietknięte.

– Cammy, dlaczego nie jesteś jeszcze ubrana? – Bob unosi brwi i patrzy na mnie pytająco, czy zamierzam się włączyć.

Rzucam mu spojrzenie, które mówi „ależ proszę, nie krępuj się”, po czym zaczynam zgarniać okruszki z blatu na otwartą dłoń.

– Nie idę do szkoły – oznajmia Cammy takim tonem, jakbyśmy już o tym rozmawiali i wszystko było uzgodnione.

Bob wkłada marynarkę, wyciąga spod rękawów mankiety koszuli.

– A wolno spytać, dlaczegóż to? Sam, wiedziałaś, że Cammy nie idzie do szkoły?

– Nie. – Wylewam resztki mleka z misek i wstawiam je do zmywarki.

– Po prostu nie idę. – Cammy sypie do swojej miski płatki cheerios, posypuje je trzema czubatymi łyżkami cukru, po czym podchodzi do lodówki i potrząsa kartonem z mlekiem.

– Świetnie. Chłopcy zużyli całe mleko – narzeka. – Dla mnie nic nie zostało.

– Nie możesz nagle postanowić, że nie idziesz do szkoły. – Bob spogląda na mnie błagalnie. – Nie jesteś chora, więc musisz iść. Sam?

– Nie obchodzi mnie, co powie Samantha. Nie pójdę.

Kiedy Jamie słyszy, że jego siostra zwraca się do mnie po imieniu, bierze Andrew za rękę i ciągnie go do salonu. Nie wiem, czy wcześniej zwróciłam na to uwagę. Andrew syczy, że chce zostać. W końcu Jamiemu udaje się siłą wyciągnąć brata.

Mam świadomość, że zarówno Cammy, jak i Bob patrzą na mnie, jakbym to ja miała rozstrzygnąć sprawę.

– Skoro Cammy nie chce iść do szkoły, niech nie idzie. – Wzruszam ramionami.

Cammy próbuje ukryć zaskoczenie pod obojętną miną, ale Boba całkiem zatkało.

– Możemy porozmawiać na osobności?

Wychodzimy na zewnątrz i Bob zamyka drzwi. Jest chłodno, więc będę musiała włożyć sweter.

– O co chodzi? – Przenoszę spojrzenie na Boba, który jak Batman stoi na rozstawionych nogach z rękami wspartymi na biodrach.

– A jak myślisz? – pyta. – Co się dzieje, Sam?

– Uczciwie mówiąc, guzik mnie obchodzi, czy Cammy pójdzie do szkoły, czy nie.

– Ale dlaczego? Na Boga, co się z tobą dzieje?

– Zmęczyła mnie rola jedynej osoby, która próbuje ze wszystkim walczyć. Wyczerpały mnie próby odgadnięcia, czemu do naszej córki nie sposób dotrzeć. Ona stacza się na dno, a ty w ogóle przestałeś się w tym orientować. Wiesz co? Jeśli chcesz zmusić ją, żeby poszła do szkoły, proszę bardzo, spróbuj. Ale ja się w to nie mieszam.

– Muszę iść do pracy, Sam. Pamiętasz? Ja pracuję.

– A, więc chcesz powiedzieć, że ja nie.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Ależ tak. Zawsze z tym wyskakujesz, kiedy nie chcesz się czymś zająć.

– Przecież zajmuję się, Sam! Właśnie próbuję. Załatwiłem jej miejsce w drużynie piłkarskiej, a to wcale nie było łatwe. Praktycznie przekupiłem trenera, obiecując nowe korki dla całej

drużyny, żeby zechciał ją przyjąć. Nie wiem, co innego mogę zrobić. Może mi po prostu powiedz.

– Mogłabym ci zadać to samo pytanie. Dlaczego ty mi nie powiesz, co zrobić?

– Mamo, pani Lang już jest. – Jamie wygląda na werandę przez rozsuwane szklane drzwi.

– Dobrze, skarbie. Przepraszam. Tatuś i ja musieliśmy...

– W porządku, mamo – przerywa. – Pa.

– Dobrego dnia w szkole, kolego – mówi Bob i przez szybę macha do Andrew.

– Dobrze, no więc należy ci się złoty medal za to, że o wszystko dbasz. – Uśmiech znika z twarzy Boba, gdy odwraca się do mnie. – Szczęśliwa?

– To nie konkurs, na miłość boską.

– Więc czemu czuję się, jakbym wciąż był oceniany?

– Myślałam, że musisz pędzić do pracy.

– Musisz gdzieś iść? Bo co, zabraknie w markecie owoców kiwi?

– Ależ jesteś miły, naprawdę. Znakomity przykład na to, że twoim zdaniem przez cały dzień nic nie robię.

– Chodzi mi tylko o to, że masz więcej czasu niż ja, żeby zajmować się Cammy. Jestem zasypany robotą, a to wcale nie jest zabawne. Cammy nie mogła wybrać gorszego momentu na te swoje wybuchy.

– Powiem jej, że powinna zaplanować załamanie nerwowe na dogodniejszą dla ciebie chwilę.

– Wiesz, co miałem na myśli. Przestań przekręcać moje słowa. Chodzi mi o to, że jestem do tyłu z czterema projektami.

– Och, jak mi przykro. Nie sądziłam, że drzemka w pracy uznawana jest za projekt. – Cios poniżej pasa. Zdaję sobie z tego sprawę. Prawie żałuję, że to powiedziałam. Bob spuszcza wzrok i czubkiem buta przepycha suche liście przez deski werandy. A jednak może dobrze, że to powiedziałam? – Wiem o tych twoich drzemkach, Bob. Masz depresję, ale nie próbujesz nic z tym zrobić. I wiesz co? Doszłam do takiego punktu, że już mnie to nie obchodzi. Szukaj pomocy albo nie szukaj. Jak sobie chcesz.

– A więc tak to wygląda.

– Właśnie.

– Muszę iść.

– A co z Cammy?

– Skoro ciebie to nie obchodzi, to mnie też.

– Nie możemy wylewać naszych brudów na Cammy.

– Nie wiem, czemu wcześniej nie powiedziałam tego na głos. Może dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie, co robimy.

– No cóż, tobie, zdaje się, jest wszystko jedno, więc czemu ja mam się przejmować?

– Bo mnie to obchodzi, Bob. Naprawdę. Tyle że wszystko robię sama. Ty jesteś kompletnie załamany. Nie znosisz swojej pracy. Bez przerwy śpisz. Nie kochaliśmy się już prawie cały rok.

– Kilka dni temu było dziesięć miesięcy, a teraz już rok. –
Zalamuje z rozpaczą ręce.

– A więc jednak słuchałeś. Zabawne, myślałam, że twoją uwagę przykuwał dom Silvermanów.

– Możesz przejść do rzeczy?

– Zastanów się, czy nie zechciałbyś pójść ze mną do jakiegoś terapeuty. Mam nazwiska...

– Co? Masz nazwiska? Masz nazwiska... Jak to się stało, że od rozmowy o kryzysie Cammy przeszliśmy nagle do wizyty u pieprzonego terapeuty od problemów małżeńskich?

– Cii, mów ciszej. To wszystko ze sobą się łączy. – Prawdę powiedziawszy, nie tak wyobrażałam sobie rozmowę o zasięgnięciu porady małżeńskiej. – Gdybyśmy zacieśnili więź między nami. Gdybyśmy potrafili się porozumieć...

– No i się zaczyna. – Sięga do klamki. – Mam dość. Chcesz iść na terapię, to idź. Ja nie pójdę. Tak się składa, że moim zdaniem wszystko jest w porządku. Masz jakiś problem ze swoim życiem, to idź się przed kimś wygadać. Mam dość słuchania, jaka jesteś mną rozczarowana.

Właściwie już od jakiegoś czasu nie myślałam o szukaniu porady. Powiedziałam to przede wszystkim po to, by później móc stwierdzić, że próbowałam wszystkiego. To, co teraz robimy, przypomina taniec. Krok do tyłu, krok do przodu. Próbuję i poddaję się. Taka właśnie teraz jestem. Do tyłu, do przodu. Zapominam o rodzinie. Pamiętam o rodzinie. Nie wykonuję tych kroków, jedynie gdy chodzi o Craiga.

Cammy

Dowiedziałam się, kim ona jest. Jest tam ściana dla ludzi, którzy mają... Co ja do cholery wypisuje? Jestem w tej chwili tak narąbana, że nie mogę pisać. Na drzewie jest ptasie gniazdo i wyglądają z niego małe ptaszki. A ja mam ochotę na landrynki. O ret, ale jestem nacpana. Odkryłam, która to jest. właściwie to odkrył Paul. Piepszony Paul. Nie miałam pojęcia, że wogle czegoś się domyśla, ale wczoraj wieczorem podszedł do mnie i powiedział, że wie. Powinam spytać, skąd się dowiedział. Później to pszepisze, teraz muszę się przekimnąć. Wiatr opanował metro w mieście nie wiem. Zapamiętaj... nie wyrzucaj tego jutro. Zajebiście komiczne. Sześć siedem osiem dziewięć dziesięć raz dwa...

O Boże, właśnie przeczytałam to, co napisałam wczoraj, i omal tego nie skasowałam, ale co tam. Zabawne. Układ z Paułem był tego wart, myślę jednak, że mi to zaszkodziło. Boli mnie, gdy muszę iść do toalety. W dodatku spodnie miałam nie do końca zdjęte, więc mam obtarte kostki. Nie rozumiem, jak komuś może zależeć na seksie. Szczególnie takim, jaki on ze mną uprawiał. To było jak w jakimś pornosie. Monica nigdy nie powiedziała, jak bardzo to boli tam z tyłu. Dziś rano na spodniach od piżamy zobaczyłam krew. Wyrzucę je do kontenera za szkołą. Wyrzucenie ich tutaj byłoby ryzykowne. Przy zwykłym seksie nie było nawet połowy tego bólu.

Ale przynajmniej wiem, która to z nich. Powiedziałam mu, że już wiem, ale zaraz mnie zażył.

– Tak? No to pokaż. Właśnie idą.

Wskazałam tę starszą panią, co było najgłupszą rzeczą, jaką mogłam zrobić, bo jest taka stara, że mogłaby być moją babcią. Spytałam, skąd wie, że szukam rodzonej matki, ale zbył mnie, mówiąc, że wszyscy wiedzą. Co nie jest prawdą, bo poza Rickym nikt nie wie. Chociaż próbowałam rozmawiać też o tym z Willem. No, ale w każdym razie Paul spytał mnie, dlaczego po prostu nie wejść i nie spytać, która z nich to Gerry Wilkes, a wtedy przyznałam uczciwie, że cholernie się boję. Kiedy podchodzę do drzwi, czuję suchość w ustach i mam wrażenie, że serce mi zamiera. Tylko w tych momentach, gdy podchodzę do wejścia do czytelnicy, robi mi się słabo z głodu. No i nie chcę, żeby zauważyła te łyse placki w miejscach, gdzie wypadły mi włosy. Pewnie nic

jej to nie obejdzie, ale zawsze. Tego już Paulowi nie opowiadałam, chociaż zachowywał się bardzo miło, jak jakiś psycholog. Próbowałam właśnie wytłumaczyć, dlaczego się boję, gdy powiedział:

– Wiem, która to.

– Gówno prawda – walnęłam z miejsca.

Mam taki zwyczaj, że gryzę palce. Nie paznokcie, tylko skórę wokół nich. Czasami aż do krwi. Kiedy to powiedział, przytrzymałam właśnie palec, żeby zatamować krwawienie. Po powrocie ze szkoły nie umyłam rąk, bo na kciuku mam rdzawe plamy. Nawet nie wiem, jak potem dotarłam do domu. Może przyszłam pieszo. Mam tylko jeden but z tej pary, w której byłam. Zamek w spodniach jest wyrwany, a włosy z tyłu głowy są pozlepiane i splątane.

– Wyjdźmy stąd, to ci powiem, która to jest – mówi w pewnej chwili Paul.

– Jak to? Opiszysz ją?

– Właśnie. Opiszę.

– Dlaczego nie możesz zrobić tego tutaj?

– Ja zrobię coś dla ciebie, a ty dla mnie.

– Mowy nie ma.

– Jesteś taka ładna. Już od dawna ci się przyglądam. Chyba się w tobie zadurzyłem.

– A nie możesz najpierw powiedzieć mi, która to jest, a ja ci obiecuję, że potem z tobą pójdę?

– Przysięgasz? – pyta ze śmiechem.

– Mhm. – Wyciągałam rękę, żebyśmy mogli spleść małe palce dla potwierdzenia obietnicy.

A on na to:

– Boże, ale jesteś durna.

Jedynie w takich chwilach jestem zadowolona, że mam ciemną cerę, bo nie widać, jak się czerwienię.

– A zresztą – powiedział po chwili. – Dobra, zrobimy to po twojemu. To ta, która zawsze chodzi w krótkich spódnicach. Ma zarabiste nogi. Może niezbyt wybujała, ale kurde, seksowna jak cholera.

– Ma długie włosy czy kręcone?

– Proste. I sięgają dotąd.

Dotknął mojego ramienia i zrobił to w miły sposób. Pomyślałam, że może chce mieć pretekst, żeby mnie pocałować, bo przecież mógł to pokazać na swoim ramieniu, ale od czasu tej wpadki z Rickim nie zrobiłam żadnego ruchu w jego stronę.

Nie wiem dlaczego, ale kiedy mi już powiedział, która to z nich, nie poczułam nic. Dziwne, bo przecież ta wielka tajemnica została rozwiązana! Po tak długim czasie. Jednak w tamtym momencie najbardziej chciałam znaleźć się w swoim pokoju i pomyśleć. Mogłam myśleć tylko o tym, jak dobrze byłoby leżeć w łóżku, patrzeć w sufit i słuchać muzyki. I już się podniosłam, żeby sobie iść.

Zupełnie zapomniałam o układzie z Paulem.

Pamiętam różne dziwne rzeczy z wczorajszego wieczoru. Odgłos kroków Paula, gdy biegł za mną, i to, jak nazwał mnie dziwką, gdy mnie dogonił, zanim wyszłam na główną ulicę przy końcu budynku biblioteki, ale zupełnie nie przypominam sobie, do czyjego samochodu mnie wepchnął. Nie pamiętam też, jak mnie ciągnął z powrotem na parking, choć pojawiają się jakieś wspomnienia moich butów stukoczących po chodniku. Pewnie wtedy właśnie jeden z nich się zgubił. Na betonie jest mnóstwo małych kamyczków, które pocięły mi stopy. Oczywiście widzę to dopiero teraz. Myślę, że mój umysł w ogóle tego nie rejestrował. Pamiętam dźwięk swojego głosu, gdy skarżyłam się, że mnie rani, ale nie wiem, jak na to zareagował.

Nienawidzę swojego życia.

Chciałabym po prostu wszystko wyłączyć. Gdyby tak głowa mogła przestać pracować i przez jakąś minutę niczego tam nie było. Hałas mnie dobija. Chyba naprawdę jestem bardziej popieprzona, niż mi się zdawało. Czy jest tam ktoś...

Samantha

Sprawdziłam, ale mam pełny zasięg, więc Craig na pewno nie próbował dzwonić na moją komórkę. Zresztą trzymam ją w ręku, czyli nie mogłam przegapić telefonu.

Nigdy się nie spóźnia. W dodatku specjalnie prosił, żebym przyszła punktualnie. Piętnaście minut to spory kawał czasu, więc szkoda, że go tracimy, a mamy dla siebie tylko półtorej godziny. Przed szóstą trzydzieści muszę dotrzeć do stołówki, żeby zapisać Andrew i Jamiego do skautów.

Piętnaście minut wydaje się wiecznością. Staram się nie przewidywać najgorszego, ale od czasu do czasu pojawia się wizja, jak Evie nagle natyka się na moje mejle do Craiga i dziwi się, czemu jest ich tak dużo.

– Kim jest Samantha Friedman? – pyta, nie pamiętając, że poznałyśmy się w parku.

– A, to taka przypadkowa znajoma – mówi Craig.

– Jak na przypadkową znajomą bardzo dużo do ciebie pisze. Chce otworzyć jedną wiadomość, ale on ją powstrzymuje, co może wzbudzić w niej podejrzenie, więc szybko wyjaśnia:

– Och, daj temu spokój. Jakbyś ją zobaczyła, zrozumiałabyś.

– Znam wszystkich twoich znajomych. Jak to możliwe, że nigdy nie słyszałam, byś ją wspomniał?

W tym momencie już wiem, że nie jesteśmy wyłącznie przyjaciółmi. Odtwarzałam nasz pocałunek tyle razy, że niemal wytarł się od częstego używania. Zbliżaliśmy się do siebie powoli. Napięcie było wielkie, a ja prawie nie mogłam oddychać. A potem, gdy nasze usta zetknęły się i lekko rozchyliły, Craig, który trzymał dłoń na moim policzku, odsunął się trochę i powiedział:

– Samantho Friedman, jesteś tym najlepszym, co mi się w życiu przydarzyło.

Wszystko wyglądało jak w filmie. Dokładnie tak jak w filmie. Kiedy wróciliśmy na swoje fotele, odwróciłam się do Craiga i powiedziałam:

– Nigdy więcej nie możemy już tego zrobić.

Patrzył przed siebie na jezioro. Wysiadłam z jego samochodu i przeszłam do swojego. Pięć minut później na czerwonym świetle poprawiłam włosy w lusterku umocowanym na osłonie przeciwsłonecznej. Nałożyłam szminkę. Dotknęłam policzka. Ciekawiło mnie, czy moja skóra wydała mu się miękka.

Zastanawiałam się, co robił w tym momencie. Kiedy odjeżdżałam, on nawet nie uruchomił silnika. Po prostu siedział.

– Cześć, przepraszam za spóźnienie. – Brak mu tchu.

– Zaczęłam się niepokoić – mówię. – Wszystko w porządku? Wydaje się zdenerwowany i jakby ostrożny. Czuję, jak sztywnieją mi mięśnie. Ogląda się przez ramię, a dopiero potem przysuwa sobie krzesło. Nie zdejmuje płaszcza. Zaciskam palce na brzegu stolika. A więc dowiedziała się. Pewnie powiedział jej, że musi coś załatwić. Kiedy Craig pochyła się nad stolikiem, dobiegają mnie dźwięki piosenki „Ciagle żywi”. Przekręcam się na krześle, żeby zobaczyć, kto ma taki dzwonek w komórce. Zaczyna się już śpiewany falsetem refren, a telefon nadal nie został odebrany. Ponownie odwracam się do Craiga. Ucisk w żołądku i jednocześnie brak tlenu powodują, że czuję się, jakbym miała zemdleć.

– O Boże, poczekaj. – Chwytam powietrze jak ryba wyjęta z wody. Przechodzi mi przez myśl, że nie wygląda to z pewnością zbyt atrakcyjnie, ale nic nie mogę na to poradzić.

– Nic ci nie jest? Podać ci wody? Zaraz wrócę... – Po chwili podaje mi kubek. – Proszę.

Zaczynam pić, ale nie jestem pewna, czy przełykam, czy woda wypływa mi kącikami ust.

– Powiedz, co się dzieje. Coś się stało? – pytam.

– Ona wie.

– Mój Boże... myślałam o tym, zanim wszedłeś. Dowiedziała się o pocałunku. Ktoś nas widział czy jak?

– Powiedziałem jej. Wczoraj wieczorem. – Patrzy na mnie, oczekując jakiejś reakcji.

Jednak do mnie jeszcze nie dotarło. Potrząsam głową, pewnie wygląda to zabawnie, jakbym grała w kreskówce.

– O mój Boże – udaje mi się wykrztusić. – Ty jej powiedziałaś?

– Tak... – Patrzy na dłonie, które złożył na kolanach.

– A powiedziałaś, że jesteśmy tylko przyjaciółmi? Chodzi mi o to, że przecież tak właśnie jest. Powiedziałaś to, prawda?

– Nie.

– Więc co w takim razie?

– Po prostu jej powiedziałem. Nie mogłem dłużej tego znieść. Tak wyszło.

– O Boże, Craig. O mój Boże. Nie mogłeś tego dłużej znieść? Co to w ogóle znaczy?

Widzę, jak nabiera powietrza, jakby za chwilę miał wygłosić na żywo jakiś komentarz. Przyznał się do pocałunku, a teraz pójdą do poradni małżeńskiej, pogodzą się, dzięki czemu więź między

nimi stanie się jeszcze silniejsza i – proszę, proszę! – niebo zrobi się bardziej niebieskie, a trawa zieleńsza. Powinnam pragnąć tego dla Craiga. Powinnam puścić go do żony. Niech na nowo ułoży swoje życie. Ja mu tylko szkodzę i chociaż wcale nie mam takiego wrażenia, on mnie również. Chcę, żeby był szczęśliwy. Mam już przyjaciół i nie potrzebuję go. Mam Lynn. Mogę ją częściej widywać i będzie wspaniale. Cieszę się ze względu na niego. Naprawdę. Cieszę się.

– Czekał, dokąd idziesz? – pyta Craig.

Stoję i próbuję włożyć płaszcz, ale jeden rękaw jest wywrócony na drugą stronę, więc jest to bardziej skomplikowane, niż powinno.

– Muszę iść. – Tylko na tyle mogę się zdobyć. Zanurzam dłoń w torbie i szukam kluczyków od samochodu. Gdzie te pieprzone kluczyki?

Trzydzieści sekund później wysypuję na maskę całą zawartość torby. Szminka toczy się na chodnik, tampon błyszczy radośnie pośrodku tego bałaganu i wreszcie, wśród garści paragonów, białego kabla od iPoda któregoś z dzieci, widzę kluczyki. Zgarniam wszystko z powrotem do torby i kiedy ruszam, żeby obejść samochód, czuję na ramieniu dłoń Craiga.

– Zapomniałaś o tym – mówi, podając mi szminkę. – Sam, powiedziałem jej, że odchodzę. Nie mogę tak dłużej żyć. Kocham cię i nie mogę zrezygnować z twojej obecności w moim życiu. Sam, słyszysz, co mówię?

Nigdy nie rzucam śmieci na ziemię, ale opakowanie chusteczek leży w kałuży, więc decyduję, że je tam zostawię. Raptem dociera do mnie sens słów Craiga.

Zupełnie jakbym musiała popatrzeć na chusteczki, żeby zrozumieć.

– Czekał. Co powiedziałeś? – Muszę mieć pewność, że sobie tego nie wyobraziłam.

– Kocham cię. I nie mogę trwać w małżeństwie, które mnie zabija.

O Jezu. O Boże. I co teraz, do diabła?

Jestem całkiem zdezorientowana i czuję presję, że powinnam coś powiedzieć. Im bardziej wysilam umysł, tym mniej jestem w stanie wymyślić.

– Nie wiem, nie wiem, nie wiem... – powtarzam bez końca.

– Słuchaj, powinienem coś powiedzieć, ale prawdę mówiąc, wcale nie zamierzałem tego robić akurat teraz, szczególnie że nie omówiłem tego z tobą. Ale wybuchła wielka awantura i wtedy zacząłem, a gdy już powiedziałem, poczułem wielką ulgę. Ona na

to, że od pewnego czasu coś podejrzewała. To skomplikowane, wiem. I będzie jeszcze gorzej, zanim zrobi się lepiej, ale wiem jedno. Chcę być z tobą.

– Pojadę teraz – mówię. – Muszę o tym pomyśleć. Na razie nie jestem w stanie tego wszystkiego pojąć. Za dużo na raz. Muszę... muszę pomyśleć.

– Dobrze – mówi. – Dobrze.

Kiedy otwieram drzwiczki, zatrzymuje mnie.

– Powiedz mi tylko, czy chcesz być ze mną? Nawet jeśli w tym momencie nie wiesz, co robić, czy przynajmniej tego chcesz?

Spójrz na mnie.

– Nie, nie rób tego. – Uruchamiam samochód i odjeżdżam z torbą wciąż przewieszoną przez ramię.

Cammy

Zeszłej nocy urznęłam się w trupa na imprezie u Dave'a. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że wróciłam do swojego pokoju i nikt nie zorientował się, że wychodziłam. Will przyszedł, ale ja wreszcie zaczęłam się bronić. Byłam już trochę naćpana, bo zażyłam żółtą pigułkę od Paula, i kiedy Will zapukał do okna, ledwie je otworzyłam. To stare okno z obłazącą farbą i wydaje mi się, że ktoś je kiedyś malował, gdy było zamknięte. Przez to klei się i zacina, trudno je otworzyć, nawet gdy nie jestem nałykana.

W każdym razie Will wszedł, a ja się postawiłam:

– Spadajmy stąd.

– Jakiś Dave robi imprezę – mówi na to. – Rodzice wyjechali i wszyscy tam poszli. Jest tam twoja przyjaciółka.

– Jaka przyjaciółka?

– Ta walnięta Monica jakaś tam. Chyba kumpluje się ze wszystkimi.

Zawsze gdy jesteśmy razem, Will jest miły, dopóki się nie nakręcimy i nie zrobię mu loda, więc wiem, że zabierze mnie na tę imprezę.

Pojechaliśmy jego samochodem. Prawko dostał sześć tygodni temu. Powiedziałam, że jest gość i gratulacje, a potem, jak głupia, objęłam go i natychmiast usłyszałam:

– Co ty, kurwa, robisz?

No więc wczoraj jechałam z nim po raz pierwszy. Wydaje mi się, że prowadzi gorzej niż Bob. Na przykład nie zatrzymuje się przed znakiem stopu.

– Wiesz, że tam był znak stop?

A on na to:

– Jesteś moją matką czy co?

W drodze do Dave'a mieliśmy wszystkie szyby opuszczone i miałam wrażenie, że znalazłam się w tunelu aerodynamicznym, ale to było przyjemne.

Kiedy szliśmy w stronę wejścia, ktoś rzygał w krzakach przed domem, ale w rzeczywistości nie było wcale widać, że są tam jacyś ludzie. W środku leciała stara muzyka Doorsów. Zauważyłam Monicę, która piła swój zielony napój energetyzujący, gatorade, który doprawia wódką czy co tam może dorwać. Paul spał z igłą wciąż sterczącą z ramienia. Powiedziałam Willowi, że powinien poluzować mu gumę, ale usłyszałam tylko:

– To jego problem.

Cóż, sama to zrobiłam. Potem zaczęłam rozglądać się, bo Will gdzieś zniknął. Szukałam go przez kilka minut. A może to była

godzina, nie wiem. Zwaliałam się na kanapę, na której spała zwinięta w kłębek Jess. Drzemałam trochę, a potem znowu poszłam go szukać, bo byłam zmęczona i chciałam wrócić do domu. Weszłam na górę, a tam Monica robiła loda Willowi. Klęczała, a podeszwy jej stóp były całkiem czarne, jakby chodziła po węglu.

Zeszłam z powrotem na dół. Paul już się obudził. Podeszłam do niego, chociaż kiedy widziałam go ostatnio, właściwie mnie zgwałcił. Przesunął się, żeby mi zrobić miejsce, a ja z przyjemnością skuliłam się obok niego na kanapie. Zrobiło mi się zimno, pamiętam, że się trzęsłam, więc objął mnie. Nie poruszyłam się. Chciałam tak zostać z nim przez całą noc. Był rozespany, oczy mu błyszczały.

Potem pochylił się, żeby wymieszać proszek.

– To nowa igła. Tylko ja jej używałem, a jestem czysty, więc w zasadzie jest nowa – powiedział. – Nie bój się. Polubisz to. Nie zawiązał gumowej opaski zbyt mocno, ale przykleiła się do skóry, więc i tak mnie szczypało. Obserwowałam go, jakby chodziło o jakieś doświadczenie na lekcji fizyki czy chemii. Zapalniczka pod łyżką. Wrzący płyn. Wciąganie do strzykawki. Pstrykanie palcami w strzykawkę. Dotknięcie mojej ręki, masowanie żyły, pukanie w nią. Gdy się pochylił, pomyślałam o doktorze Dannie, pediatrze, do którego kiedyś chodziłam. Miska lizaków na kontuarze zawsze była pełna, ale to nie były te dobre lizaki z podobnym do gumy do żucia cukierkiem w środku. No, ale były. W poczekalni wszędzie leżały klocki, samochodziki straży pożarnej i dziecięce pisemka „Highlights”. Ostatni raz ktoś klepał moją żyłę, gdy Samantha zabrała nas troje na testy na poziom ołowiu.

Chłopcom nakłuto palce, ale ja już byłam za duża, więc pobierano mi krew normalnie. A teraz Paul, hardcorowy palacz ziela, wbija we mnie igłę. Kiedy się ocknęłam, leżał na mnie. Mruczał coś z zadowoleniem, a jego pot kapał mi na twarz. Wydaje mi się, że znowu odleciałam, bo nie pamiętam nic poza tym.

Samantha

W uszach wciąż mam „Zimną wodę” Damiena Rice’a. Nie mogę opanować dreszczy, chociaż w sypialni jest ciepło. Wygląda to na objawy przeziębienia, podczas którego łamie w kościach, skóra robi się lepka i szcękasz zębami nawet pod najcieplejszą kołdrą. Musiałam zapaść w drzemkę, bo nagle nade mną pojawia się Bob. Wysuwam na wierzch jedno ucho.

– Co się stało? – pyta.

– Źle się czuję.

– Co ci dolega? – Wydaje się szczerze zaniepokojony.

– Nic. Chcę po prostu przez jakiś czas побыć sama.

– A... Jasne. Ale kiedy już będziesz mogła, przyjdź podpisać zeznania podatkowe. Chcę je wysłać jutro, żebyśmy nie musieli czekać do kwietnia lub maja na zwrot.

Odchodzi w swoich idealnie dopasowanych do stopy sandałach. Znowu słyszę „Zimną wodę”.

No i doszło do tego. Zawsze przeczuwałam, że będę musiała podjąć decyzję. Craig to zrobił. Wykonał skok. Odszedł, a przecież kocha Lexi tak samo, jak ja kocham swoje dzieci. Nie ma w tym żadnej różnicy. Jeśli on może to zrobić, to ja również. Może tak nawet będzie lepiej dla dzieci? Widzę przecież, jak Jamie się kuli, gdy rozmawiamy z Bobem. Andrew przystosuje się do każdej sytuacji. Cammy pozostanie Cammy, a szczerze mówiąc, wcale nie wiem, czy bez Boba nie będzie jej lepiej. Będę mogła skoncentrować się na niej. Popracować nad nią, zamiast próbować ożywić umierające małżeństwo.

Przez jakiś czas mogłabym zostać sama. Byłabym lepszą mamą. A z Craigiem moglibyśmy się spotykać, robić zwykłe rzeczy: chodzić do kina, do restauracji, do przyjaciół. Lynn by go polubiła. Mike także, chociaż z poczucia lojalności wobec Boba udawałby, że nie. W innym razie będę musiała zrezygnować z Craiga. Dokonał wyboru, którego od niego oczekiwałam. Lecz czy się tego spodziewałam? Raczej nie... Ale jak miałabym żyć bez Craiga? Jak mogłabym wrócić do stanu sprzed naszej znajomości? Ale dzielić się dziećmi z Bobem? Przekazywać je sobie co drugi weekend? Widuję takie pary w McDonalddie w alei Foster, gdzie mają plac zabaw dla dzieci pod dachem. Torby i plecaki z rzeczami do nocowania przerzucane do drugiego samochodu. Kiedy dzieci podbiegają spytać, czy mogą wejść na najwyższą zjeżdżalnię, rodzice starają się nie okazywać napięcia. Uśmiechają się i mówią „jasne”, bo żadne z nich nie chce być gorsze. Nie mogę stać się jednym z nich.

A życie bez Craiga? Niewyobrażalne. Mam czekać, aż nasze małżeństwo rozpadnie się niczym kartka papieru unosząca się na powierzchni jeziora? Nie do pomyślenia. Jednak to właśnie robimy. Toniemy.

Cammy

To pora, gdy latarnie jeszcze się nie włączyły, a jest już prawie ciemno. Zmierzch, w którym widzisz poruszające się sylwetki, ale gdyby wykonało się rzut piłką, nie byłoby widać, jak leci. Zabawa w chowanego.

Przestań mnie ciągnąć. Zabieraj swoje łapy. Czy mówię to na głos? Nie słyszę swojego głosu. Nie mogę rozpoznać, kto to mówi. Gdzie jestem? Czy ktoś mnie słyszy?

Za moją głową jest ciepło i mokro. Czuję to. Przestań mnie podnosić. Dlaczego nie mogę powiedzieć tego na głos? Ktoś ciągnie mnie za ramiona, ale głowa opada mi do tyłu. Przestań, bo odpadnie jak w tych starych lalkach, gdzie można ją było odczepić od korpusu.

Nie mogę otworzyć oczu, ale gdzieś niedaleko mnie rozchodzą się niewyraźne słowa.

– Mów do mnie – odzywa się cień nade mną. – Karetka już jedzie. Nie zasypiaj. Zostań ze mną.

Dlaczego nie zostawiaj mnie w spokoju, żebym mogła spać. Boże, jestem taka zmęczona. Tak strasznie zmęczona. Dajcie mi święty spokój. Odsuń się, kimkolwiek jesteś. Nie widzisz, że się unoszę? Nie widzisz, że umieram? Wreszcie...

– Przeniosę cię do mojego samochodu – mówi głos. – Nie będziemy czekać na karetkę. To za długo trwa. Mój samochód jest niedaleko. Drzwi są otwarte, więc trzeba tylko...

Zostaw mnie tutaj. Przecież jestem w łóżku, nie?

Dlaczego zabierasz mnie z łóżka? Jest zimno. Tak mi zimno. Nie mogę powstrzymać dreszczy. Gdzie mój koc? Dlaczego łóżko jest takie twarde? Czekaj, leżę w łóżku, prawda? Czy nie?

– Teraz cię podniosę – mówi. – Włożę cię do samochodu. Najpierw głowa. Na trzy. Raz, dwa, trzy...

Au! Co ty wyrabiasz? Przestań! Nie ruszaj mnie. Nie widzisz, że umieram?

– Już dobrze, już dobrze – mówi. – Teraz wciągnę cię z drugiej strony. Uda nam się, obiecuję. Już prawie.

Słyszę twoje kroki. Słyszę cię. Dlaczego ty mnie nie słyszysz? Dlaczego w ogóle mnie nie słuchasz? Mówię do ciebie!

Teraz się poruszasz albo ja się unoszę. Trochę mną rzuca. Widzę siebie z góry. Jestem zwinięta na tylnym siedzeniu samochodu.

Moje nogi, chociaż ich nie czuję, są zgięte i oparte o drzwi.

A głos wciąż mówi. Trwa relacja na żywo.

– Jesteśmy oddaleni zaledwie o jedną przecznicę. Już prawie dojeżdżamy. Teraz skręcamy przy stacji Exxon. No i już. Śmiech. Bulgoczący śmiech. Shrek. Albo dziwak z „Władcy pierścieni”. Mad Max. Matrix. Bul, bul, bul.

Co cię tak rozśmieszyło?

Słyszę, jak mówię:

– Kompania Wściekłych.

Słyszę, jak Ricky mi wtóruje.

Pstryk:

Twarze Andrew i Jamiego, kiedy przymierzałam strój do piłki nożnej: trzymają pięści w górze, jakby całe życie czekali na to, żebym grała z nimi w nogę.

Umieram. Nie boję się. Myślałam, że będę się bała, ale jestem szczęśliwa. Czuję ulgę. Próbuję ci to powiedzieć. Nie słyszysz? Teraz jestem szczęśliwa.

Pstryk:

Ciężar głowy Ricky’ego na moich kolanach pod sękatą płaczącą wierzbą.

O mój Boże, to się dzieje naprawdę. Umieram.

Pstryk:

To tata. Pozwolił mi spać w nowych tenisówkach, otula mnie po bajeczkach, kołysankach i całusach na dobranoc.

Wyraz jego twarzy, gdy powiedziałam, że przepadam za nowymi butami i dziękuję ci bardzo, tato, bo wiesz, dzięki nim szybciej biegam.

A więc to tak się dzieje. Tak się umiera.

Pstryk:

A to mama. Siedzi na kanapie ze mną na kolanach i ogląda „Czarnoksiężnika z krainy Oz”, zupełnie jakby widziała to pierwszy raz, a nie pięćdziesiąty. Pachnącą bzem ręką przytula mnie do piersi, gdy Latające Małpy rzucają się w dół i łapią pieska Toto. Porozmawiaj ze mną, Cammy. Tylko tego chciała: porozmawiać ze mną. Nie mogłam tego dla niej zrobić.

Nauka jazdy na rowerze. Nasz stary beagle, Felix, liżący mnie po twarzy szorstkim językiem. Naleśniki mamy. Zabawa Barbie z Hannah, moją przyjaciółką z podstawówki.

Chwileczkę. Jest tego więcej. Poczekaj, niech się zastanowię. Tyle jeszcze do powiedzenia. Do przypomnienia sobie. Czeka, ja...

Muszę jeszcze pomyśleć o kilku sprawach.

Czy wiedzą, że ich kocham? Proszę, niech się dowiedzą, że ich kocham.

A więc tak to wygląda. To jest właśnie przedawkowanie.

Myślałam, że jeśli już do niego dojdzie, będzie trwało krótko.
Myślałam, że ludzie po prostu tracą przytomność i nic nie czują.
Umieram. Tak się właśnie umiera.

Samantha

Telefon zadzwonił krótko po jedenastej wieczorem.

Zerwałam się z łóżka jak rażona gromem. Odebrałam szybko, jakby to był środek dnia. A więc tak to wygląda, pomyślałam potem, gdy się dostaje straszne wiadomości.

– Dzwonię ze Swedish Covenant – usłyszałam w słuchawce.

Próbowałam zrozumieć słowa. Swedish? Zdziwiłam się, ale chyba na głos nic nie powiedziałam.

– Z ostrego dyżuru.

Wtedy już opuściłam ciało i obserwowałam się z sufitu.

– Kto to? – spytał ze swojej połowy łóżka mężczyzna, za którego wyszłam. Mój mąż, pomyślałam. To głos mojego męża. On też zostanie podzielony na pół. Zostawi swoją starą połowę i oboje staniemy się połówkami, którymi byliśmy kiedyś. Tak właśnie myślałam.

– Pani córka została tu przywieziona kilka minut temu – mówił głos.

– Cammy? – usłyszałam swoje pytanie, jakbym miała inną córkę.

– Co się dzieje? Bob pociągnął mnie za rękaw. Spojrzałam na niego przez ramię. Jakoś udało mi się usiąść.

– Sam, co się dzieje?

Wiem, że to powiedział, ale widziałam wyłącznie poruszające się usta.

Słuchawka wypadła mi z ręki. I nagle zaczęliśmy się poruszać, jakby to były rutynowe czynności, które wykonujemy od lat. Nie wiem, jak to się stało, że miałam na sobie spodnie. I sweter naciągnięty na T-shirt, w którym śpię. Buty z szafki w holu. I już jestem gotowa. Obok mnie kręcił się Bob, który także ubierał się pośpiesznie. Znalazłam się w nierzeczywistym świecie. Koszmar na jawie.

Potem w holu pojawiła się Lynn w narzuconym na pizamę płaszczu.

– Jedźcie już, jedźcie – powtarzała. – Zadzwońcie, jak będziecie coś wiedzieli.

Potem byliśmy z Bobem w samochodzie. Mijaliśmy czerwone światła bez zatrzymania. O tej porze na niektórych skrzyżowaniach światła tylko migają.

Zanim auto zatrzymało się z piskiem na szpitalnym parkingu, przemiana była całkowita. Z samochodu wysiadła ta druga ja. To nowe wcielenie przebiegło przez parking i wpadło przez szklane rozsuwane drzwi na oddział nagłych przypadków.

A potem staliśmy w świetle jarzeniówek przy stanowisku pielęgniarek.

– Tak nam przykro... – powiedział lekarz.

Dopiero wtedy skupiłam wzrok na jego twarzy. Chciałam zapytać, z jakiego powodu mu przykro. Przykro, że to się stało? Przykro, że nie byliśmy wystarczająco dobrymi rodzicami, by do tego nie dopuścić?

Przykro... przykro... przykro. Słowo skakało mi w głowie jak bilardowa kula.

– Co się stało? – usłyszałam swój głos. – Co pan mówi?

Czułam, jak Bob próbował poprowadzić mnie w stronę krzesła. Wszystkie oczy były na nas skierowane, jakby od mojej reakcji zależało, jak to pójdzie.

– Nie chcę siadać. – Spojrzałam na Boba, zła, że w ogóle mógł to zasugerować, choć przecież wszyscy chcą siedzieć, słuchając złych wiadomości. Nie powinnam go za to winić.

– Najprawdopodobniej zapadła w śpiączkę, zanim się jeszcze tu znalazła – tłumaczył dalej lekarz. Czy to miało złagodzić nasz ból?

– Podjęliśmy próbę reanimacji i próbowaliśmy zrobić płukanie żołądka, ale... – Celowo zawiesił głos. Chciał uniknąć powtarzania całego zdania.

– Ale co? – Moje słowa odbiły się echem w korytarzu. – Ale co? Co pan, do diabła, chce powiedzieć?

Bob stanął tak, żeby znaleźć się w moim polu widzenia.

– Sam... – powiedział cicho.

Gdzieś w oddali słyszałam syreny i zaczęłam się zastanawiać, czy ona też je słyszała z sali zabiegowej, kiedy ją reanimowali. Czy czuła ból, gdy silne ręce próbowały wtłoczyć powietrze do jej płuc? Ilość vicodinu, którą miała w organizmie, mogłaby zabić konia, powiedział toksykolog. Z początku nie ujął tego w ten sposób. Poprosiliśmy go, żeby przetłumaczył liczby, które miał w przypiętych do podkładki papierach.

Poziom alkoholu był w granicach normy. Znaleziono też oxycontin, ale ten środek nie był spożyty w tym samym czasie. Połknęła go wcześniej, może nawet kilka godzin.

Gdy odkryli prześcieradło, trudno było nie zwrócić uwagi na wymiociny. Zaszły w jej włosach. Przemknęło mi przez myśl pytanie, co takiego zjadła, chociaż wiedziałam, że to nie jedzenie spowodowało torsje. Jednak... jaka była ostatnia rzecz, którą jadła? Czy jej smakowała?

Wytarli jej skórę, ale z tyłu prawego barku wciąż była plama krwi. Mówili, że upadła. Uderzyła głową o narożnik metalowego

kontenera na śmieci i miała otarcia na czaszce. Kilka kamyków tkwiło głęboko wbitych w dłonie. Wargi były niebieskie, jakby ktoś posmarował je zmrożoną szminką.

Pozbawiona krwi i duszy skóra stała się nienaturalnie blada. Zrobiła się szara. Ziemista. Daleko jej było do śródziemnomorskiej oliwkowej barwy, której Cammy tak nie znosiła. Teraz była jasna. W końcu dopasowała się do nas.

Usłyszałam jęk. Wycie. Nieludzkie. Zakryłam uszy, żeby je przytłumić, ale nie wiadomo czemu stało się jeszcze głośniejsze. Zaczęłam się trząść, zęby mi szczękały. Wycie odbijało się od ścian szpitala. Ani na chwilę nie milkło. Pielęgniarki zaczęły biec w moją stronę i w tym momencie uświadomiłam sobie, że to ja jęczę. Wycie wychodziło z moich ust. Pod pachami poczułam ręce, które podnosiły mnie z podłogi, na którą nieświadomie opadłam. Ktoś wycierał mi twarz chusteczkami i dopiero wtedy dotarło do mnie, że policzki mam mokre od łez.

Tydzień później

Znalazłam jej dziennik kilka godzin po ustaniu działania środka uspokajającego. Przedzierałam się przez jej pokój, szukając czegokolwiek, co musieliśmy przeoczyć. Sięgnęłam do kieszeni wojskowych spodni, które nosiła, i wyciągnęłam prawie zużyta książeczkę zapalek. Zostały tylko dwie. Paragon z 7-Eleven za napój herbaciany. Zmięty banknot jednodolarowy.

Czarna spódnica zwinięta w kłębek leży ciśnięta w kąt pokoju.

Górny róg plakatu z Marilynem Mansonem zagiął się nieco.

Pamiętnik. W pierwszej chwili myślałam, że to jakiś podręcznik. Był obłożony w szary papier pakowy. Zarysowała całą powierzchnię, jak to robiła z każdą szkolną książką.

Obrysowała swoją dłoń. Przyłożyłam do niej swoją rękę. Jej jest mniejsza. Szczuplejsza. Delikatna. Popłakałam się, myśląc o kamykach z parkingu i o tym, jak musiało ją boleć, gdy całym ciężarem upadła na ziemię. Znowu znalazłam się na podłodze. Na włóchatym dywanie, który chciała wymienić. Nawet tego nie mogłam dla niej zrobić. A przecież nie kosztowałyby to tak dużo... Jej pokój jest najmniejszy. Mimo to, chociaż o to błagała, nie zmieniłam jej poplamionego włóchatego dywanu.

Przeczytanie pamiętnika zajęło mi godzinę. Przy wielu zapiskach nie zaznaczała daty. Wszędzie są strzałki, które wskazują kierunek. Niektóre wczesne wpisy są na samym końcu, inne na początku. Nie sposób ustalić właściwej kolejności. Niektóre strony

musiałam czytać dwa lub trzy razy, żeby coś zrozumieć. Niektóre mogłam umiejscowić w czasie na podstawie kontekstu.

W tej chwili jestem dość wykończona, ale nie jest tak źle. Ostatnia noc była w porządku. Nie można czuć się fatalnie, kiedy trzymasz małe futrzane stworzonko, które mruczy jak silnik tylko dlatego, że je głaszczesz. A kiedy się tak nad tym zastanowić, to chyba my powinniśmy mruczeć z zadowolenia. Może to kompletna głupota, ale w zasadzie takie mruczenie to wielki cud, nie? Zupełnie jakby uśmiechało ci się wszystko w środku.

Uff, ale straszny kit.

Paul znalazł tę małą pomarańczową kotkę na samym końcu parkingu. Płatała się tam na zdeptanym, porośniętym chwastami skrawku ziemi.

– Wyglądała, jakby ktoś ją przepuścił przez wyżymaczkę – powiedział.

– A ty co? Pieprzona akcja humanitarna? – spytał Banana Smith. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się go nazywa, ale jego nazwisko nie brzmi Smith, tyle wiem.

Paul nawet nie musi mówić ludziom, żeby się zamknęli. I bez tego milkną. Taki po prostu jest. Trzymał kotka w zgięciu łokcia. Całkiem naturalnie, jakby robił to każdego dnia.

– Mogę go potrzymać? – Podeszłam do niego, trzymając ręce złożone tak jak kiedyś, gdy wybrałam się z moją koleżanką Olivią do kościoła i poszłyśmy przyjąć komunię.

– No, przez chwilę – zgodził się.

Banana Smith podszedł do mnie i niezbyt delikatnie pogłaskał kotka.

– Chłopie – rzucił przez ramię do Paula. – Dajmy mu działkę.

Otoczyłam kociaka ręką, żeby przestał go dotykać.

– Mam coś lepszego – odezwał się drugi chłopak.

– Dajcie mu to. Po tym wpadnie w amok, stary.

I tak się przerzucali. Zakryłam kociaka i biegiem wróciłam do domu. Miałam na sobie bluzę z kapturem, która ma taką kangurzą kieszeń na brzuchu. Kotka idealnie się tam wpasowała. Przytrzymałam ją delikatnie, żeby nią nie rzucało, kiedy biegłam. Zwolniłam, dopiero gdy miałam pewność, że nikt mnie nie goni.

Trudno było ją uspokoić, żeby nie obudziła wszystkich

w domu, ale głaskałam ją, dopóki nie zasnęła na poduszce tuż obok mojej głowy. Nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście. Co za radość mieć to maleńkie stworzonko tuż obok siebie. Wcale nie chciałam zasnąć.

Rano okazało się, że znacznie trudniej ukryć cokolwiek przed chłopcami.

– Mamo! Mamo! Cammy ma kotkę!

– Możemy ją zatrzymać?

– Mamo!

– Tato, widziałeś kotkę Cammy?

– Cammy, daj mi ją potrzymać.

– Mamo, dlaczego Cammy ma kotkę, a ja nie mogę mieć psa? To niesprawiedliwe.

Samantha powiedziała, że Bob jest uczulony i nie możemy jej zatrzymać. Nie zgodziła się, chociaż obiecałam, że będę ją trzymać w swoim pokoju i Bob nie będzie jej w ogóle widywał. Chłopcy nazwali ją Mia, po Mii Hamm, jedynej dziewczynie, która im przysłała do głowy i jest w miarę sympatyczna. Przez kilka dni karmiłam Mię kropłomierzem. A potem Samantha wróciła do domu i poinformowała nas, że znalazła dla niej dom. U jakiejś rodziny z dzieckiem, mała nazywa się Lexi. Zmienili jej imię na Puszek. Mówi, że będą ją kochać.

Nigdy nie zapomnę tej nocy, kiedy mała główka leżała tuż obok mojej na poduszce i z przerwami przespałyśmy razem noc. Zupełnie jakbyśmy obie w tym siedziały.

Głupio tak pisać, ale to prawda.

Niech sobie będzie u innej rodziny lub gdziekolwiek, ale przynajmniej Banana Smith nie będzie próbował jej odurzyć na parkingu. Dzięki Bogu chociaż za to.

A kawałek dalej to:

Droga Gerry Wilkes:

Jak mogłaś mi to zrobić?

Szlochałam tak głośno, że Bob pędem przybiegł na górę. Płakałam przez cały tydzień, ale do tej pory trzymał się z daleka. On przeżywał swój ból. Ja swój. Jednak tam, na podłodze w pokoju Cammy, gdzie siedziałam z jej pamiętnikiem, moje łkanie przedarło się do niego. Czułam, że wyciąga rękę, żeby mnie podnieść, ale nie pozwoliłam mu na to.

– Ty draniu! – wrzasnęłam. – Ty cholerny sukinsynu! Jak mogłeś jej to zrobić?

– Sam... – Stał, patrząc w dół na mnie. Zobaczył na moich kolanach otwarty zeszyt i jej charakter pisma. Pochylił się, żeby go wziąć.

– Wynoś się. – Przycisnęłam dziennik do piersi. To moje, chciałam powiedzieć. Moje.

Zostawił mnie kołyszącą się na podłodze w pokoju naszej zmarłej córki. Jego ból. Mój ból.

Przezołgałam się przez korytarz z pokoju Cammy do naszej sypialni. Zwinęłam się na podłodze obok starego fotela w kącie przy oknie. Wełniany dywan wyciska wzór na moim policzku. Craig. Craig. Craig. Wystarczy, że powtarzam w myślach jego imię, żeby powstrzymać łzy. Jak medytacja. Jest gdzieś tam w świecie. Martwi się o mnie. Pewnie szaleje z niepokoju. Może nawet znów zaczął lunatykować. Chodzić w dzień jak we śnie, jak wcześniej, zanim pojawiliśmy się „my”. Czeka na jakiś znak ode mnie.

Ostatni klarowny moment, który pamiętam, był wtedy, gdy przepchnęłam się obok Boba i wyszłam ze szpitala na powietrze. Naciągnęli prześcieradło na twarz Cammy i Bob próbował mnie objąć. Czułam, jak przyciąga mnie do siebie. Mój łokieć nie ustąpił, mój bark także.

Miałam jasny umysł. To byłam ta sama ja, zanim się rozsypałam. Jak pajęczyna na samochodowym oknie, która jest pęknięta, ale wciąż w jednym kawałku. Dopiero gdy się ją szturchnie w środku, rozpadnie się na małe kawałki.

W tej sterylnej sali obrzuciłam go zarzutami.

– Nie kochałeś jej wystarczająco mocno – wysyczałam. – Przede wszystkim w ogóle jej nie chciałeś.

Pamiętam, jak pobladł. Widziałam, jakie wrażenie zrobiły na nim moje słowa. Były jak cios. Powiedział tylko:

– Sam, och, Sam... – I zaczął płakać. Ramiona poruszały się w rytm szloch. Ręce opadły wzdłuż ciała. – Nie masz racji – wykrztusił.

– Nie mogę na ciebie patrzeć – wypaliłam. – Nie mogę oddychać tym samym powietrzem.

Pamiętam dźwięk drzwi, które zamknęły się za mną. Pamiętam, jak nie mogłam złapać tchu. Zupełnie jakbym wstrzymywała oddech, dopóki nie wyjdę, żeby naprawdę nie musieć wdychać tego samego tlenu co Bob. Pamiętam, jak wymacałam swoją komórkę.

Wybrałam numer. Craig odebrał natychmiast.

– Co się dzieje? – spytał szeptem.

Oto jak się dowiedziałam, że mnie okłamał. Przez ten szept. Nie zostawił Evie i nie przeniósł się do hotelu, jak przedwczoraj napisał w mejlu. Lub może był w hotelu i spał z jeszcze inną kobietą. Tak czy inaczej nie był sam.

– Gdzie jesteś? – Zadzwoiłam, żeby powiedzieć mu o Cammy, błagać o pomoc, tymczasem stałam na zimnym, zamglonym szpitalnym parkingu i próbowałam określić nasz związek. Jakby faktycznie coś takiego istniało.

– A gdzie ty jesteś? – dopytywał się. – Co się stało? Dlaczego dzwonisz w środku nocy?

Czy to możliwe, że zachowuje się defensywnie? Zrozumiałam, że próbuje odwrócić uwagę od siebie. Miałam poczuć wyrzuty sumienia, że go obudziłam. A więc czuł się winny.

– Jesteś w domu? – upewniłam się. – Z Evie?

Zorientowałam się, że przechodzi gdzieś, gdzie mógł swobodniej rozmawiać.

– Sam...

No to dostałam odpowiedź. Chodzi o sposób, w jaki wymówił moje imię. Tonem, który mówił: „Pozwól, że ci wszystko wytłumaczę”. Był w domu. W łóżku ze swoją żoną. Wcale nie zamierzał od niej odejść. A powiedział, że się wyprowadził. Że przeniósł się do hotelu i rozgląda się za mieszkaniem. Wydawało mi się, że wszystko dzieje się za szybko, ale Craig jest bardzo stanowczy, więc to nawet miało sens. Nie podawałam tego w wątpliwość.

A to było łgarstwo.

– Więc kłamałeś – powiedziałam, wpatrując się w niebieski neon pogotowia.

– Sam, posłuchaj...

Zamknęłam oczy. Znałam resztę. Nie musiałam tego słuchać.

– Cammy nie żyje. – Zamknęłam telefon, otworzyłam dłoń i pozwoliłam, by upadł. Dzwonił, gdy uderzył w ziemię. Craig może kłamał, a może nie. Chciał mi coś powiedzieć. Albo, co bardziej prawdopodobne, chciał mi zadać jakieś pytania:

– Cammy nie żyje? Co takiego? O Jezu, Sam...

Miałby wyrzuty sumienia, że zaczął rozmowę ze mną tak niezręcznie. Uświadomiłby sobie, że dzwoniłam po pocieszenie. Taki telefon mógłby usprawiedliwić przed kobietą, z którą spał. Chwila... Cammy nie żyje? Moja Cammy? Moja Cammy nie żyje? O Jezu, o Boże, Boże...

– Proszę pani? Czy coś się stało? Ratunku! Potrzebujemy pomocy! Sanitariusz, który wyszedł na przerwę, pomógł mi wejść do środka. Spytał, czy chcę kogoś zawiadomić. Powiedziałam, że nie.

Trzymał mnie za rękę, dopóki środek uspokajający nie zaczął działać.

Trzy dni później

Siedzę na kanapie jak staruszka w domu opieki. Dom wiruje wokół mnie. Rano przez frontowe okno wpadają promienie słońca. Po jakimś czasie uświadamiam sobie, że oświetlają bok domu. Widzę kurz unoszący się w blasku popołudniowego światła. A potem światło pojawia się ze wszystkich stron i wtedy wiem, że to już wieczór.

Zdaję sobie sprawę, że muszę odtworzyć nasze błędy. Wiem, że muszę ogarnąć wszystkie sygnały, które przegapiliśmy. Będziemy z Bobem na siebie krzyczeć, będziemy płakać i oskarżać się nawzajem. To dopiero przed nami. A teraz? Teraz nie mogę się otrząsnąć z apatii.

Pewną ulgę przynosi mi to, że nic mnie nie obchodzi. Idę do szafeczki po szczoteczkę i pastę do zębów, ale kiedy tam dojdę, zapominam, o co mi chodziło. Przelykam jedzenie, bo wymaga tego mój organizm. Ale to wyłącznie paliwo, jakby zwykła biała koszulka w smakach. W środku dnia nagle dociera do mnie, że jestem ubrana i mam na nogach buty, ale nie pamiętam, jak do tego doszło. Czy ktoś mnie ubrał? I jak w ogóle podniosłam się z łóżka?

Słoneczne dni wydają się ciemne. Zupełnie jakbym wyszła z popołudniowego spektaklu na rażące światło dnia. Dziwi mnie, gdy widzę, że ludzie wciąż się poruszają. Jeżdżą samochodami, bawią się latającym talerzem, noszą teczki, rozmawiają przez komórki. Jak to możliwe, że dla nich jest to zwykły dzień? Zamki sprawiają mi kłopot. Stoję przed drzwiami i w pęku kluczy bezskutecznie szukam właściwego. Mam przekreślić zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara czy odwrotnie? Zamykam ten pod klamką czy ten z zasuwką na górze? Tyle rozmyślań, żeby wejść do tej skorupy, którą stanowi dom. Chłopcy kręcą się gdzieś tutaj i szepczą. Czasami słyszę, że się śmieją, ale gdy wchodzę, cichną, jakby byli w kościele.

Prawie wszystko wprawia mnie w konsternację. Jedzenie jest w lodówce, ale nie mam pojęcia, jak się tam znalazło. Pranie jest zrobione i poskładane, a ja nie wiem, kto to zrobił. Znajduję bluzki w innym miejscu niż zwykle i nie wiem, czy to ja je tam położyłam, czy ktoś obcy. Zdaję sobie sprawę z tego, że każdego dnia przychodzi Lynn. W głębi domu słyszę też głos Mike'a

zmieszany z głosem Boba. A może jest z nimi jeszcze jakiś mężczyzna, ale nie jestem tego pewna. Gdzieś w domu jest włączony telewizor.

Jakimś sposobem chłopcy jeżdżą do szkoły i są stamtąd odbierani. Jakimś sposobem mają przygotowane lunchy.

Jakimś sposobem jest odbierana i układana poczta.

Bob zaczyna palić. Ni stąd, ni zowąd. Patrzę, jak chodzi w tę i z powrotem po werandzie z tyłu domu. Strząsa popiół do puszki po coca coli postawionej na grillu, który jeszcze nie został zabezpieczony przed zimą. Przez cały tydzień gada przez telefon. Ustala sprawy organizacyjne.

Słyszę przyciszone głosy. Planują nabożeństwo żałobne.

Pan Black mówi, że to ważne dla uczniów. Wiadomość o Cammy wywołała w szkole chaos. Sprowadzono terapeutów, żeby rozmawiali ze zszokowanymi dziećmi, które nigdy nie zamieniły z nią ani słowa. Bob chodzi tam i nazad z papierosem w zębach, rozmawiając o muzyce, którą chciałyby słyszeć Cammy. O powiększeniach zdjęć, o sztalugach, na których mają być ustawione. Uroczystość odbędzie się w kościele obok szkoły, mimo że nie jesteśmy jego członkami. Chociaż mamy żydowskie korzenie. Lynn przynosi Bobowi następną puszkę coli. Przedemną stawia wodę z lodem, ale nie wypijam jej. Szklanka pokrywa się kropelkami i zostawia plamy na drewnianym stoliku.

Kiedy tak siedzę w tym wirze bólu, nagle przychodzi mi do głowy, że jedyną sprawą, na której mogłoby Cammy zależeć, jest obecność jej rodzonej matki na tym nabożeństwie. Chciałyby, żeby przyszła tam Gerry Wilkes. Tyle mogę dla niej zrobić. Znajdę ją i zadam pytanie, które chciała zadać Cammy:

– Jak mogłaś mi to zrobić?

Znam oczywiście odpowiedź, ale chcę, żeby cierpiała, żeby poczuła to, co ja czuję. Przeniosę to brzemie na jej barki. Niech je dźwiga przez jakiś czas. Niech się dowie, jak czuje się matka, która zawiódła własne dziecko.

Wciąż powtarzam szykowane wystąpienie:

– Chciała panią poznać. Chciała znaleźć swoje miejsce. Chciała, żeby pokazała jej pani, jak żyć. Ale potem już było za późno i ona zdawała sobie z tego sprawę. Umarła zła na panią, Gerry Wilkes. Umarła wściekła.

Tak jej powiem, myślałam. Jednak kiedy usiadłam za kierownicą i skręciłam w stronę biblioteki, wiedziałam, że nie zrobię tego.

Poszukiwanie zajęło dwie sekundy, bo tyle potrzeba było, żeby

wskazać palcem drugą stronę sali. Patrę, jak idzie w moją stronę, przechylając na bok głowę, z przyjaznym, pytającym spojrzeniem. – Jestem Gerry Wilkes. – Podaje mi rękę.

Przez chwilę patrzę na nią zdziwiona. Cofa rękę, a jej uśmiech przygasa, żeby dostosować się do mojej na pozór nieprzyjaznej miny. To nie tak, chcę jej powiedzieć. Nie jestem nieprzyjazna. Po prostu nic mnie nie obchodzi. Myślałam, że jestem na nią wściekła, lecz kiedy stanęła przede mną, okazało się, że wściekłość mi przeszła.

– Czym mogę pani służyć? – pyta Gerry Wilkes.

Wiedziałam, że jest bibliotekarką, lecz spodziewałam się kogoś innego: odrażającego, brudnego, rozdygotanego. Sądziłam, że będzie wyglądała jak uciekinierka, która trzyma przed sobą kartonową tabliczkę z wypisaną markerem prośbą:

Pomóż! Jestem bezdomna. Daj mi, ile możesz. Niech cię Bóg błogosławi.

Tymczasem nic z tych rzeczy. Prawdopodobnie nigdy nie była bezdomna. Jakoś przecież wychowywała dziecko przez dwa lata. Miała też wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, by oddać córkę, nim się stoczyła. Kochała swoje dziecko na tyle, by pragnąć dla niego lepszego życia.

I oto stoi przede mną. Śliczna z tymi wyszczotkowanymi i wsuniętymi za uszy brązowymi włosami. Jest niska, sporo poniżej stu sześćdziesięciu centymetrów. Drobna. Ładna cera i wielkie oczy, które odziedziczyła po niej Cammy. Przeżywam szok, widząc je u kogoś innego.

– Czy mogę pani w czymś pomóc?

– Jestem Sam Friedman. – Czekam przez chwilę, aż dotrze do niej moje nazwisko. Jeśli szukała swojej córki, będzie je знаła. W innym razie nie będzie miało dla niej żadnego znaczenia. Jej twarz pozostaje bez wyrazu. Nawet brwi nie uniosła. Szuka w pamięci jakiegoś związku. Koleżanka z liceum? – pyta się w myślach. Dawna sąsiadka? Być może nawet zaczęła się obawiać, że jestem kimś z nie tak odległej przecież przeszłości. Może kimś, kogo okradła? Albo obraziła? To wszystko może dziać się w jej umyśle, lecz po twarzy tego nie widać. Stoi po drugiej stronie biurka, więc nie mogę zobaczyć, czy ze zdenerwowania drżą jej ręce albo czy przytupuje niecierpliwie nogą.

– Pomyślałam, że może pani to zechce. – Kładę na biurku wycinek z gazety i przesuwam go w jej stronę. Na dole podkreśliłam datę i godzinę mszy żałobnej w szkole. Tej, w której organizacji nie

miałam żadnego udziału. Cammy nie znosiła szkoły. Szkoła nie znosiła Cammy.

Gerry Wilkes wpatruje się w nagłówek i twarz na zdjęciu. To fotografia z pierwszej klasy liceum, kiedy włosy Cammy wciąż były naturalnie brązowe, a twarz pozbawiona makijażu. Różowa koszulka wystaje spod jej ulubionego puchatego kremowego swetra, który kupiła za kieszonkowe. Ponieważ zakupy do szkoły były już zrobione, oznajmiłam, że nie zapłacę za nic więcej. Chciałam, żeby nauczyła się gospodarować pieniędzmi. Bardzo byłam wtedy z siebie zadowolona. No więc nie kupiłam jej tego cholernego kremowego swetra, którego pragnęła bardziej niż czegokolwiek innego, bo chciałam dać jej lekcję. Znalazłam ten sweter z tyłu szafy. Nigdy nie pozwoliła mi oddać go do pralni, bo bała się, że później nie będzie już taki miękki. Podniosłam go do twarzy i wdychałam zapach nieżyjącej córki.

– Ja... – Nie jestem w stanie mówić. Jeśli zacznę, wybuchnę płaczem, chociaż myślałam, że już wylałam wszystkie łzy. Nie maluję już rzęs. Nie myję zębów ani twarzy. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni wzięłam prysznic.

Gerry Wilkes przenosi wzrok ze zdjęcia na moją twarz, a już jakby słyszę jej słowa, które padną za chwilę.

– Wiem, kim ona jest. – Słowo w słowo powtórzyła to, co przewidziałam. Po krótkim wahaniu dodaje: – Wspaniale ją pani wychowała.

Odwraca wzrok i odgaduję, co jej chodzi po głowie. Po pierwsze żałuje, że to powiedziała, a po drugie obie myślimy to samo. Gdybym – gdybyśmy – wspaniale ją wychowali, wciąż by żyła. Jej oczy wypełniają się łzami. Jak to sobie zaplanowałam, przenoszę na nią ciężar martwego dziecka. Ona też powinna poznać ten ból. Powinna żyć z nim przez jakiś czas, żeby dowiedzieć się, jakiego zamieszania może to narobić w czasie i przestrzeni. Powinna cierpieć, płakać, zapomnieć o jedzeniu, myciu się i śnie. Jednak patrząc na nią i widząc oczy mojej córki... zaczynam żałować, że ją w to wciągnęłam. Wcale nie czuję się lepiej. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. „Jak mogłaś mi to zrobić?”

Tamte słowa Cammy wydają się bardzo odległe.

– A więc pani wiedziała – odzywam się w końcu.

– Wiedziałam.

– Umarła tutaj – dodaje. – Na parkingu.

I wtedy Gerry Wilkes mówi:

– A jak pani myśli, kto ją zawiózł do szpitala?

Miesiąc później

Muszę być ostrożniejsza. Muszę zważać na każdy krok. Byłam już wciągana na krawężnik przez nieznanymi pokazujących mi ruch na jezdni, który nie ustawał tylko dlatego, że zapomniałam spojrzeć w obie strony, nim zesłam z chodnika. Chłopcy, gdy jesteśmy razem, biorą mnie za ręce. To oni przypominają mi, że trzeba się zatrzymać. To oni przeprowadzają mnie przez ulicę. Kiedy idą ze mną, są poważni. Przykro mi z tego powodu, ale brak mi energii, żeby coś z tym zrobić. Zostawiam to innym. Lynn zawozi ich do szkoły. Nadal przygotowuje im lunchy. Odwozi ich na treningi i mecze. Stara się, żeby śmiali się przynajmniej od czasu do czasu. Kiedy przechodzę obok okna, gdy wracają ze szkoły, widzę, jak wyskakują z jej vana, a potem zmieniają krok w miarę, jak się zbliżają do wejścia. Robią to teraz machinalnie. W naszym domu wciąż słychać przytłumione głosy i przyciszony telewizor.

Lynn pyta, czego potrzebuję, a ja mam ochotę odpowiedzieć, że chcę powtórki. Chcę wrócić do samego początku. Jeszcze przed dziećmi, przed małżeństwem, przed bezwładem, niewiernością, narkotykami, przegapionymi sygnałami. Wrócić do mamy, która jako jedyna wiedziała, jak uśmierzyć ból. Do nieżyjącej mamy, która wszystko robiła dobrze. Do nieżyjącej córki, której matka wszystko robiła źle.

– Chcę odzyskać moją córkę – powiedziałam do Lynn. – Chcę moją Cammy.

Lekarz przepisał mi jedną tabletkę ativanu dziennie. Zażywam trzy, a czasem cztery.

Lynn pyta, czego potrzebuję, a ja odpowiadam, że kogoś, kto robiłby mi listy spraw do załatwienia, co pozwoli mi przetrwać kolejne dni. Pod nagłówkiem „Notatki od Lynn” śmieszoną czcionką wypisała mi instrukcje na cały dzień:

Przy śniadaniu podawaj chłopcom multiwitaminę.

Jeśli zabraknie ci czegoś wieczorem, napisz to na samoprzylepnej kartce i zostaw przy telefonie w kuchni, a następnego dnia ci to kupię.

Wizyta u dentysty z Andrew jest w piątek w południe.

Pamiętaj, że w przyszły wtorek są urodziny chłopców.

Zamówię w szwedzkiej piekarni babeczki i dam ci paragon, żebyś mogła je odebrać w drodze do szkoły.

Jednak w rzeczywistości potrzebny mi ktoś, kto powie, jak mam rano zwlec się z łóżka. Jak zamykać oczy, żeby nie widzieć Cam.

Nie rozwożę już dzieci do szkoły, lecz w dniu urodzin chłopców muszę się wziąć w garść i jak inni rodzice zawieźć do szkoły zamówione przez Lynn ciastka. Mam je dostarczyć podczas przerwy na lunch, bo nauczycielka twierdzi, że zapach za bardzo rozpraszałby dzieci, gdyby stały w klasie od rana.

Piekarnia. Idę do piekarni. Mam pewność, że wzięłam kwit potrzebny przy odbiorze, ale na wszelki wypadek sprawdzam w torbie. Jest. W bocznej kieszeni. Piekarnia. Boczna kieszeń. Uważam na każdy krok. Żeby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała. Piekarnia. Boczna kieszeń.

Szwedzka piekarnia jest w odległości półtorej przecznicy od Starbucksa. Powtarzam to sobie, żeby jej nie przegapić. Docieram do rogu, zatrzymuję się i podnoszę wzrok. Facet w samochodzie z napisem „Przeprowadzki” daje mi znak, żebym przechodziła. Po drugiej stronie ulicy jestem już przed Starbucksem. Zielone markizy, okrągłe logo, w oknach wielkie zdjęcia pokrytych pianką napojów. Poruszam się wolno, prawie bezwiednie. Nie wiem, czemu odwracam głowę, żeby zajrzeć do środka. Siła przyzwyczajenia z okresu, kiedy żyłam osnuta mgłą egoizmu.

W pierwszej chwili nie poznaję go. Z boku wygląda jakoś inaczej. Siedzi przygarbiony, patrzy przed siebie na fioletową ścianę po drugiej stronie lokalu. Łokcie trzyma na stole. Dłonie ma złożone nad filiżanką kawy, jakby się modlił.

Uświadamiam sobie, że przestałam się poruszać. Patrę na niego i po raz pierwszy od telefonu ze szpitala mam wrażenie, że mój umysł wraca do pracy. Jakbym nagle przebudziła się ze śpiączki. Albo transu. To on.

Craig Riggs. Przy naszym stoliku. Craig Riggs. Przyglądam się i coś w jego zgarbionych plecach każe mi zadać sobie pytanie: czy rzeczywiście kłamał? Siedzi tu z taką samą jak zwykle kawą. Nie poruszył się od momentu, gdy się zatrzymałam, chociaż z drugiej strony nie wiem przecież, ile czasu tu stoję. Może pięć minut, a może zaledwie jedną lub dwie sekundy. Ciekawe, o czym myśli? Ciekawe, czy ubolewa nad tym, że mnie stracił? Chyba tak, sądząc po tym, jak siedzi. W dodatku przy naszym stoliku. Boże, a więc to nie było kłamstwo. Jest sam, jakby na mnie czekał. To nie było kłamstwo, ale nie mógł nic wyjaśnić, bo się rozłączyłam. Pozbyłam się go jak raka. Tej komórki, która się roztrzaskała na parkingu, nie wymieniłam na nową. Nie zaglądałam do poczty elektronicznej. Dla mnie był już martwy. Pigułki, które łykam, nie tylko złagodziły ból po Cammy, lecz również pozwoliły mi

zapomnieć o nim. Jednak teraz, kiedy zaglądam do środka i widzę go samego... Chyba jednak nie kłamał? Zawieram z sobą układ: jeśli na mnie spojrzy, jeśli mnie zobaczy, pójdę do niego. Odejdę ze swojego życia.

Nie jest jeszcze dla nas za późno, myślę. Jeśli popatrzy na mnie, będę wiedziała, że jesteście sobie przeznaczeni. Jeśli choć rzuci na mnie okiem.

Mam wrażenie, że jego oczy zamykają się na trochę dłużej niż przy zwykłym mrugnięciu. Robię to samo, a kiedy podnoszę powieki, myślę, że może właśnie w tym momencie spojrzy przez ramię. Ktoś naciska klakson. To przyjazne zwrócenie uwagi kierowcy, który nie zauważył, że ma już zielone światło. Trąbienie nie ustaje, więc odwracam głowę.

– Sam?

Jak na meczu tenisowym przenoszę spojrzenie z Craiga na Boba.

– Mogę odebrać babeczki – mówi Bob. – Podaj mi kwit. Spotkamy się w piekarni. Możesz wziąć dla mnie cappuccino, skoro tu wchodzisz?

Craig poruszył się na krześle. Teraz usiadł prosto. Spogląda w stronę kontuaru. Przekręcam głowę razem z nim, żeby zobaczyć, na co patrzy.

– Kochanie? Sam? Chcesz tu wejść?

Tym razem włosy ma rozpuszczone. Uśmiecha się, podając mu kawę, on wstaje, odsuwa jej krzesło. Craig i Evie Riggs.

Wspaniale.

Odległa syrena nagle pobudza do działania. Wiatr zwiewa mi włosy na twarz, ale nie odsuwam ich za uszy.

Podjeżdża autobus, który pluje spalinami. Bezdomny mężczyzna woła:

– „Streetwise!” – i przytrzymuje drzwi do Starbucksa zmęczonej matce, która pcha podwójny wózek.

– Sam, idziesz do Starbucksa czy nie? – woła Bob.

Muszę się ocknać. Obudź się, Sam. Obudź się.

Spuszczam wzrok na buty. Nie cierpię ich. Chodaki.

Brzydkie brązowe chodaki jak z czasów hippisów. Nigdy ich nie lubiłam. I nagle coś do mnie dociera. Nie znoszę wszystkich swoich butów. Każdej pary. Nawet tych czarnych seksownych, wyjściowych pantofli. Tak samo do mnie nie pasują jak te chodaki. Nienawidzę też swoich ubrań. I naszej kanapy. I sztucznie postarzonego stołu w kuchni, który w sklepie wydawał się całkiem znośny. Mówili o nim, że to stół z refektarza. Podnoszę wzrok na szare niebo i myślę: tak. Właśnie tak. Moje życie jest

szare. Myślałam, że będzie w technicolorze, ale jest szare.

– Muszę zrobić kółko! – krzyczy Bob.

Autobus miejski próbuje przecisnąć się obok naszego samochodu, ale rezygnuje. Widzę, jak kierowca z rozpaczą podnosi ręce, po czym opada na siedzenie, bo to sytuacja, z jaką ma do czynienia setki razy dziennie. Bob rusza, kierowca autobusu chwytając kierownicę i wszystko wraca do porządku.

Nie jest jeszcze za późno. Może jeszcze nie jest za późno, żeby całkiem odmienić życie. Mogę być taką kobietą, jaką chciała mnie widzieć mama. Mogę stać się taką osobą, jaką chciałam być jako dziecko. No właśnie. Czy jako dziecko tęskniłam do praktycznych butów? Czy marzyłam o tym, że pewnego dnia będę stała na brudnym chodniku pod zachmurzonym niebem, a mąż, którego nie kocham, będzie coś do mnie wykrzykiwał? Czy kiedykolwiek wyobrażałam sobie, że będę złą matką martwej córki?

Tak to się właśnie dzieje. Tak się zmienia życie.

Czasami wystarczy zaledwie moment. Określony moment. To jest ułamek sekundy, kiedy wszystko staje się jasne. A więc mówię: dość. Koniec z poruszaniem się jak we śnie. Dość.

– Sam? – To wrócił Bob. – Gdzie ty idziesz? Kochanie, piekarnia jest w tę stronę, pamiętasz?

Mówi do mnie jak do dziecka, które się zgubiło.

Ktoś na niego trąbi, a ja już za daleko odeszłam, by widzieć jego twarz, ale jestem pewna, że rzuca pod nosem:

– Niech to cholera – i jedzie zrobić kolejne kółko.

Uświadamiam sobie, że już nigdy nie wsiądę z nim do samochodu. Dosyc. Nie wrócę. Zabiorę chłopców i będziemy się nimi dzielić w czasie weekendów. Nauczycielom powiem, że potrzebne są nam dwie kopie zawiadomień, szkolnych kalendarzy, dwie listy klasowych telefonów. Jedna dla Boba. Druga dla mnie. Nie dla Boba i dla mnie. Ani dla Craiga i dla mnie. Tylko dla mnie. Nie pobłędzę z chłopcami, tak jak to zrobiłam z Cammy.

W żadnym razie. Będę dla nich taką matką, jaką powinnam była być dla Cammy. I nic im nie będzie. Ludzie rozwodzą się codziennie. Wszystko będzie dobrze.

Kilka ulic dalej na rogu, przed sklepem z rybkami, gdzie na wystawie stoją akwaria i jest reklama, że w sprzedaży mają robaki do karmienia ryb, stwierdzam, że machinalnie zatrzymałam się przy krawężniku. Być może jeszcze nie całkiem odczytałam to zaklęcie, ale już wiem, że się uda. Światło się zmienia, więc z innymi pieszymi przechodzę na drugą stronę i myślę sobie, że

właśnie tak to się dzieje. W taki sposób zostawiasz swoje życie i zaczynasz nowe.

Spoglądam na praktyczne buty, w których moje stopy posuwają się do przodu, i właściwie jestem zadowolona, że je włożyłam. Mam przed sobą długą drogę.